

Taniec czarownic

Jessica Gregson

Przekład BLANKA KWIECIŃSKA-KUCZBORSKA

Mojej babci Lamette i pamięci mojego dziadka Clema

Prolog

Ona nigdy nie odpowiada, ale ja i tak mówię do niej cały czas. Posłuchaj, proszę ją. Tak, popełniałam błędy. Kiedy to wszystko się zaczęło, próbowałam udawać sama przed sobą, że byłam bezsilna, że zostałam pokrzywdzona przez los, że tak samo jak tych osiem kobiet, które tańczą teraz na wietrze, ja też na swój sposób wirowałam na wietrze przez całe życie. Ale to nieprawda - to kłamstwo, które wmawiałam sobie, kiedy nie czułam się dość silna, by zmierzyć się z tym, kim jestem i co zrobiłam. Tak naprawdę sama dokonałam wyborów i przyłożyłam do tego rękę. Beze mnie nie doszłoby do tego wszystkiego.

Mam dwadzieścia osiem lat, ale wyglądam na więcej, a czuję się jeszcze starsza. Nic w tym niezwykłego w moich stronach. Słyszałam, że w mieście kobiety są rozpieszczane i noszone na rękach, traktowane jak kunsztowne ozdoby albo zabawki. Tutaj to my dźwigamy naszych rodziców, naszych mężów i nasze dzieci na plecach; jesteśmy jak wysypisko, na które zwała się cały życiowy gnój. Judit dość wcześnie mi to uświadomiła i na własnej skórze miałam się o tym przekonać. Nieraz dziwiono się, że jeszcze żyję - na wsi ludzie zabijają się z powodu mniejszych nieszczęść niż moje.

Kiedy byłam mała, miałam z osiem czy dziewięć lat, szesnastoletnia Katalin Remeny utopiła się, bo była w ciąży, a nie miała męża. Wyciągnięto ją z rzeki - w tamtych czasach w rzece nieznajdowano tylu ciał co teraz - i podczas pogrzebu jej trumnę przeniesiono uliczkami wśród zawodzących żałobnie, ale oczywiście trzeba było ją pochować za murem cmentarza, bo była grzesznicą, a potem Judit i mój ojciec poszli wylać wrzątek na jej grób, żeby nie błądziła po śmierci po wiosce, jak to podobno robią samobójcy.

Judit przyszła do mnie kilka dni później i pamiętam, jak aż wrzała z wściekłości. Powiedziała, że to, co zrobiła Katalin, było głupie i bez sensu, że nieślubne dziecko jest grzechem tylko w oczach tych, którzy chcą kontrolować kobiety, i że tak czy owak, jeśli któraś zajdzie w niechcianą ciążę, zawsze może przyjść do niej, ona już się tym zajmie - choć wtedy jeszcze nie bardzo wiedziałam, na czym to zajęcie się miałoby polegać.

Jak zwykle wściekłość Judit zrodziła się z chęci, aby mnie chronić, i spełniła swoje zadanie. Katalin zagościła na stałe w moim umyśle jako symbol tego wszystkiego, czym nie chciałam się stać: bezwolnego jagnięcia, bezmyślnej dziewczyny, dla której ważniejsze jest to, co powie paru głupich wieśniaków, niż jej własne życie. Wiedziałam, że nigdy się nie poddam, póki będę miała choćby najmniejszą szansę przetrwania. I jak się okazało, nie można mi zarzucić, że nie wykorzystałam tych szans, jakie mi się trafiły.

To prawdziwa przyczyna wszystkiego, tłumaczę jej: mój instynkt samozachowawczy, moja wola życia. To one przesądziły o wyborach, jakich dokonałam. Mogłam w każdej chwili złożyć w ofierze siebie i pewnie uratowałyby to kilka istnień ludzkich. Ale nie moje i nie jej istnienie, a tylko to się dla mnie liczy. Nauczyłam się, że to zbyt bolesne i niebezpieczne dbać o cokolwiek innego.

Chyba trudno mi się dziwić po tym wszystkim, co przeszłam w ciągu dwudziestu ośmiu lat. Może powinnam przyjąć z pokorą swoją gorzką kromkę życia i poddać się losowi. Ale kiedy już raz wgryzłam się w tę kromkę, nie miałam zamiaru dać jej sobie wyrwać bez zaciętej walki. A cóż dobrego jest w życiu? Spytajcie mnie, kiedy patrzycie na letni księżyc, srebrzysty i nabrzmiały, wędrujący nad pusztą. Spytajcie, kiedy patrzycie w twarz mojego dziecka. Oczywiście zdarzają się też rzeczy straszne i czasem - często - przeważają nad dobrymi. Ale nie można mieć piękna bez odrobiny strachu.

1914

Rozdział 1

Sari ma czternaście lat, kiedy wynoszą jej ojca, niosą go wiejskimi uliczkami z twarzą odkrytą, nieruchomą, zwróconą ku niebu, niosą go przez kwieciste brzegi rzeki, niosą go na cmentarz. Oto publiczny kres drogi prywatnej osoby, a wszystko w atmosferze dramatu, która sprawia, że życie w wiosce staje się do zniesienia; ostatnia szansa, by stać się centrum uwagi, czego Jan Arany nigdy nie pragnął. Sari nie płacze, bo to nie w jej stylu; otula się kokonem ciszy i pozwala, by inne wieśniaczki zawodziły za nią. Jej milczenie sprawia wrażenie nieobecności. To tylko pozory.

Jej ojciec był mędrcom, powszechnie szanowanym *tdltos*. Przez całe życie Sari mieszkali na skraju wioski, w drewnianym domku o skrzypiących schodach, z trawnikiem od frontu wydeptanym przez stopy chłopów przychodzących po lekarstwo, pomoc czy ratunek. Jej ojciec był potężnym, wysokim mężczyzną, miał szerokie bary, jasne włosy - rzadkość w tych stronach - i twarz wielką jak słońce; ciepłą, ale daleką, myśli Sari. Mieszkańcy wioski kochali go i bali się go równie mocno. Sari tylko się boją.

Odkąd pamięta, gdziekolwiek się ruszyła, zawsze towarzyszyły jej szepty. Ojciec próbował to jakoś wytłumaczyć.

- To dlatego, że kochali twoją matkę - mówił, ale Sari to nie przekonywało. Też kochała matkę, której nigdy nie widziała, słyszała tylko o niej, i z opowieści i wyobraźni utkała jej obraz: młodej uśmiechniętej kobiety - niewiele starszej niż Sari teraz - która opuściła swoją rodzinę, aby wyjść za mąż za Jana Aranya. Nadal uśmiechnięta, napęczniała rosnącą w niej Sari, a później urodziła ją i umarła.

- Nie chciałam, żeby umarła - poskarżyła się Sari ojcu, gdy po raz któryś usłyszała, jak ktoś syknął „czarownica” za jej plecami.

- Wiem - odparł. - Oni tylko myślą, że jesteśmy pechowi, to wszystko.

To wcale nie było wszystko i Sari dobrze o tym wie, chociaż zawsze doceniała delikatność ojca, który udawał, że jest inaczej. Sari rozumie, że jest dziwna, że coś w jej zachowaniu, sposobie, w jaki patrzy na ludzi, rzeczach, które mówi i wie, różni się od tego, co reszta wsi uważa za właściwe i normalne. Zazdrości innym dziewczętom, gdy spacerują po wsi pod rękę ze swobodną poufałością, ale nie ma pojęcia, jak z jej świata dostać się do ich kręgu, co zmienić w sobie, aby być lubianą. Jedynym ustępstwem, jakie czyni w takich dniach, jest milczenie. Jeśli będzie trzymać buzię na kłódkę, da mniej okazji do nowych

plotek, choć jak w każdej wiosce zawsze znajdują się tacy, którzy z lubością powtarzają bez końca stare.

Tak właśnie zdarzyło się tego dnia, kiedy umarł jej ojciec. Był ranek i Sari stała pod drzwiami domu Mecsów w samym sercu gwarnej wioski. Kupowała od Dorthyi Mees butelkę *czereznnye*. Kiedy już wyciągała po nią rękę, dobiegły do niej kobiece głosy - dalekie, choć wyraźne, zagłuszone wysokim nosowym jazgotem Orsolyi Kiss. Sari usłyszała swoje imię i zerknęła w tamtą stronę ukradkiem, nie odwracając głowy. Zobaczyła Orsolę, która przysiadła jednym obfitym poślądkiem na brzegu ganku Gerseków i nachylona do przodu perorowała z szerokim uśmiechem, otoczona trzema lub czterema kobietami. Dwie z nich, jej najlepsze przyjaciółki, Jakova Gersek i Matild Nagy, stały po jej bokach niczym gwardia przyboczna, trzeciej, nieco podobnej do Orsolyi, Sari nie rozpoznała, ale przypomniała sobie, że z Varos miała przyjechać jej kuzynka. Z długoletnią wprawą w usuwaniu się ludziom sprzed oczu, Sari skuliła się, wtopiła w tło i cienie wąskiej, stromej uliczki.

- Nigdy nie była normalna - mówiła Orsolya z fałszywą troską, prawie nie ukrywając radosnego podniecenia ze sposobności zabłyśnięcia ciekawą historyjką. - Jakież to cios dla jej ojca, to taki porządny człowiek. A jej matka... - Orsolya urwała, wznosząc nabożnie oczy do nieba, pozostała trójka poszła jej śladem. - Monika też była dobrą kobietą, co za straszna tragedia, że umarła tak młodo. Czasem dziękuję Bogu, że nie żyje i nie widzi, co wyrosło z jej córki.

- A co ona takiego robi? - spytała kuzynka Orsolyi zduszonym, podekscytowanym szeptem wytrawnej plotkarki.

Ta wymiana zdań była nużąco znajoma, rytualna pieśń z tym samym refrenem. Sari zdała sobie sprawę, że stoi nieruchomo, trzymając w ręce butelkę wódki. Spojrzała na Dorthyę, która podniosła brwi i wzruszyła lekko ramionami w geście współczucia. Sari cofnęła rękę, ale pozostała jak przymurowana, nasłuchując uważnie. Ciekawe, o czym opowiesz tym razem, Orsolyo? - zapytała w duchu. O tym, że sprowadziłam na psa wściekliznę, bo załatwiał się przed moim domem? O tym, że rzuciłam urok na dziecko Evy Orczy, bo uważałam, że Eva dziwnie na mnie patrzy? Czy o tym, że mam na plecach znamię w kształcie odwróconego krzyża? A może wymyślisz coś całkiem nowego? No, Orsolyo, rzuciła jej wyzwanie, zadziw mnie czymś!

- Widziałam to na własne oczy - zaczęła Orsolya i Sari powoli się uspokoiła. Słyszała już tę historyjkę i było niemal przyjemnie usłyszeć ją jeszcze raz. Jakby słuchało się bajki. - Musiała mieć wtedy jakieś cztery czy pięć lat - ciągnęła Orsolya z wyraźną przyjemnością. - W niedzielę wszyscy byliśmy w kościele. To było latem, pod koniec lipca albo w sierpniu,

wiecie, jakie wtedy są muchy. Jedna wielka, wypasiona *dongo* krążyła cały czas wokół Sari, a ona oganiała się od niej, jak to dziecko, ale to nic nie pomagało. W końcu usiadła sztywno, jakby kij połknęła, i tylko wbiła wzrok w tę muchę. To wystarczyło. Mucha padła martwa na ziemię.

Teraz w pełnej napięcia ciszy niemal dało się słyszeć plask muchy o podłogę. W innych warunkach Orsolya mogła być niezłą aktorką, ale tu jej repertuar był ograniczony, a Sari znała go na pamięć. Czekala na tę ciszę. Cokolwiek zrobi i tak będą wierzyć, w co zechcą, chyba więc może trochę się zabawić? Zapłaciła Dorthyi, wyliczając pieniądze pewną ręką, i odwróciła się do grupki kobiet. Z pełnym rozmysłem wzięła głęboki oddech, wyprostowała się jak struna, wystudiowanym ruchem odrzuciła włosy na plecy i zmierzyła długim, przeciągłym spojrzeniem - wiedziała, że budziło strach - najpierw Orsolyę, potem jej kuzynkę, w końcu jej bezbarwne, chichoczące przyjaciółki. Z satysfakcją patrzyła, jak głupawe uśmiešky znikają im z twarzy (jak łajno zrzuczone z łopaty, pomyślała). Potem odwróciła się, wsadziła butelkę pod pachę i odeszła.

Zdążyła tylko wrócić do domu i zabrać się do obierania kartofli na obiad, kiedy usłyszała ten dźwięk: ciężki, głuchy łomot z góry (przez chwilę mimo woli pomyślała o musze Orsolyi, spadającej na ziemię). Od razu wiedziała, co się stało, ale wyraz jej twarzy się nie zmienił. Najpierw skończyła obierać kartofle. Potem wstała, otrząsnęła ręce z wody i wytarła je o spódnicę, i bardzo wolno zaczęła wchodzić po schodach. Poszła prosto do pokoju ojca: leżał skulony na podłodze, tak jak się spodziewała. Podeszła do niego, uklękła i przesunęła mu ręką po twarzy, zamykając oczy. Nie żył, to jasne. Coś w odgłosie jego upadku świadczyło, że nie mógł pochodzić od istoty żywej.

Przez pięć minut klęczała przy nim bez ruchu. Nie płakała, nie rozpaczała, nie modliła się (choć później uznała, że nie zaszkodzi powiedzieć ludziom, że się modliła), czuła tylko, jak serce wali jej w piersi i krew pulsuje w skroniach. Nie mogła pojąć tego, że ona żyje, a ojciec umarł. Została przy nim aż do chwili, gdy zdała sobie sprawę z pustki w pokoju i z tego, że ciało na podłodze przestało być jej ojcem i stało się rzeczą. Wtedy uznała, że może je zostawić.

Sari słynie we wsi Falucska z irytującego milczenia, na pogrzebie też otula się nim jak wygodnym starym kocem. Nie płacze, gdy ksiądz wygłasza pean na cześć ojca, nie przyłącza się do zawodzenia otaczających ją kobiet. Na cmentarz przyszła cała wioska, wszystkie oczy spoczywają na Sari. Wielu szczerze oplakuje śmierć Jana, ale niewątpliwie obecność Sari to dodatkowa atrakcja. Gdyby tylko zechciała zrobić coś choćby odrobinę dziwnego, może

roześmiać się podczas mowy pogrzebowej, ożywiłoby to ceremonię i dało temat do rozmów na całe dni. Sari wie, że powoduje nimi nie tyle złośliwość, ile straszna nuda życia w małej wiosce pośrodku wielkiej równiny. Choć nikt się do tego nie przyzna, niektórzy są wdzięczni Sari za zamęt, jaki wprowadza. Gdyby nie ona, w kółko gadano by tylko o zbiorach, ciężach i pogodzie.

Sari czuje na sobie te spojrzenia i postanawia nie spełnić oczekiwań ludzi. To nie mój ojciec, mówi sobie stanowczo i szybko przenosi się myślą gdzie indziej - zdolność wyłączenia się pielęgnuje od lat. Dopiero gdy pierwsza grudka ziemi pada na trumnę, powraca do rzeczywistości: przez chwilę miga jej przed oczami straszny obraz ojca zżeranego przez robaki, zagrzebanego w mogile. Krzywi się gwałtownie, jakby coś ją ukąsiło - mieszkańcy wioski stoją jak na szpilkach, czyniąc w duchu zakłady, co teraz zrobi: rzuci się do grobu, zacznie krzyczeć, aha, na pewno uderzy księdza! Ale ona odwraca się tylko i odchodzi w stronę wsi; ojciec Istvan kontynuuje modlitwę po ledwo zauważalnej przerwie, a tłum wydaje z siebie lekkie westchnienie zawodu.

Jakieś poruszenie na skraju grupki żałobników - to Ferenc Gazdag, który właśnie skończył dziewiętnaście lat. Na jego twarzy maluje się śmiertelna powaga, próbuje pójść za Sari, ale matka zatrzymuje go, zaciskając mu dłoń na ramieniu.

- Zostaw ją - syczy.

Marta Gazdag jest siostrą zmarłej matki Sari i choć niezbyt lubi swoją siostrzenicę (bo, prawdę mówiąc, jak można lubić kogoś tak dziwnego?), jest coś w wyprostowanych plecach dziewczyny, w pogańskiej płachcie czarnych włosów, co czasem przypomina jej siostrę, tę, której grób jest o parę kroków dalej. Sari czuje na sobie oczy wieśniaków. Patrzą, dokąd idzie, choć z góry znają odpowiedź. Nie myślą się, na skrzyżowaniu skręca w lewo, nie w prawo; wbiega po stopniach prowadzących do domku akuszerki i wchodzi do środka.

- Ciociu Judit?

Sari nawet nie wie, czy Judit jest naprawdę jej ciotką. Zawsze tak do niej mówiła, ale podobnie mówi reszta wioski, nawet ludzie starsi. Ten zwrot nakazuje im szacunek dla Judit - pokrewieństwo nie pozwala małym chłopcom rzucać w jej okna kamieniami (choć czasami i tak to robią). Należy tak się do niej zwracać, bo wioska jej potrzebuje, bez względu na to, co się o niej myśli. Judit jest jedyną akuszerką w okolicy, więcej, jedyną osobą w promieniu wielu kilometrów, która potrafi leczyć. Można być moźnym i bogatym, jeździć z synem do Varos na badania lekarskie albo leczyć tam zęby, ale biada, gdy obudzisz się z bólem brzucha

w środku nocy, a ciotka Judit nie przybiegnie ci na ratunek, bo tylko na jej pomoc możesz liczyć.

Dla Sari Judit zawsze była najważniejsza, zaraz po ojcu. A teraz będzie najważniejsza: nie tylko nigdy nie razila jej odmienność Sari, ale wręcz zdawała się ją pociągać, może dlatego że sama aż za dobrze wie, co to samotność. Judit pasuje jak ulał do wizerunku więdźmy. Jest chuda jak szczapa, siwe włosy, które stara się ujarzmić w koku, nieodmiennie buntują się i sterczą jak strzecha wokół głowy. Ma oczy jak węgielki, haczykowany nos i czarną jamę ust, w której zostało tylko kilka zębów.

- Dbaj o zęby! - przestrzega zawsze Sari. - Nawet nie wiesz, jak ci ich później będzie brakować.

Sari nie potrafi zgadnąć, ile Judit ma lat, może siedemdziesiąt albo nawet osiemdziesiąt, ale widząc jej siłę i zręczność, nie bardzo w to wierzy. Judit powtarza, że to ciężkie życie ją postarzyło, zawsze jednak przy tym radośnie chichocze i trudno powiedzieć, czy mówi poważnie. Jej twarz napawa lękiem dzieci, a nawet niektórych dorosłych, co chyba ją cieszy - w każdym razie nie robi nic, żeby prostować krążące o niej plotki.

Teraz wychodzi z kuchni ze szklanką w ręku.

- Sari... Nie powinnaś być na pogrzebie?

Sari krzywi się, ściągając buty.

- Już prawie się skończył. Miałam tego dość, ciociu Judit, dość tych ludzi, ich słów i lamentów. To jest obrzydliwe.

- Wybacz, że nie przyszłam - mówi Judit. Przykuca na drewnianej podłodze na wysokości Sari, która wciąż mocuje się z prawym butem. - Wiesz, że Istvan i ja nie lubimy się spotykać. Ale może powinnam być tam z tobą.

Sari kręci stanowczo głową.

- Daj spokój. Byłabyś tak samo zakłamana jak cała reszta. Umieję sobie dać radę. - Głos jej załamuje się przy ostatnich słowach i nagle zakrywa twarz dłońmi. Judit kładzie jej sękatą rękę na ramieniu, ale nie przytula, bo to wyglądałoby sztucznie. Sari drży, lecz Judit nie sądzi, by płakała. Przez czternaście lat, odkąd ją zna, ni gdy nie widziała jej płaczącej i wątpi, aby właśnie teraz miał być pierwszy raz. Podejrzewa, że z oczami dziewczyny jest coś nie w porządku, po prostu nie wydzielają łez.

Po jakimś czasie Sari przestaje się trząść i opuszcza ręce; przez chwilę siedzi w nienaturalnym bezruchu, który budzi strach i odstręcza od niej ludzi, w końcu przesuwa dłońią po twarzy.

- Przepraszam - mówi cicho.

- Nie szkodzi - zapewnia Judit. - Poczekaj.

Idzie do kuchni i wraca ze szklaneczką przezrzystego płynu, którą wręcza Sari.

- Wypij. To ci dobrze zrobi.

Sari przełyka napój paroma łykami i krzywi się niemiłosiernie.

- Ciociu Judit, ta wódka wyszła ci jeszcze gorzej niż przed rokiem. Nic dziwnego, że ojciec zawsze kupował ją od Meców, a nie od ciebie.

Judit wzrusza ramionami.

- I tak dobrze ci zrobi.

Za oknem słychać chrzęst kroków na piaszczystej drodze.

- Pogrzeb się skończył - mówi Sari. Z rozmysłem przybiera lekki ton, ale Judit wie, co ją gnębi.

- I co teraz z tobą będzie?

Słuszne pytanie. Dom, w którym Sari wyrastała pod opieką ojca, należy teraz do niej. Jedyne, czego pragnie, to wrócić tam, pochodzić po pokojach, gdzie ojciec wciąż jest obecny. Ale nie może tam zostać. Dziewczęta nie mieszkają same, podobnie jak dorosłe kobiety, chyba że są wdowami, i choć Sari wmawia sobie, że nie dba o niczyje zdanie, to mimo wszystko nie chce stać się jeszcze większym wyrzutkiem. A poza tym...

- Jest jeszcze Ferenc - mówi.

- Tak, Ferenc - powtarza wolno Judit. - To chyba miły chłopak..

- Owszem - przyznaje Sari.

Ogólnie biorąc, żywi jakąś sympatię do być może swojego przyszłego męża. Sam pomysł małżeństwa wciąż ją nieco mierzi, ale rozumie teraz, co ojciec miał na myśli. Przez ostatnich kilka dni czuła ciężką, zimną bryłę strachu w piersi i - rzecz dziwna - tylko myśl o Ferencu stanowiła pewną pociechę. Przynajmniej on jeden musi być dla niej miły, musi się nią zaopiekować (choć szybko dodaje w duchu, że doskonale potrafi sama o siebie zadbać).

- Wydaje się, że to będzie następny krok... - zaczyna Judit, ale Sari kręci gwałtownie głową.

- Nie, jeszcze nie. Dopiero jak skończę osiemnaście lat. Obiecałam. Do tej pory sama dam sobie radę.

- Dobrze, dobrze! - Judit podnosi ręce w pojednawczym geście. - Ale powiedz mi chociaż, z czego zamierzasz się utrzymywać?

Sari czerwieni się. Nie jest nieśmiała, ale dumna i nigdy o nic nie musiała prosić, ciężko jej więc znaleźć słowa, choć podejrzewa, że Judit wie, co powie.

- Tak sobie myślę... - mówi powoli - myślę, że mogłabym pracować z tobą. Pomagałabym ci i zaczęła się uczyć twojego fachu. Jeśli się zgodzisz.

Rozdział 2

Ferenc wciąż czuje ciepło tam, gdzie spoczęły na nim oczy Sari podczas pogrzebu. To uczucie jest niemal bolesne i nieznośnie podniecające. Przykro mu z powodu śmierci Jana - w końcu to jego wuj - ale jednocześnie płonie nadzieją, że da mu to szansę zdobycia Sari prędzej, niż mógł się spodziewać.

Pół roku temu w ogóle o niej nie myślał, a jeśli już, to z tą samą mieszaniną litości i drwiny co reszta mężczyzn z wioski. Przedzierał się przez okres dojrzewania z głową pełną obrazów ponętnych blondynek, rozkosznie zaokrąglonych i różowolitych, i gdyby ktoś mu wtedy powiedział, że jego myślami zawładnie chuda, czarnowłosa dziewczynka, wyśmiałby go.

A jednak...

Pamięta dokładnie chwilę, kiedy to się zdarzyło. Pół roku temu na wiosnę: komary unosiły się nad rzeką jak mgła; kwiaty obsypały drzewa i ziemię; upał wisiał w południowym powietrzu jak smużka dymu. Poszedł z ojcem do Jana Aranya - po co? Chyba po poradę w jakiejś drobnej sprawie. Usiedli wraz z nim przy starym drewnianym stole kuchennym, słuchając, co wuj ma do powiedzenia.

Ferenc nie zwracał uwagi na obecność Sari, która kręciła się po kuchni, aż nagle Jan zadał jej jakieś pytanie; dziewczyna odwróciła się i podniosła głowę, a jej oczy - te oczy! - przewierciły Ferenc'a na wskroś. Nie potrafiłby opisać reszty jej twarzy, stopiła się z tłem, zostały tylko oczy. Były jasne, lodowatoniebieskie, otoczone gęstymi ciemnymi rzęsami - ale to nie ich uroda przyciągała uwagę, tylko przenikliwość i głębia. To nie były oczy czternastolatki i Ferenc poczuł się nagle, jakby ktoś po raz pierwszy zajrzał mu w duszę.

To spojrzenie go pogrążyło. Sari wkradła się w jego myśli i już tam została, czasem czając się gdzieś w głębi, innym razem przebijając się na powierzchnię - najczęściej oczywiście wtedy, gdy się masturbował. Przedtem robił to, przywołując w pamięci dwudziestoletnią blondynkę z Austrii, którą widział nad Balatonem, ale teraz jego fantazje erotyczne opanowała całkowicie Sari. Austriacka piękność w marzeniach patrzyła na niego z uwielbieniem, teraz mierzyła go surowym wzrokiem tamtej albo w momencie szczytowania jej twarz rozpadała się i zastępowała ją twarz Sari. Było to kłopotliwe i irytujące. Ferenc robił wszystko co w jego mocy, żeby pozbyć się tych fantazji. Po upokarzającej, prowadzonej szeptem rozmowie z ojcem Istvanem próbował postów i modłów oraz zimnych kąpieli, ale bez skutku. Nie był szczególnie lotny, ale nie umknęła mu ironia losu: jedyny człowiek, który byłby w stanie mu pomóc, nie mógł się o niczym dowiedzieć, bo rzecz dotyczyła jego córki.

W końcu jednak to Jan rozwiązał sprawę. Ferenc wolałby wierzyć, że był to jeden z owych dziwnych, choć brzemiennych w skutki przypadków, gdyby nie świadomość, że Jan nie zdawał się nigdy na przypadek, zwłaszcza gdy chodziło o Sari. Pół roku wcześniej Ferenc oślepiły oczy dziewczyny, pięć miesięcy temu ojciec poprosił go, żeby zaniósł coś Janowi. Ferenc się zgodził, choć niechętnie, bo bał się zobaczyć Sari. Unikanie spotkań stanowiło jedyny sposób na uwolnienie się od snów.

Szczęśliwym trafem czy też zgodnie z planem Sari nie było w domu.

- Jest u Judit Fekete - wyjaśnił Jan, odpowiadając na niezadane pytanie. - Siadaj - dodał, wskazując krzesło naprzeciwko i kiedy Ferenc oddał mu dług, wręczając kilka monet, Jan otworzył butelkę wina i nalawszy pół szklaneczki gęstego, czerwonego płynu, popchnął ją w kierunku Ferenc. - Napij się.

Ferenc usiadł niepewnie i upił łyk wina. Ku jego zdumieniu było dobre - nie aż tak dobre, jakie zwykło się pić u niego w domu, oczywiście, ale bogate w smak i aromat. Zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy: że Jan zna się na trunkach i że stara się dogodzić mu albo zaimponować. Jedno i drugie go przstraszyło. Jan nie należał do osób, które chciałyby komukolwiek imponować: działało się tak samo przez się albo nie. Siedział więc zdenerwowany na brzeжку krzesła, sącząc wino.

- No cóż - odezwał się Jan.

Ferenc czekał na resztę zdania, a kiedy się nie doczekał, podjął usłużnie:

- No...

- Chodzi o moją córkę - rzekł Jan.

O Boże. Ferenc poczuł, że cały sztywnieje, jakby Jan przejrzał go na wylot i zobaczył jego najskrytsze, wstydlive fantazje. Odchrząknął z zakłopotaniem i wbił wzrok w stół.

- Podoba ci się - ciągnął Jan. Ferenc zachłysnął się winem.

- Tak... owszem... - wyjąkał.

- To dobrze. - Jan się uśmiechnął.

Chłopak, coraz bardziej zaniepokojony, siedział w milczeniu. Czuł się jak pies dręczony przez kota. Wielki i przyczajony patrzył, jak Jan drażni go to jedną, to drugą łapą, przetacza tam i z powrotem.

- Myślałeś już o małżeństwie? - spytał w końcu Jan.

A więc o to chodzi. Gdzieś w głębi duszy Ferenc miał ochotę się roześmiać: to niemożliwe, co to za pomysł, żeby on miał poślubić Sari? Seks to jedno, jasne, nie mógł zaprzeczyć, że jej pragnie, ale ślub? Nie jest *grofem*, ale też nie jest zwykłym wieśniakiem;

rodzina jego ojca dorobiła się majątku i znaczenia, służąc miejscowej arystokracji od setek lat. Teraz mają własną ziemię, znajomości i pozycję - żyją w innym świecie niż reszta wioski.

- Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym - odpowiedział. Ale zastanawiał się, zastanawiał; trudno mieć osiemnaście lat i nie myśleć o małżeństwie. W jego rodzinie przyjęto z góry, że nie ożeni się z nikim z wioski, że musi rozejrzeć się gdzie indziej za kimś, kto będzie mu równy, a teraz zdaje sobie nagle sprawę z trwogą, ale i z podnieceniem, że gdyby miał poślubić kogoś z Falucski, właśnie Sari, której matka była jego ciotką, jest najwłaściwszą kandydatką.

- Miałem nadzieję, że wybierzesz moją córkę.

W pamięci Ferenc'a ożywa pewien obraz. Kilka lat temu, gdy był z rodzicami na wakacjach w Budapeszcie, poznał pewną dziewczynę. Wyglądała jak mała szara myszka, miała błyszczące kasztanowe włosy i przestraszoną buzię, a jej rodzice przedstawili ich sobie z wielką jowialnością; najwyraźniej oczekiwano po nich, że się zaprzyjaźnią. Starał się, jak mógł, ale każda historyjka, którą jej opowiedział: o pływaniu w rzece, o chodzeniu po drzewach, o łapaniu żab i baraszkowaniu z psami, sprawiała, że dziewczyna kuliła się z ledwo skrywanym wstrętem i przerażeniem. Wyraził się o niej potem dość lekceważąco w rozmowie z rodzicami, za co został skarcony przez ojca, który pouczył go, że mała pochodzi z dobrej rodziny, odebrała właściwe wychowanie i byłaby dla niego odpowiednią partią. Ten sygnał uzmysłowił mu, jak jego życie może się zmienić, kiedy posłusznie weźmie za żonę pannę z towarzystwa. Sari byłaby inna, pomyślał.

- Wydaje mi się... - zaczął, nie bardzo wiedząc, co właściwie chce powiedzieć, ale Jan wybawił go z kłopotu podniesieniem ręki.

- Nie musisz w tej chwili decydować. Ty i Sari mało się znacie. Ale ja nie czuję się dobrze. - Jan zawiesił głos. - Ona o tym nie wie... A może wie, trudno wyczuć, co wie, a czego nie. W każdym razie już długo nie pociągnę. Wiem, co wioska myśli o Sari, i martwię się, co się z nią stanie po mojej śmierci, kto się nią zaopiekuje. Jesteś dobrym chłopcem, Ferenc, i z pewnością będziesz porządnym człowiekiem. Widziałem, jak patrzysz na Sari, a przy twoim wychowaniu jesteś mniej podatny na przesady niż cała reszta. Z pewnością widzisz, jak niewiele jest prawdy w tym, co mówią o mojej córce. Poza tym jej matka pochodziła z twojej rodziny, łatwiej więc wam przyjdzie zgodzić się na nią.

Ferenc pokiwał głową. To wszystko było bardzo dziwne, ale nie ma rzeczy niemożliwych, a nuż się uda?

- Oczywiście, pewien problem stanowi jej wiek - ciągnął Jan.

- Ma dopiero czternaście lat, jest zbyt młoda na zamążpójście. Jak wiesz, jej matka, twoja ciotka, poślubiła mnie przed szesnastym rokiem życia; jak się okazało, zbyt wcześnie. Myślę, że była szczęśliwa, ale niegotowa do roli matki. Podejrzewam, że zbyt młody wiek mógł się przyczynić do jej śmierci. Ale Sari jest inna. Nie jest dziewczynką, która chodzi z głową w chmurach, marząc jedynie o wyjściu za mąż i dzieciach. Jest mądra, ma własne zdanie i wcale go nie ukrywa. Musi nabrać do ciebie zaufania, musi też ukształtować swój charakter, zanim zostanie twoją żoną. Mówię o tym z tobą teraz z powodu stanu mego zdrowia, ale ostatnia rzecz, jakiej dla niej pragnę, to szybki ślub. Chciałbym, żebyś poczekał, aż skończy osiemnaście lat.

Cztery lata? To nieco ostudziło zapal Ferenc. Jan oczekiwał od niego decyzji, jeśli nie natychmiast, to wkrótce, a skądże on ma wiedzieć, jaka będzie Sari za cztery lata? Może przez ten czas zbrzydnąć, widywał już takie rzeczy. Ale Jan patrzył na niego z wyraźną prośbą w oczach. Nie umiał mu odmówić.

- To wydaje się... całkiem rozsądne - bąknął w końcu. Jan uśmiechnął się lekko ze zrozumieniem.

- Rozmawiałem już o tym z Sari - dodał. - I muszę ci powiedzieć, że przyjęła mój pomysł bez entuzjazmu. Ale to raczej kwestia niechęci do wychodzenia za mąż, a nie do ciebie; w gruncie rzeczy się zgodziła. - Uśmiechnął się szerzej. - A nawet z pewnymi oporami przyznała, że miły z ciebie chłopak.

- To dobrze. - Cóż, zawsze to jakiś początek.

- Tak. Powinienem oczywiście porozmawiać z twoimi rodzicami, ale chciałem najpierw poznać twoje zdanie. Nie musisz się deklarować, odwiedź nas jutro i zacznijcie się bliżej poznawać z Sari. To ważne, żebyś miał pewność, że podejmujesz właściwą decyzję.

- Jan podniósł się z krzesła i z niezdatną czułością klepnął go po ramieniu ciężką dłonią. Ferenc zachwiał się lekko. - Dobry z ciebie chłopak - dodał tonem, który zabrzmiał jak odprawa, z czego chłopak skwapliwie skorzystał i szybko się pożegnał. Tak to się zaczęło.

Ferenc całe lato bardzo się starał. Po rozmowie z Janem i powrocie do domu zdał ojcu sprawozdanie z propozycji, jaką otrzymał. Ojciec roześmiał się krótkim, wzgardliwym śmiechem, który zamarł mu na ustach, kiedy zobaczył wyraz twarzy syna.

- Nie myślisz chyba poważnie... - zaczął.

- Myślę. Obiecałem Janowi, że się nad tym zastanowię.

Po tych słowach ojciec zamilkł na dłuższy czas. Porozmawiał z żoną, która również zamilkła. Ferenc czuł ich niechęć, unoszącą się w powietrzu, zwłaszcza ze strony ojca. Matka,

jak wiedział, czuła się jakoś zobowiązana wobec Sari i chociaż ciężko jej było pożegnać się z marzeniem o uśmiechniętej, ładnej, posłusznej synowej (albo lepiej, synowej z pieniędzmi), niechętnie przyznała, że byłoby właściwe wprowadzić Sari do rodziny. Ona też pierwsza skapitulowała i powoli przekonała męża - tymczasem Ferenc znalazł w sobie nieznane mu dotąd pokłady cierpliwości i uporu i zaczął zabiegać o względy Sari.

Ich pierwsze spotkanie było niezbyt udane. Siedzieli we trójkę przy stole, z Janem w roli przyzwoitki, popijając gęstą czarną turecką kawę i wymieniając z rzadka parę słów. Jan powiedział coś o pogodzie czy o krążącej ostatnio plotce; Ferenc odpowiadał męznym uśmiechem, starając się wymyślić coś dowcipnego, Sari milczała, bębniąc czasem palcami o blat i wędrując wzrokiem po ścianach, oknie, suficie. I nie zatrzymując go ani razu na twarzy Ferenc. Po dwudziestu minutach tej męki rozległo się nieśmiało pukanie do drzwi; Jan wstał z trudem, a nieszczęsny Ferenc skulił się w krześle, czując, że powinien już iść, chociaż niczego nie osiągnął. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo mu zależy na przychylności dziewczyny, jak niechętnie myśli o związku z bezbarwną mieszczką, odkąd zaczął rozważać małżeństwo z Sari. Z sieni dobiegł stłumiony głos Jana, a potem odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, jakby ktoś został wprowadzony do pokoju, w którym przyjmował ludzi z wioski.

- No więc... - chrząknął Ferenc nerwowo, a wtedy ona znowu przeszła go tymi swoimi jasnymi, przenikliwymi oczami i spytała:

- Lubisz czytać?

- Co? Ja? Cóż... - zająknął się i zapytał zdziwiony: - Umiesz czytać?

Skinęła głową ze wzgardliwą miną.

- Oczywiście. Po węgiersku i po niemiecku. Ojciec mnie nauczył. - Wstała, wzięła książkę z półki i rzuciła przed nim na stół. - Proszę bardzo.

Obrócił książkę w rękach: gruby, oprawiony na granatowo tom, ze stronami wystrzępionymi na rogach od częstego użycia. Otworzył okładkę, na stronie tytułowej widniał napis po niemiecku: „Jane Eyre von Charlotte Bronte”. Podniósł wzrok na Sari, która wpatrywała się w niego intensywnie.

- Czytałeś to? - spytała. Pokręcił głową przepraszająco.

- Nie. Nie mam czasu na czytanie. Sama wiesz, jak to jest z robotą w gospodarstwie i... i innymi rzeczami... - Wzruszył ramionami, starając się przekazać jej wagę ciężkich obowiązków, jakie spoczywają na jego męskich barkach i nie pozwalają mu oddawać się czczym rozrywkom.

- Aha - odparła matowym głosem. Było oczywiste, że jest rozczarowana i Ferenc niemal poczuł bijące od niej rozczarowanie i żywą inteligencję.

- Mogłabyś mi opowiedzieć, o czym to jest - podsunął nieśmiało, a Sari obrzuciła go ostrym, badawczym spojrzeniem, sprawdzając, czy z niej nie kpi.

- Tak - powiedziała po chwili. - Mogłabym.

Z biegiem czasu szło im coraz lepiej. Ferenc przyszedł do niej nazajutrz po pierwszej rozmowie i upewniwszy się, że Sari może poświęcić mu godzinę, wziął ją na spacer nad rzekę, na tyłach domów. W oknach poruszała się firanka za firanką, kiedy przechodzili. Opowiadał jej najnowsze miejscowe ploteczki, kto z kim rozmawiał, kto co kupił na targu - zdawał jej drobiazgowo sprawozdanie z życia wioski. Sari początkowo milczała, ale zauważył, że na wzmiankę o niektórych ludziach jej twarz wykrzywia grymas. Szczególnie dotyczyło to Orsolyi Kiss.

- Wiesz, co jeszcze dziś widziałem? - zagadnął tego dnia nad rzeką pozornie niedbałym tonem.

- Co? - spytała ostrożnie.

- Szedłem przez plac i natknąłem się na Orsolyę Kiss. - Zobaczył, że Sari sztywnieje, ale ciągnął dalej: - Kupiła kartofle od Gyulaiów. Było tego tyle, że zacząłem się zastanawiać, jak zdoła donieść je do domu. - Obserwowała go ukradkiem, starając się nie okazać zainteresowania, ale rzuciła mu przenikliwe spojrzenie spod rzęs. - Właśnie przechodził Tomas Gersek z tym swoim wielkim psem, wiesz? - Sari kiwnęła głową. - Ten pies załatwił się na placu. A Orsolya, dysząc i walcząc z ogromną górą ziemniaków, nie patrzyła pod nogi i weszła prosto w sam środek psiej kupy, poślizgnęła się i upadła, a kartofle rozsypały się na wszystkie strony... - Udało się! Sari wybuchnęła śmiechem. - Ja też się śmiałem - zwierzył się Ferenc. - Musiałem ukryć się w uliczce, żeby mnie nie zauważyła.

Sari spojrzała na niego i uśmiechnęła się pierwszym prawdziwym uśmiechem, jaki u niej widział. Ogarnęło go takie poczucie szczęścia i triumfu, że miał ochotę głośno krzyczeć z radości, wziąć ją w ramiona i uciec z nią do lasu.

Na razie jednak odpowiedział jej tylko szerokim uśmiechem.

Kiedy następnym razem poszli na spacer, Sari rozwiązał się język. Szli wzdłuż rzeki i Sari zatrzymywała się co kilka kroków, żeby zerwać jakieś zioło.

- Anyżek - wyjaśniała zwięźle, jak to ona. - Dobry na kaszel. Albo:

- Rumianek. Na trawienie.

- Ostrożnie! - próbował żartować. - Nie mów mi za dużo, bo odbiorę chleb twojemu ojcu.

Roześmiała się.

- Nie mówię ci dużo! Trzeba wiedzieć, jak przygotować zioła, z czym je mieszać, ile ich użyć, żeby pomogły. To nie wszystko

- dodała, a jej twarz stężała. - Trzeba jeszcze zrobić to i owo, żeby lekarstwo podziało.

- Wiele się nauczyłaś od ojca - zauważył Ferenc. Poczł się trochę nieswojo.

Zielarz *taltós* był człowiekiem, który budził więcej szacunku niż strachu, z *boszorkany*, jego kobiecym odpowiednikiem, rzecz miała się odwrotnie.

Sari wzruszyła niedbale ramionami.

- Od ojca i od Judit - dorzuciła, a widząc, że Ferenc się wzdrgnął, zmieniła nagle nastrój, czego mógł się poniekąd spodziewać.

- Tylko mi nie mów, że jesteś taki jak reszta! Judit robi to samo co mój ojciec, prawdę mówiąc, są tacy, którzy wolą zasięgać porady u niej. Czemu ludzie szanują ojca, ale nie Judit? Bo jest kobietą?

Wypuściła powietrze ze świstem, a Ferenc pomyślał, że jeszcze nigdy nie wypowiedziała naraz aż tylu słów. Ku swemu zdumieniu poczuł, że się z nią zgadza. Chyba nigdy nie będzie mógł być całkiem swobodny w obecności Judit - wyglądała tak dziwnie.

- Masz rację - powiedział jednak poważnie. - To niesprawiedliwe.

Na trzecim spacerze opowiedziała mu historię Jane Eyre, w krótkich zwięzłych zdaniach. Nie była to książka, po którą Ferenc sięgnąłby sam z siebie - gdyby w ogóle czytał, wybrałby opowieści przygodowe, o wojownikach albo piratach - ale Sari coraz bardziej go fascynowała, słuchał jej więc z uwagą i rosnącą ciekawością. Bohaterką była kobieta nieprzeciętna, wykształcona - taka postać musiała pociągać Sari.

- Ale ten pan Rock... Roch... - zająknął się przy angielskim nazwisku.

- Rochester - podpowiedziała.

- No właśnie. Nie rozumiem, dlaczego Jane go pokochała? Jest stary, niezbyt przystojny, ma córkę i żonę.

Sari wzruszyła ramionami.

- Myślę, że obudził jej ciekawość - odparła z namysłem. - W życiu niektórych ludzi niewiele do tego trzeba.

Na czwartym spacerze pocałował ją. Był pewien, że go spoliczkuje, kopnie albo nawet przeora mu paznokciami twarz, ale śnił o niej w dzień i w nocy i nie mógł się już powstrzymać: po prostu musiał jej dotknąć. Sari początkowo zeszywniała, ale ku jego zdumieniu i radości, kiedy otrząsnęła się z zaskoczenia, oddała mu pocałunek. Całował już inne dziewczęta - podczas ukradkowych schadzki na wakacjach - ale z nią to było coś innego. Nie mogła mieć żadnego miłosnego doświadczenia, to jasne - jakim cudem w Falucse nadarzyłaby się ku temu okazja? Nie wyobrażał sobie, aby któryś z miejscowych chłopców odważył się ją pocałować. Ale Sari z jakąś wrodzoną spontanicznością przyłgnęła do niego, unosząc się na palcach i odchylając lekko głowę, a kiedy podniósł rękę i dotknął jej policzka, przekonał się, że jej skóra płonie. Pocałunek nie trwał długo, lecz gdy się od siebie oderwali, w głowie mu szumiało, serce waliło jak młotem, w całym ciele czuł jego bicie. Dziewczyna zaś sprawiała wrażenie irytująco opanowanej, stała ze skromnie spuszczonej oczami i tylko lekki rumieniec na bladej twarzy zdradzał, że coś między nimi zaszło.

- Sari - szepnęła chrapliwie, głównie po to, by poczuć smak jej imienia.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Muszę już iść - stwierdziła.

Piąty spacer miał się odbyć w dniu po śmierci Jana, został więc odwołany.

Dopiero kilka dni po pogrzebie Ferencowi udaje się zobaczyć z Sari. Marzy o tym, żeby z nią porozmawiać, dowiedzieć się, jak się czuje, a co więcej, jakie ma plany. Niepostrzeżenie w ciągu tego lata pomyślał, żeby ją poślubić, przerodził się z niejasnej propozycji w coś, co uznaje za pewnik. Sari ma tylko czternaście lat, to prawda, ale w listopadzie skończy piętnaście i choć to młody wiek, będzie już mogła zawrzeć małżeństwo. Co innego, gdyby Jan żył, Ferenc mógł czekać, ale teraz uznał, że pragnie wziąć ją za żonę od razu, pragnie tego jak niczego na świecie i jest gotów się zenić. Zresztą, cóż pozostaje Sari? Czy ma zamieszkać sama w ojcowskim domu na skraju wioski i klepać biedę? Lepiej chyba, żeby się wprowadziła do gospodarstwa Gazdagów, pod opiekę rodziny, której i tak jest już częścią. Żyłaby jak królowa, żadna inna dziewczyna z wioski nie ma co marzyć o takim życiu. I może... może to by ją trochę zmieniło, wygładziło ostre kany - kiedy skończy osiemnaście lat, może już być za późno. Oczywiście, Ferenc kocha ją taką, jaka jest - jeśli to nie prawdziwa miłość, to w każdym razie coś do niej zbliżonego - ale, prawdę mówiąc, nie zaszkodziłoby, gdyby była trochę bardziej podobna do innych dziewcząt.

Chciał z nią porozmawiać od dnia pogrzebu, ale ciągle przebywała z Judit Fekete, która mimo wszystko nadal budzi w nim lęk. To śmieszne, bać się drobnej staruszki, nie może jednak zapomnieć jej dzikich, złowrogich czarnych oczu. W końcu po czterech dniach wypatrzył, jak Sari opuszcza rankiem dom Judit - sama! - i kieruje się, okrążając wioskę, do domu pod lasem. Poszedł za nią, zachowując wstydlivy dystans; trzymał się z tyłu, kiedy Sari weszła na łąkę, a potem obserwował ją, gdy wchodziła na ganek, sprawdzając nogą każdy stopień, czy nie jest przegniły lub śliski. Jakiś niezrozumiały strach nie pozwolił mu do niej podejść, ociągał się, chodził tam i z powrotem, aż drzwi się znów otworzyły i Sari wyszła na próg, zasłaniając oczy przed słońcem.

- Ferenc! - zawołała, a jego stopy zaczęły się poruszać niemal niezależnie od woli; był uszczęśliwiony, a jednocześnie zły na siebie za ten odruch natychmiastowego posłuszeństwa.

Kiedy dociera na miejsce, ona już nie czeka w drzwiach. Zastaje ją na kolanach w kuchni, jak szoruje podłogę.

- Ten dom... - sapie. - Kurz wszędzie tak szybko się zbiera. Ferenc nie wie, co odpowiedzieć; stoi, przestępując niezdarnie z nogi na nogę.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało - mówi w końcu, sięgając do kieszeni spodni.
- Przyniosłem ci coś, Sari.

Wyciągnięta dłoń z książką lekko drży. Sari przysiada na piętach i patrzy przez chwilę w milczeniu, po czym wyciera mokrą rękę o spódnicę i bierze książkę.

- Nie wiem, czy ją czytałaś - ciągnie Ferenc z zakłopotaniem - ale pomyślałem, że...

Sari otwiera stronę tytułową.

- *Wichrowe Wzgórza* - mówi do siebie.

- Napisała ją ta sama autorka...

- Nie, to jej siostra - przerywa Sari i uśmiecha się, widząc jego zawiedzioną minę. - Nie czytałam tej powieści - dodaje nadspodziewanie ciepłym tonem - ale słyszałam o niej. Dziękuję. Skąd...

- Mama ją miała - Ferenc mówi szybko przygotowaną kwestię, bo nie chce się przyznać, że pojechał po nią specjalnie do Varos.

- Nie będzie zła, że ją wzięłaś?

- Mama niewiele czyta.

Sari wstaje z podłogi i kładzie książkę ostrożnie na stole.

- Siadaj. - Ruchem ręki wskazuje mu krzesło. Zalega napięta cisza.

- Jak się czujesz? - pyta w końcu Ferenc.

- Dobrze. Smutno mi, ale dam sobie radę. Spodziewałam się tego.

- Musisz się martwić, co dalej - nieśmiało zauważa Ferenc.

- Muszę? - Sari unosi brwi.

- No, zostałam całkiem sama i musisz... nie możesz mieszkać tu samotnie i... i... Nie rozmawiałem o tym jeszcze z rodzicami, ale jestem pewien... Wiem, że Jan mówił, że powinniśmy poczekać, aż... Ale teraz wszystko się zmieniło. - Milknie, sprytnie nie powiedziawszy nic konkretnego, ale wyraziwszy swoje intencje w niedokończonych zdaniach.

- Ach... - mówi ona. - Podejrzewałam, że możesz o tym pomyśleć.

- A więc...?

- Nie.

Chłopak czuje się, jakby ciężki cios w piersi odebrał mu dech. Sari wzdycha lekko i nagle wydaje się o wiele starsza.

- Lubię cię, Ferenc. Sama jestem zdziwiona, jak bardzo cię lubię. I chętnie wyjdę za ciebie, kiedy skończę osiemnaście lat, jeśli dalej będziesz tego chciał. Ale nie teraz. Przyrzekłam ojcu, że jeszcze nie teraz.

- I co zrobisz? Przecież nie możesz... - Trudno mu ścierpieć myśl, że Sari zamieszka sama w starym domu; to tylko jeszcze bardziej odsunie ją zarówno od mieszkańców wioski, jak i od rzeczywistości.

- Nie mam zamiaru tu mieszkać. Judit mówi, że mogę przenieść się do niej i zostać jej pomocnicą.

- Judit! - wykrzykuje Ferenc.

Jest wściekły, zły i upokorzony, ale nie potrafi powiedzieć dlaczego. Po prostu pragnie jej, i tyle, a gdy już myślał, że będzie ją miał, ona się wycofuje; jak to możliwe, że woli...

Sari kładzie mu rękę na dłoni.

- Przepraszam, Ferenc. Widzę, że jesteś rozczarowany. Musisz być cierpliwy, to wszystko. Nie chcę łamać obietnicy, którą dałam ojcu. I nie mogę... nie jestem...

Waha się, co u niej rzadkie, myśli Ferenc. Zwykle z jej ust padają krótkie, treściwe zdania, dokładnie sformułowane, wyrażające zdecydowaną opinię.

- Nie jestem gotowa - dopowiada Sari w końcu. - I czuję, że to nie jest właściwy czas.

- Niewłaściwy na co? Dla kogo?

- Nie wiem. Po prostu czuję, że teraz byłoby to niestosowne. Ferenc z przerażeniem łapie się na tym, że łzy cisną mu się do oczu i przez chwilę jej nienawidzi. Ilekroć jest w towarzystwie Sari, tylekroć ma wrażenie, że nie jest sobą, że staje się sobie coraz bardziej obcy. Nie uważa się za kogoś wyjątkowego, ale zawsze wierzył, że cechuje go

odpowiedzialność, równowaga charakteru, godność. Tymczasem w ciągu ostatnich kilku miesięcy zachowywał się jak oszalały koń, dręczony przez gza, popadający w nieuzasadniony błogostan, gdy przyczyna irytacji znika. Jest zaskoczony, że Sari budzi w nim tak mocne uczucia, jakich istnienia nawet nie podejrzewał, ale przebywając z nią, często sam siebie nie lubi.

Dwukrotnie, odkąd ją poznał, miał dziwne sny, w których nawiedzały go *szepasszony*, wróżki - i chociaż wie, że Sari jest zwyczajną dziewczyną, czasem ma się przed nią na baczności.

- Chyba powinieneś już iść - mówi Sari i Ferenc zdumiony patrzy na swoje ręce, zaciśnięte kurczowo na brzegu stołu w konwulsyjnym, niemal agonalnym geście. Później znajdzie długie, odbite głęboko bruzdy na wewnętrznych stronach dłoni. Zaczyna powoli oswajać się z myślą, że jego oświadczenia nie zostały przyjęte.

- Tak - odpowiada, nie ruszając się.

To ona wstaje, podchodzi do drzwi i otwiera je.

- Do widzenia, Ferenc - żegna go łagodnie. - Odwiedź mnie, gdy poczujesz się lepiej.

Ferenc wychodzi.

Rozdział 3

Lato nie daje jeszcze żadnego znaku, że szykuje się do odejścia, kiedy nagle pewnego dnia ziemia zaczyna kaszleć i wszystkie żółte liście spadają z drzew, zaścielając trawę jak muszelki. Sari czuje się, jakby czekała na coś nieuchwytnego i nieokreślonego. Choć lubi Judit, mieszkanie z nią jest trochę kłopotliwe. Judit nie mieszkała z nikim od lat - plotka głosi, że miała kiedyś męża, bardzo dawno temu, w młodości, ale Sari nie bardzo w to wierzy: to niewyobrażalne, by ciotka była kiedykolwiek inna. Kiedy natyka się na nią wcześniej rano, Judit zawsze jest jakby zdumiona i nieco niezadowolona. Sari zdaje sobie sprawę, że musi się przyzwyczaić do jej humorów i kaprysów, ale to nie takie łatwe.

Mimo to Sari uważa, że wszystko jest na dobrej drodze. Tęskni za ojcem, kochała go za to, kim był, i za to, jak ją traktował. Od kiedy pamięta, zawsze odnosił się do niej jak do istoty rozumnej i wtajemniczał ją w swoją pracę, a im była starsza, tym bardziej zdawała sobie sprawę, jakie ma szczęście i jak w tym względzie różni się od innych dziewcząt z wioski. Kiedy umarł, bała się, że wszystko się skończyło, że zostanie nieuchronnie wtłoczona w formę, z której wyciskano większość kobiet. Kto ją teraz będzie uczył? Kto zadba, żeby czytała i mówiła swobodnie po węgiersku i niemiecku? Judit o to dba i Sari jest jej głęboko wdzięczna. Ciotka docenia bystry umysł dziewczyny i z radością karmi ją wiedzą dzień po dniu, a i sama chłonie wiedzę, którą Sari przekazuje jej po ojcu. Słucha, przekrzywając głowę, o dodatkowych właściwościach ziół, których używają, albo o skuteczniejszych sposobach ich przygotowania. Judit ufa Sari, pozwala jej mieszać medykamenty i zbierać zioła. Wkrótce - obiecuje - weźmie ją ze sobą do porodu, kiedy nadejdzie czas Evy Orczy.

Przy całej miłości, jaką żywiła do ojca, Sari zawsze wiedziała, że uczył ją mimo tego, że jest dziewczynką; teraz z radością przekonuje się, że Judit nie ma takich uprzedzeń, a nawet wręcz przeciwnie.

- Dysponujemy wielką siłą - mówi - tutaj... - pokazuje na swoje płaskie piersi - i tutaj... - przesuwa rękę po brzuchu i skrytych w mrokach spódnicy udach - a zwłaszcza tutaj! - Sprośnym gestem wskazuje na krocze, opatrując to porozumiewawczym mrugnięciem.

Sari niejasno wyczuwa tę siłę, kiedy jest z Ferencem, ale pod wpływem Judit zaczyna rozumieć, jaką władzę ona daje. Może, myśli, są takie obszary życia, gdzie bycie kobietą stanowi zaletę, nie przeszkodę.

Wie jednak, że Judit nie mówi jej wszystkiego. Stosuje o wiele więcej zaklęć i tajemnych formuł, niż kiedykolwiek robił to ojciec, a niektóre sprawy zachowuje tylko dla siebie. Może tydzień lub dwa po przeprowadzce w środku nocy Sari obudziło pragnienie;

przeszła po omacku przez nieznany dom do kuchni po wodę i stanęła zaskoczona w drzwiach. Judit siedziała przy stole, oświetlonym tylko przyćmioną lampką oliwną, pogrążona w cichej rozmowie z bladą kobietą, której Sari nie знаła, o ściągniętej smutkiem twarzy.

Judit podniosła wzrok i zmarszczyła brwi.

- Całkiem o tobie zapomniałam - powiedziała z rozdrażnieniem, a Sari szybko chwyciła dzbanek z wodą i czym prędzej uciekła.

Rano kobiety już nie było, a Judit odpowiadała na pytania Sari krócej niż zwykle.

- Jest z sąsiedniej wioski - rzuciła tylko. - Nie musisz się o nią martwić.

Od tej pory kilkakrotnie Judit, wychodząc z domu, kręciła przecząco głową, kiedy Sari ruszała za nią. Sari przestaje ciągnąć ją za język - dowie się wszystkiego w swoim czasie. Czasem jednak, leżąc w łóżku i słysząc, jak Judit krząta się po kuchni i mruży coś pod nosem, sama sobie zadaje pytanie, czy naprawdę chce wszystko wiedzieć.

Jest jeszcze Ferenc: ten problem dręczy ją najbardziej. Po odrzuceniu oświadczeń nie pokazywał się przez dobrych kilka dni, co niespodziewanie sprawiło jej przykrość. Ze zdumieniem stwierdziła, że naprawdę go lubi. Jest solidny i to ją pociąga; sama często czuje się niepewnie, jak długa trawa, targana wiatrem na puszczy, i ma nadzieję, że Ferenc pomógłby jej znaleźć bezpieczną przystań. Nie należy też lekceważyć szacunku, jakim mógłby ją otoczyć. Sari nie pamięta, aby kiedykolwiek traktowano ją inaczej niż z lekką pogardą, zamaskowanym strachem lub protekcyjną litością, i chociaż wmawia sobie, że nic jej to nie obchodzi, w głębi ducha chciałaby być lubiana. W wyobraźni widzi, jak idzie z nim przez wioskę, a ludzie nie odwracają od niej oczu i nie zasłaniają ust, żeby ukryć szept.

Po kilku dniach Ferenc znów zaczął ją odwiedzać, co przyjęła z ulgą. Ale coś się zmieniło. Ich rozmowa nadal była swobodna i przyjacielska, on czasem zapadał jednak w milczenie, a wyraz jego twarzy, kiedy na nią patrzył, budził w niej niepokój. Brakuje jej teraz jego prostoty, która gdzieś się ulotniła, i Sari nie wie, jak ją przywrócić. Ferenc nie próbuje już jej pocałować i Sari nie jest nawet pewna, czy są zaręczeni, skoro nie dopełnili tradycyjnej ceremonii, pijąc z tego samego kubka. Ale może Ferenc i jego bogata rodzina, często podróżująca do Budapesztu, jest ponad takie bzdury? W wolnych chwilach haftuje dla niego chusteczkę, jaką noszą zaręczeni mężczyźni, chociaż nie wiadomo, czy będzie miała odwagę mu ją dać - nie dlatego, że ścięgi są niezdarne, lecz dlatego, że nie jest pewna, co by to dla niego znaczyło.

Mimo wszystko nadal jest przekonana, że podjęła właściwą decyzję, nie wychodząc pośpiesznie za mąż. Z jakiegoś powodu wie, że jest coś, co Ferenc musi najpierw zrobić, i cokolwiek to jest, napawa ją strachem. Miewa sny, z których budzi się, wpychając sobie do

ust koc albo pasmo włosów, żeby głośno nie krzyżeć. Nigdy nie pamięta tych snów (ojciec palił zioła, żeby sobie przypomnieć i opowiedziała mu o nich, ale wstydzi się prosić o to Judit), pamięta jedynie niespokojny ruch, ciemność i uczucie, że się w coś zapada i nie może wydostać. Ma wrażenie, że jest w tych snach Ferencem, i to ją tylko umacnia w jej postanowieniu.

Był wrzesień, kiedy zobaczyła *delibab*.

Eva Orczy urodziła dziecko z pomocą Judit i Sari. Judit mówi, że to był łatwy poród, co tym bardziej napawa Sari grozą. Jest biała jak papier i wstrząśnięta, w uszach wciąż słyszy krzyki, a w oczach ma obraz Ewy, rozdartej na pół, wydzielającej z siebie ciemną, gęstą maź. „Piękny chłopak” - grucha Judit (najczulej jak umie), ale Sari jest innego zdania. Noworodek urodził się chudy i pomarszczony, miał nienaturalnie czerwoną skórę i pokrywało go coś na kształt białej łuski.

Kiedy wyszły z pokoju, Sari spodziewała się porozumiewawczego mrugnięcia ze strony Judit, wyrażającego na pół współczucie, na pół rozbawienie tym, że z dzieckiem coś jest nie w porządku. Nic takiego nie nastąpiło.

- To dziecko... - zaczyna w końcu Sari. Judit wzdycha z nadspodziewaną afektacją.

- Tak, udany chłopak.

- Ale czy nie zauważyłaś... - Sari urywa.

- Co miałam zauważyć?

- Wyglądał jak... - Sari krzywi się, nie mogąc znaleźć słów.

- Co, że ma nos Orczych? Tak, biedne dziecko. Ale to było do przewidzenia.

Sari niecierpliwi się.

- Nie chodzi o nos! Chodzi o jego skórę, o jej kolor! - Milknie zakłopotana, bo Judit zatrzymuje się w pół kroku i wybucha śmiechem.

- Nie mówisz chyba poważnie? To zwyczajne niemowlę. Tak wyglądają noworodki! - Przestaje się śmiać i wzdycha głęboko. - Musiałaś już przecież widzieć... Chociaż nie, nie musiałaś! Zapewniam cię, Sari - dodaje poważnie - że trudno o bardziej udane dziecko. Ciesz się, że nie miał szcurzych łap ani uszu jak *uszogogyermek*... albo głowy wilka; zwłaszcza że musieli go spłodzić w okolicach Wigilii Bożego Narodzenia.

Automatycznie robi znak odwracający złe spojrzenie. Sari robi się niedobrze. Nigdy nie chciała mieć dzieci, a teraz, gdy zobaczyła, jak to naprawdę wygląda, jest przerażona. Za nic w świecie, mówi do siebie, choćby Ferenc nie wiem jak... - Nagle Judit chwytają za ramię i pokazuje coś palcem.

Stoją na skraju wioski, nad rzeką, w drodze powrotnej z domu Orczych, tam, skąd widać majaczący w dali horyzont, a Judit pokazuje jej *delibab*, miraż, który czasem pojawia się na równinie. Zwykle jest to woda albo domy, coś nieobecnego, ale wyczekiwanego, tym razem jednak...

- O Boże... - mówi Sari cicho, lecz dobitnie. - Boże, Boże, Boże. - Wstrzymuje oddech, a Judit odwraca się ku niej, przestraszona i zła.

- Co ci jest? To tylko *delibab*, już to widywałeś.

- Nie. - Głos Sari jest cichy i jakby nieobecny, na wpół senny. - Takiego nie widziałam! - Judit zdjęta trwogą macha jej ręką przed oczami. Oczy Sari przytomnieją, twarz się odpręża; patrzy na Judit, dygocząc na całym ciele.

- Chodźmy do domu - mówi nagle.

- Co widziałaś? - dopytuje się Judit, kiedy są już u siebie. Sari marszczy brwi.

- Trudno to opisać. To było jak... jak te moje sny. Coś się w nich rusza, jakby prac naprzód pod przymusem, w kierunku jakiegoś nieszczęścia, przez bagno czy oblepiające błoto... - Wzdryga się. - Widziałam właśnie coś takiego. Mężczyzn, szereg mężczyzn, idących przed siebie. Bali się. Nie chcieli iść, ale musieli. Wydawało się, że Ferenc też powinien tam być - dodaje, zdziwiona. - Ale go nie widziałam. Myślałam, że te sny dotyczą Ferenc.

- I co? - pyta Judit.

- Mam przeczucie, że nadchodzi coś złego.

Trzy tygodnie później, kiedy z północy daje się słyszeć tętent koni i do Falucski przybywa grupka urzędowo wyglądających mężczyzn, ani Sari, ani Judit nie są zdziwione. Słyszą ich około jedenastej, przygotowując zioła zebrane poprzedniego dnia. Sari wstaje i wygląda przez okno; jeźdźcy pędzą przez pusztę w tumanie kurzu, wzbijanym przez końskie kopyta, a kiedy znikają jej z oczu, wraca do stołu i siada bez słowa przy Judit. Obie czekają.

O wpół do dwunastej rozlega się bicie kościelnego dzwonu, uparcie i nagle. W całej wiosce skrzypią i trzaskają drzwi, nieprzerwany strumień ludzi zaczyna płynąć obok domu Judit w kierunku kościoła. Sari wstaje. Płonie energią i ciekawością, czuje (wie), że dzieje się coś ważnego.

- Idziemy? - pyta ciotkę rozkazującym tonem. Judit wzrusza ramionami.

- Idź sama. Wiesz, co myślę o kościele.

- A nie jesteś ciekawa? - wybucha Sari ze złością. - To ważna sprawa! Wielkiej wagi!

- Myślisz, że to ma coś wspólnego z twoimi snami i z *delibab*?

- Wiesz, że tak jest! Judit ustępuje.

- Dobrze. Pójdę. Ale zostanę na zewnątrz, moja noga nie postanie w kościele.

Kiedy idą do kościoła, powietrze zdaje się naładowane elektrycznością. W kościele jest zawsze tłoczno, zbudowano go, gdy wioska była mniej ludna, ale dzisiaj Sari dostrzega ludzi, których zwykle nie widuje w niedzielę; starsi wiekiem krewni różnych rodzin, zbyt chorzy, by uczęszczać na mszę, zwlekli się (lub zwleczono ich) z łóżek i patrzą na ambonę niespokojnym, zażawionym wzrokiem, poruszając bezgłośnie ustami.

Judit, mrużąc coś pod nosem, zatrzymuje się przed progiem, a Sari przeciska się przez drzwi i przylega do wybielonej ściany. Kątem oka widzi Ferencę po drugiej stronie nawy, łapie jego wzrok i dyskretnie kiwa ręką; on uśmiecha się z posępną miną. Wszyscy są cisi i skupieni, wymieniają spojrzenia, ale nie słowa. Nad tłumem unosi się mgiełka strachu i oczekiwania.

Ksiądz jest drobnym mężczyzną, skurczonym i pomarszczonym, z nieprzyzwoicie kartoflowatym nosem i grzywką włosów tak czarnych, że pochłaniają całe otaczające światło. Starsi mieszkańcy wioski, pamiętający go z czasów, gdy przybył dwadzieścia lat temu jako młody człowiek, żartują, że jego powołanie wzięło się ze świadomości, iż nigdy nie znajdzie kobiety, która go poślubi, ale jak każda plotka, ta też zawiera tylko część prawdy. Ojciec Istvan ma głos - wspaniały, mocny, donośny głos, którym potrafi rzucać gromy jak bóg z Olimpu lub mrużyć przymilnie jak wielki kot; ten głos jest jego dumą i powołaniem, bo jak lepiej wykorzystać własną próżność niż chwalać Boga?

- Jesteśmy w stanie wojny - zagrzemiał teraz, a jego słowa padły ciężko jak głazy.

No tak, myśli Sari, to oczywiste. Przemyka przez nieruchomy tłum do drzwi i wystawia przez nie głowę.

- Słyszałaś? - pyta bezgłośnie, a Judit niecierpliwie przytakuje.

Ojciec Istvan wskazuje na trzech żołnierzy żandarmerii stojących przed kościołem: bije od nich dostatek, uprzywilejowanie i ledwo skrywana pogarda.

- Szukają silnych, odważnych mężczyzn - wyjaśnia ojciec Istvan.

Tego popołudnia plac targowy jest wypełniony mężczyznami. Patrząc na nich, Sari nie potrafi jasno powiedzieć, co czuje, ale jest to głównie zmieszanie i smutek. Ci mężczyźni i chłopcy to ludzie, których zna od dziecka; być może idą teraz na śmierć, a Sari, mimo niechęci mieszkańców wioski, nie życzy nikomu nic złego. Jednocześnie jest zdumiona uległością mężczyzn - wie, że w większości wypadków to uległość, nie odwaga. Ona z pewnością nie rzuciłaby się w przepaść, gdyby ją poproszono o narażenie życia dla jakiegoś mglistego pojęcia ojczyzny. Matyas Szabo, który jest zaledwie o rok od niej starszy, wypina

dumnie pierś i przyjmuje wystudiowany wyraz twarzy dojrzałego mężczyzny; Sari wie, że gdzieś wśród tych chłopców jest też Ferenc. Wie także, że nic nie może na to poradzić.

Ferenc chwyta ją za ramię przy wyjściu z kościoła. W jego dzikim wzroku kryją się jakieś niezbadane uczucia, twarz ma kredowobłądą i suche usta; oblizuje wargi, zanim coś powie.

- Naprawdę jesteś czarownicą? - szepcze.

Sari odruchowo odskakuje, ale nie mówi nic, chociaż on nie spuszcza z niej oczu.

- Wiedziałaś, co się stanie. Wiedziałaś.

Sari sztywnieje na moment, ale zaraz zbiera siły.

- Nie będę teraz z tobą rozmawiać - mówi cicho i łagodnie, zdejmując jego rękę z ramienia, i odchodzi.

Żandarmi nie są zbyt wybredni. Biorą wszystkich chętnych, mniej bacząc na ich zdolność do pełnienia służby. Przymykają oko na zbyt młody wiek i przyjmują każdego, kto się zgłasza. Jutro rekruci wymaszerują do Varos i wsiądą do pociągu do Budapesztu, a co dalej, tego nikt nie wie.

Wieczorem Sari idzie do domu ojca i czeka na Ferencą, bo wie, że nie przyjdzie do Judit. I rzeczywiście, ledwie zasiadła przy stole, słyszy odgłos kroków na stopniach i pukanie do drzwi. Ferenc jest błydy i wyraźnie poruszony, ale ku jej uldze w oczach nie ma już dzikiego blasku, jak przed kościołem.

- Przepraszam - mówi sztywno.

- Nie szkodzi.

Siadają w zapadającym zmierzchu, ciemność wokół faluje i gęstnieje. Twarz Ferencą okrywa posępna chmura.

- Jutro wyjeżdżam - odzywa się w końcu.

- Tak myślałam.

- Przyszedłem się pożegnać. I przeprosić. Rozumiem teraz, dlaczego nie chciałaś... no wiesz. Lepiej, że tak się stało. To słuszne.

- Cieszę się, że tak uważasz.

- No właśnie. - Ferenc przełyka ślinę. - Sari, czy to się dobrze skończy?

Zaskoczyło ją to pytanie.

- Co masz na myśli?

- Wojnę. Nas. Mnie. Czy to... czy... - Urywa, widząc, że ona kręci głową.

- Nie wiem nic więcej niż inni. Nie mogę ci odpowiedzieć. Przez chwilę myśli, że Ferenc znów się rozzłości, ale on pyta tylko na wpół błagalnie:

- Jak będzie już po wszystkim, czy my...?

Musi mieć coś, czego się będzie trzymał, zdaje sobie sprawę Sari, coś, co może ze sobą wziąć. Kiwa głową zdecydowanie.

- Dałam słowo tobie i mojemu ojcu. Nie mam zamiaru go cofać.

- To dobrze. - Wyraźnie widać po nim ulgę.

Siedzą w milczeniu jeszcze przez kilka chwil, w końcu Ferenc zbiera się do wyjścia.

- No to... To znaczy... Muszę już... - Spuszcza wzrok, zmieszany.

Sari wstaje, zarzuca mu ramiona na szyję i całuje go w policzek.

- Do widzenia, Ferenc - mówi i dodaje ciepło: - Myślę, że wszystko będzie dobrze. W każdym razie, jeśli chodzi o ciebie. - Nie wie, czy mówi prawdę, ale chłopak zasługuje na odrobinę pociechy. To tylko taki prezent pożegnalny.

Ferenc nie odzywa się. Kiwa oficjalnie głową i wychodzi, nie oglądając się.

Judit i Sari stoją pod domem i patrzą na wymarsz. Gdy mężczyźni znikają na bezkresnej równinie, matka Matyasa Szabo wybiega z domu i pada na ziemię jak martwa wrona, jak oberwana chmura. Jej zawodzenie wibruje w powietrzu. Judit odwraca się.

- Cóż... - mówi.

Tej nocy wieje silny wiatr. Sari leży w ciemności z szeroko otwartymi oczami.

1916

Rozdział 4

Sari niesie tłumoczek bielizny do prania. Wychodząc zza rogu domu, widzi, że wiosenne słońce po raz pierwszy w tym roku skruszyło lód na rzece. Do tej pory kobiety musiały robić to same. Cieszy ją to: zima była ciężka i nieustępliwa, żywność trudna do zdobycia.

Torując sobie drogę do rzeki przez błoto, śnieg i kamienie, podchodzi do niej Anna Csillag, również z tobołkiem brudów, i trąca ją przyjacielsko w ramię.

- Serwus, Sari.

- Serwus, Anno.

Twarz Sari rozjaśnia lekki uśmiech. To trzymało ją przy życiu całą zimę i pozwoliło zapomnieć o kłopotach. Wojna i jej skutki sprawiły, że w wiosce zapanował duch braterstwa: spory zostały zarzucone, a lody stopniały z tej prostej przyczyny, że ludzie potrzebowali się bardziej niż dawniej - po raz pierwszy w życiu Sari ma przyjaciół, może iść przez wioskę, nie przyoblekając twarzy w specjalnie przygotowany wyraz politowania i wzdargy, gotowa odierać zniewagi, ponieważ teraz nikt - no, prawie nikt - nie szepcze na jej widok, nie krzyczy za nią ani nie podstawi jej nogi. Sari czuje się, jakby łatwiej jej było oddychać, chociaż przez całe lata nawet nie wiedziała, że wstrzymuje oddech.

Anna zmieniła się nie do poznania. Ma dwadzieścia dwa lata, jest wysoka i dobrze zbudowana, z szeroko rozstawionymi kośćmi policzkowymi i ciemnymi gęstymi włosami - Sari patrzy na nią zupełnie nowymi oczami, chociaż zna ją od urodzenia. Wie, że to dzięki nieobecności jej męża - Karoly poszedł na wojnę. Czasem Sari próbuje sobie przypomnieć dawne wcielenie Anny, ale trudno jej połączyć obraz tamtej milczącej zastraszonej kobiety, która przemykała pod ścianami, starając się ukryć siniaki, z wylewną, serdeczną Anną, wesołą, swobodną i dowcipną, która pojawiła się w jej miejsce.

Lujza jest już nad rzeką, podobnie jak Lilike. Witają je z pogodną rezygnacją.

- Jak tam woda? - pyta Anna i śmieje się, kiedy Lujza, krzywiąc się, podnosi czerwone, popękane ręce.

- Zimna, jak zawsze.

Przykucają razem nad przerebłą. Sari niewiele mówi, ale teraz rozmowy innych kobiet szumią wokół niej, a nie urywają się, co już jej wystarcza. Brakuje nowych plotek - „Jakie mogą być plotki, skoro nie ma mężczyzn?” - prychna lekceważąco Lujza, pogawędka jest więc błaha, ale przyjacielska. Nieuchronnie schodzi na miłość i Anna śmieje się do siebie, kiedy Lujza opisuje z barwnymi szczegółami, jak bardzo brakuje jej mężczyzny. Była mężatką

zaledwie od sześciu miesięcy, kiedy Peter poszedł na wojnę. Z jej opowieści wynika, że cały czas parzyli się jak króliki.

- A teraz - wzdycha ciężko - nic. Przez prawie półtora roku nic. - Trzęsie się teatralnie.
- Tak właśnie się czuję - dodaje i szczyrzy żarłocznie zęby do Sari, która kuca obok niej. - Niedługo zacznę dobierać się do was, dziewczyny.

Sari uśmiecha się, ale mimo woli oblewa rumieńcem i ucieka wzrokiem w bok. Trochę żałuje, że nie może brać udziału w tych swawolnych pogwarkach; czasem staje jej przed oczami Ferenc, kiedy się z nią żegnał, a ona widziała go na wskroś, serce i lędźwia, i czuła, jak bardzo jej pragnął, jak chciał się z nią kochać na przekór grozie wojny, na którą szedł. Jeśli jednak będzie uważnie słuchać kobiecych wynurzeń, może nauczy się czegoś, co pewnego dnia umili im wspólną noc; Ferenc będzie na to zasługiwał, kiedy wróci do domu.

Lujza przestaje się śmiać i wali wściekle mokrym prześcieradłem o drewniane deski pomostu z nagle zasepioną twarzą.

- Szkoda, że... - wybucha w końcu i urywa.

- Ze co? - pyta Anna. - Że nie możesz znaleźć kogoś, kto by ci dogodził?

Lujza nie śmieje się.

- Szkoda, że nie wiem, co się z nim dzieje - mówi cicho. - Peter nie umie pisać, a ja czytać, nie dostaję więc listów. Jest zbyt dumny, żeby prosić kogoś o napisanie za niego, głupiec. Wiem tylko, że żyje, bo nie dostałam zawiadomienia o jego śmierci. Ale chciałabym mieć jakieś pojęcie, jak jest tam, gdzie są.

- Nie patrz na mnie - odpowiada Anna. - Karoly też nie umie pisać. Dostaję co jakiś czas listy od mojego kuzyna, ale zawsze są takie same. Ma nadzieję, że u nas wszystko dobrze, że rodzina jest zdrowa, on też jest zdrowy i pogoda ładna. Czasem pisze, że pogoda jest brzydka; to wszystko. Brat Lilike też jest niepiśmienny, prawda? - Lilike potwierdza, Anna milknie na chwilę. - Ty, Sari, na pewno masz wiadomości od Ferenca?

Sari niechętnie kiwa głową.

- Tak. Ale... - Jak im to wytłumaczyć? - On też niewiele pisze.

I nie musi. Sari śni o nim raz w miesiącu - chociaż nie, to źle powiedziane. Śni wewnątrz niego; wącha zapach krwi i błota, budzi się w popłochu na dźwięk kanonady, czuje na języku kwaskowaty smak jego strachu. Nie może im tego wyjaśnić.

- Chyba coś ci opisuje? - pyta Lilike, ale się myli.

Listy Ferenca są długie i przesycone rozpaczliwą tęsknotą, ale prześlizgują się po wydarzeniach wojennych kilkoma gładkimi zdaniami, przechodząc do rozwlekłych ustępów, w których autor szczegółowo daje wyraz tęsknocie za Falucską. W ostatnim liście, sprzed

tygodnia, puszcza wodze wyobraźni, wędrując przez pusztę i śledząc pierwsze drgnienia wiosny; zastanawia się, w jakiej kolejności zakwitną kwiaty i kiedy zaczną się pojawiać różne gatunki ptaków. Te listy zawsze napawają Sari niewymownym smutkiem, ale odpisuje mu, starając się tak lirycznie, jak tylko potrafi, opowiedzieć o najdrobniejszych szczegółach z życia wioski, ponieważ wie, że Ferenc właśnie tego pragnie.

Głowa Ferenc jest pełna śmierci i czasem chciałby zwierzyć się Sari, zrzucić ciężar, wypowiedzieć przed nią litanie mężczyzn, których widział ze zgruchotanymi czaszkami, urwanymi kończynami, rozrzuconymi wokół, mężczyzn umierających w agonii, mających w obłędzie. Nadal nie umie pojąć, że ktoś po prostu przestaje istnieć, i być może Sari, dzięki swoim dziwnym zdolnościom i obcowaniu ze śmiercią, potrafiłaby mu to jakoś wytłumaczyć. Sari stała się jego talizmanem; w groźnych sytuacjach wywołuje w myśli jej obraz i utrwała go przed oczami tak mocno, że czasem widzi ją naprawdę, błyszczącą nad polem bitwy w bańce światła i ciszy. Musi ją trzymać z dala od tego wszystkiego, zawieszoną nad błotem, odchodami i trupami. Jego listy są wypełnione wspomnieniami; Sari pozwala mu błędzić po jasnych ścieżkach wyobraźni i prowadzi go przez nie. Trzyma się jej kurczowo.

Tego popołudnia w domu Sari przyrządza lekarstwo dla matki Lujzy, która cierpi na dotkliwe bóle głowy. Chociaż Judit nigdy nie powiedziała tego wprost, w głębi ducha uważa, że wprowadzając się do niej, Sari uratowała jej kieszeń, jeśli nie życie. Wojna zabrała młodych mężczyzn, a bez młodych mężczyzn nie rodzą się dzieci. Sari nie tylko sprowadziła ze sobą świnię i parę gęsi, które odziedziczyła po ojcu, ale i jego umiejętności *taltosa*, dzięki czemu kuracje zostały urozmaicone znacznie bardziej, niż byłaby to w stanie zrobić sama Judit.

Muszą wszakże uważać: łatwo przekroczyć cienką linię między szacunkiem dla lekarki a pogardą dla *boszorkany*. Z biegiem czasu Judit zaczyna coraz bardziej ufać Sari i uczyć ją magicznych formulek i zaklęć, których sama używa, ale Sari zawsze musi przysiąc, że zachowa to w tajemnicy.

Rozlega się pukanie do drzwi, tak gwałtowne, że Sari upuszcza na podłogę naczynie, które trzyma w ręce, i głośno przeklina. Judit krzyczy z kuchni: „Na miłość boską! Uspokój się!”; i Sari idzie otworzyć, spodziewając się kogoś z bólem brzucha lub opuchniętą szczęką. Tymczasem to Anna.

- Sari, chodź szybko i powiedz, co widzisz!

Sari już wkłada buty. Od czasu do czasu spotyka się z taką prośbą. Słynie z sokolego wzroku - widzi na bardzo dużą odległość i potrafi rozpoznać twarz postaci, która dla innych jest tylko bezkształtną masą w oddali.

- Co się dzieje?

- Nie wiem. Na równinie, przy domu Gazdagów są jacyś ludzie i coś robią... Noszą coś czy budują... Nie umiem powiedzieć. No chodźże już!

Nad rzeką w zbitej gromadce stoi tuzin osób, reszta wioski napiera z tyłu, wszyscy wpatrzeni tam, gdzie puszcza rozciąga się ku północy. Anna czuje się ważna, torując Sari drogę przez tłum. Pokazuje szereg kropek w odległości mniej więcej półtora kilometra.

- Tam. Widzisz?

Sari osłania oczy przed słońcem, mruży powieki i jej wzrok powoli się skupia.

- To mężczyźni - mówi do Anny. Wiadomość natychmiast zostaje podana z ust do ust.

- Mężczyźni!

- Ale przecież wszyscy są na wojnie?

- Widzisz kogoś znajomego? - krzyczy ktoś z tyłu. Sari kręci głową.

- Nie. Niektórzy... niektórzy są w mundurach. Reszta... wygląda na cudzoziemców.

- Cudzoziemcy! Po co miałiby tu przyjeżdżać?

Sari wzdycha z rezygnacją, lekko zirytowana. No nie, myśli.

- Może - mówi łagodnie tonem, jakim zwykle przemawia się do dzieci - może nie przyjechali tu dobrowolnie.

- Jeńcy? - pyta Anna.

Na jej twarzy niepokój walczy z podnieceniem i Sari ją rozumie. Choć sama, jak większość kobiet, cieszy się, że nie muszą zabijać ani zostać zabite za bliżej nieokreślone ideały, czasem trudno jej oprzeć się gorzkiemu uczuciu, że dzieje się coś ważnego, a o Falusce jakby świat zapomniał.

- To możliwe - mówi.

Gromadka przy rzece milknie i wpatruje się w odległe cienie na równinie, chodzące tam i z powrotem, jak pracowite mrówki. Sari znów zasłania oczy i pochyla się do przodu, zaciekawiona.

- Co? - pyta Anna.

- Popatrz. Widzisz ich? - Anna kiwa głową. - Popatrz na tego po prawej. Widzisz, przy czym stoi? - Anna mruży oczy, ale kręci głową. Nie umie rozpoznać tego czegoś, chociaż jest o wiele większe od człowieka.

- Co to jest?

- To wóz. Chyba... chyba wyładowany drewnem. Coś budują. - Sari robi pół kroku do przodu, kiedy coś zaczyna się ruszać na granicy jej wzroku. - Jeszcze jeden! - woła, z trudem hamując podniecenie. - Jeszcze dwa... trzy wozy i nowa grupa mężczyzn. Chyba budują coś dużego.

Z zapadnięciem zmroku ruch na horyzoncie ustaje, ale leniwe krążenie strażnika dowodzi, że Anna miała rację: to jeńcy.

Gospodarstwo Gazdagów stało puste od początku wojny. Kiedy Ferenc, jego ojciec i brat poszli na front, stado bydła zostało oddane do stryja Ferenca, który miał ziemię w pobliżu oraz chromą nogę, co pozwoliło mu uniknąć poboru, a Marta, kiedy się okazało, że wojna potrwa dłużej, przeniosła się do swojej siostry do Budapesztu. Dom stał pusty przez niemal półtora roku; co śmielsi chłopcy (zbyt młodzi, by walczyć, i tym bardziej zdecydowani udowodnić swoją przydatność w inny sposób) włamali się tam po kilku miesiącach, żeby zobaczyć, czy nie znajdą czegoś, co mogłoby się przydać reszcie wioski. Wielkie pokoje ziały jednak pustką i nikt już nie zadawał sobie trudu, żeby tam zachodzić.

A potem przyjechali jeńcy i teraz dom rodzinny Ferenca tętni życiem, o którym mówią wszystkie plotki. Na początku przypuszczano, że armia zajęła go bezprawnie i grupka rozeźlonych chłopców wybrała się po wyjaśnienia do dowódcy. Wrócili jak niepyszni, jakiś gołowąs podsunął im pod nos kontrakt niewątpliwie podpisany przez Gazdagów. Oznaczało to, matka Ferenca nie zamierza wracać, przynajmniej przez jakiś czas, i Sari zastanawia się, czy Ferenc o tym wie. Jego przywiązanie do wioski jest tak silne i głębokie, że rodzina nie powinna chyba tak łatwo przechodzić nad tym do porządku.

Mija prawie tydzień i z domu do domu zostaje przekazana wiadomość, że mieszkańcy wioski mają się zebrać w kościele, by wysłuchać urzędowego obwieszczenia. W drodze do kościoła Sari widzi, jak Lujza ziewa ostentacyjnie, najwyraźniej nie oczekując żadnych niespodzianek. Oczy jej się jednak świecą i jest podekscytowana: to, że zmiana zostanie urzędowo ogłoszona, czyni ją tym bardziej realną.

Wojna odbiła się wyraźnym piętnem na ojcu Istvanie; schudł i poszarzał na twarzy, nikt nie wie dokładnie dlaczego. Ale też, prawdę mówiąc, jego stan nie ma wiele wspólnego z uszczerbkiem zdrowia. Ojciec Istvan zakładał, że kiedy wszyscy mężczyźni pójdą na front, opuszczone kobiety będą tym bardziej go potrzebować. Przez pierwszych kilka miesięcy rzeczywiście tak było. Ludzie tłumnie przychodzili do kościoła, nawet ci, którzy przedtem nie uczęszczali na nabożeństwa, wymawiając się podeszłym wiekiem lub chorobą. Ojciec Istvan

wygłaszał wzruszające i wzniosłe kazania i nieraz triumfował, słysząc głuchy szloch gdzieś z kąta. Po jakimś jednak czasie jego słowa zaczęły padać na kamienisty grunt, a nabożne skupienie na twarzach przed nim zastąpiła pustka i obojętność. W styczniu liczba owieczek wróciła do przedwojennych proporcji. Reszta wioski wołała chodzić ze swoimi problemami do Judit Fekete, poddając się jej pogańskim praktykom, które przeszywały go zimnym dreszczem. Ojciec Istvan jest przybity ciężarem goryczy i zawodu: wielka szansa, jedyna okazja, żeby przebić się przez lekceważenie jego trzódki, spaliła na panewce.

Nic jeszcze nikomu nie powiedział, ale już podjął decyzję - jego siostra mieszka w Wiedniu z mężem i kiedy pogoda się polepszy, przeniesie się do niej. Przestał kochać tę wioskę, skoro wioska przestała kochać jego, i teraz niewiele czuje, patrząc w dół z ambony. Już się cieszy na myśl, że będzie udzielał pociechy i duchowego wsparcia rannym, którzy, jak słyszy, wypełniają Wiedeń.

Urzędowe obwieszczenie odczytuje jeden z wymuskanych, ulizanych żołnierzy, których śledzili z daleka. Jego słowa nie są dla nikogo zaskoczeniem: rodzina Gazdagów wspaniałomyślnie oddała na czas wojny swój dom na kwaterę dla jeńców wojennych. Zebrani w kościele patrzą na siebie znacząco.

Jak było do przewidzenia, Adrian Jokai pierwszy zrywa się na równe nogi. Ma czternaście lat, jego dwaj starsi bracia i ojciec poszli na wojnę. Chłopak od urodzenia się jąka, mimo kuracji zastosowanej przez Judit, a później Sari, ale tym razem udaje mu się powiedzieć coś gładko. Zadaje oczywiste pytania: ilu ich jest, kto to jest i czy wioska jest bezpieczna? Odpowiedź zadowala wszystkich: jeńcy to w większości włoscy oficerowie.

Lujza łapie spojrzenie Sari i mruga porozumiewawczo.

Dostaną nieco więcej swobody niż szeregowi żołnierze, ale rzecz jasna nie tyle, by chodzić bez nadzoru; chociaż nie będą trzymani cały czas w zamknięciu, ich spacery zostaną ograniczone do terenów z dala od wioski i zawsze będą im towarzyszyć żandarmi. Miejscowe kobiety nie mają się czego obawiać.

Judit czeka przed kościołem. Chwyta Sari za ramię z nieco drapieżnym uśmiechem. Sari mimo woli też się uśmiecha, patrząc na jej przebiegłą minę.

- Co cię tak cieszy? Słyszałaś wszystko?

- Oczywiście, głupia. Mam dobry słuch.

- No i co o tym myślisz?

Otacza je tłum ludzi i Judit kręci stanowczo głową.

- Nie teraz. Porozmawiamy w domu.

- To się zapowiada bardzo interesująco, Sari, bardzo interesująco - mówi Judit, kiedy są już w kuchni.

- Naprawdę? - Sari wydaje się obojętna i Judit staje się napastliwa.

- Pomyśl tylko, mały głuptasie. Po raz pierwszy, w każdym razie za mojego życia, przybyło tu tylu obcych. W dodatku samych mężczyzn, a we wsi zostały niemal same kobiety. Jak myślisz, co się zacznie dziać?

Sari wzrusza ramionami.

- Słyszałaś, co powiedzieli. Nie będą się zbliżać do wioski. Co za różnica, że są tutaj, skoro nie będziemy ich widywać?

- Sari! - śmieje się Judit. - Nie da się mieszkać blisko siebie bez żadnych konsekwencji. Może z czasem przestaną ich pilnować i jeńcy zaczną tu przychodzić. A może kobiety zaczną chodzić tam... W końcu oni będą potrzebować różnych usług, prania, gotowania, a także... - uśmiecha się znacząco - na przykład leczenia. Nie mogą żyć w zupełnej izolacji. Może gdyby byli bliżej miasta... ale na tym pustkowiu będą nas potrzebować.

- Może tak, może nie. Nie rozumiem, dlaczego tak się cieszysz.

Judit unosi znacząco brwi.

- Kiedy człowiek żyje tak długo jak ja, wie, że nic ciekawego go już nie spotka, zatem tym bardziej interesuje się innymi. I kiedy człowiek żyje tak długo jak ja, widzi, jakie to życie jest nieistotne, jak niewiele znaczy. Albo więc przestaje się śmiać z czegośkolwiek, albo zaczyna się śmiać ze wszystkiego. A o wiele przyjemniej jest śmiać się ze wszystkiego.

Rozdział 5

Chociaż Judit bywa irytująca z tą swoją pozą krynicy mądrości, Sari musi przyznać, że często ma rację. Nie mija nawet tydzień i Sari spotyka w kościele Annę i Lujzę. Ta pierwsza mówi do niej z rozbawieniem:

- Nie uwierzysz, co Luj za wymyśliła!

Sari nie jest szczególnie zdziwiona, kiedy Lujza uśmiecha się konspiracyjnie i wyznaje:

- Poszłam wczoraj do domu Gazdagów.

Anna się śmieje, a Sari mimo woli wznosi oczy do nieba. Lujza jest lekko urażona.

- Dlaczego robisz taką minę?

- Nieważne... Judit niedawno powiedziała mi, że choćby nawet jeńcy trzymali się z dala od wioski, i tak prędzej czy później coś zacznie się dziać. Powinnam się domyślić, że ty... - Urywa, bo Anna znów wybucha śmiechem i Lujza, dość niechętnie, przyłącza się do niej.

- W takim razie cieszę się, że cię nie zawiodłam. Chcesz usłyszeć, co i jak, czy nie?

Sari uśmiecha się kątem ust i wzrusza ramionami; Lujza i tak wszystko opowie bez dodatkowej zachęty. Anna woła też Lilige; nad jej wyciągniętym ramieniem Sari przez ułamek sekundy łapie spojrzenie Orsoly Kiss i szybko odwraca wzrok.

- Myślałam sobie o tych jeńcach - mówi Lujza - i przyszło mi do głowy, że pewnie przydałaby się im pomoc w pracach domowych. Ktoś przecież będzie musiał prać im pościel i ubrania, dostarczać jedzenie; może nie każdy posiłek, ale przynajmniej chleb i inne rzeczy. Słyszałam, że w dużym obozie jenieckim koło Varos jest specjalny personel, który się tym zajmuje, ale tutaj mogą mieć kłopot. Czasy są ciężkie, przyda się każdy grosz, co szkodzi spytać, czy nie chcieliby skorzystać z moich usług? - Lujza urywa, obrażona, bo Anna i Lilige zaśmiewają się do rozpuku, a Sari też się uśmiecha. - Nie o to mi chodziło, spróśne baby! Miałam na myśli szycie, pranie, gotowanie. Rozmawiałam z tym oficerem, który był w kościele. Bardzo się ucieszył, że przyszłam...

- Nie wątpię - mruczy pod nosem Lilige, ale Lujza, niezrażona, ciągnie dalej:

- ...i powiedział, że mieli nadzieję na naszą pomoc, a w zamian mogą dać nam żywność, opał, drewno i węgiel, czy kilka metrów materiału. Albo, jeśli zechcemy, niektórzy jeńcy mogą przychodzić i wykonywać cięższe prace w gospodarstwie... Oficerowie nie muszą pracować, powiedział, jak szeregowcy w innych obozach, ale na pewno się nudzą, siedząc tu beczynnie, chętnie więc przyłożą rękę do różnych rzeczy, jakie zwykle robią mężczyźni...

Anna po prostu krztusi się ze śmiechu i tym razem Lujza milknie z naburmuszoną miną.

- Wiem, co myślicie... Wydaje się wam, że szukam sobie... no, towarzysza zabaw, a mnie chodzi tylko o pracę. To szansa, żeby polepszyć sobie trochę to nędzne życie, żeby zarobić, a nie gzić się z cudzoziemcami. Nie zapominajcie, że jestem mężatką, a co więcej, lubię mojego męża.

Rzuca wymowne spojrzenie na Annę, która się lekko czerwieni. Sari jest jej żal.

- Gunther... - mówi Lujza - ten, który przemawiał wtedy w kościele... prosił, żebym opowiedziała wszystko przyjaciółkom i gdyby któraś była zainteresowana... pracą, nie mężczyznami... niech przyjdzie ze mną jutro rano i spotka się z nim na dziedzińcu stajennym. Powie nam, ilu osób potrzebuje, co możemy robić i co w zamian dostaniemy. Rozmawiałam już z mamą, ona też pójdzie i kilka innych starszych kobiet, będziemy przy nich całkiem bezpieczne.

Anna, która szybko doszła do siebie, unosi brwi.

- Ale czy oni będą bezpieczni przy tobie? - pyta. Lujza wydaje głębokie westchnienie.

- Dobrze, jak sobie chcecie. Jeśli was to nie interesuje, znajdę kogoś innego.

Odchodzi godnie wyprostowana, już rozglądając się za kimś, komu mogłaby przekazać nowinę. Anna za jej plecami mówi scenicznym szeptem:

- Założę się, że najdalej za miesiąc będzie spać z jednym z nich.

Judit chichocze, kiedy Sari przekazuje jej nowinę.

- Widzisz? Widzisz? Tak to się zaczyna. I jak się należało spodziewać, to Lujza zrobiła pierwszy krok!

Judit ma słabość do Lujzy; jej dosadny język i rubaszne poczucie humoru wystarczająco odbiegają od sposobu bycia innych kobiet, żeby zadowolić wymagania Judit.

- Pójdiesz tam? - pyta. Sari wzdycha.

- Sama nie wiem, ciociu Judit. Przecież niczego nam nie brakuje, prawda? Radzimy sobie lepiej od innych. Taka rodzina Orczych, im naprawdę jest ciężko. Może powinnam zostawić pracę tym, którzy jej bardziej potrzebują.

Judit parska szyderczo.

- Pięknie powiedziane, Sari. To nader obywatelska postawa. A jaki jest prawdziwy powód tego, że nie chcesz iść?

- Nie wiem, czy nie chcę. Może pójdę. Tylko że to wszystko jest jakieś... dziwne.

- Czasem - mówi Judit przebiegle - zastanawiam się, czy powinnaś się zaręczać z Ferencem. To miły chłopiec, ale ty... miałaś takie możliwości, a teraz będziesz uwiązana do wioski.

Chwilami Sari ma wrażenie, że Judit potrafi czytać w jej myślach.

- Ferenc nie jest uwiązany do wioski - protestuje. - Weź jego matkę: wyjechała do Budapesztu zaraz z początkiem wojny i nawet się tu nie pokazała, żeby zajrzeć do domu. A teraz oddali swoje gospodarstwo jeńcom wojennym. Nie sędzę, żeby mieli zamiar kiedykolwiek tu wrócić. Być może wyjedziemy z Ferencem do Budapesztu i tam zamieszkamy. - Zapala się w niej iskierka nadziei, kiedy wypowiada te słowa; nadziei, która tliła się gdzieś w głębi jej duszy, ale Judit kręci głową.

- O nie. Ferenc różni się pod tym względem od rodziców. Oni spędzili dużo czasu w innych stronach, a on mieszkał tu od urodzenia i kocha to miejsce... diabli wiedzą dlaczego. Nigdy stąd nie wyjedzie.

Sari wykrzywia usta w grymasie.

- Niech i tak będzie. To też mój dom i mogę tu zostać. Nie ma sensu rozważać, co innego mogłabym robić albo gdzie mogłabym mieszkać. Tu jest moje życie i tak jest dobrze.

Nie pójdzie do obozu jeńców, postanawia, absolutnie nie. Nie potrzebuje pracy, nie miałyby zapewne nawet na to czasu, a przecież nie warto się zastanawiać nad czymś, co nie ma sensu. I tak poszłyby tam głównie po to, żeby zaspokoić ciekawość i pogapić się na jeńców, co jest okropne - kto jak kto, ale ona powinna wiedzieć, jak to jest, kiedy ktoś wlepia w ciebie wzrok jak w tresowaną małpę, i nie chce tego robić jeńcom: może i są wrogami, ale to w końcu ludzie. Nie, zostawi to innym, sama wybierze się wcześniej rano do lasu nabierać trochę dzikiej cykorii - zapas prawie się skończył - jeśli więc nawet Anna albo Lilike czy Lujza przyjdą, żeby ją wyciągnąć, nie będą miały okazji. Nie pójdzie tam, koniec kropka.

Zaspała.

Lujza i Anna walą w drzwi, a Sari gorączkowo wkłada buty, rozważając przez chwilę ucieczkę przez okno. Skoro nawet Anna zdecydowała się iść do obozu, to Sari z góry wie, że nie da rady oprzeć się wspólnym namowom i w końcu z ponurą rezygnacją (której towarzyszy miły dreszczyk podniecenia) idzie z przyjaciółkami drogą wiodącą do dawnego domu Ferenc. Z całej wioski nadciągają kobiety, nie tylko młode, ale i starsze, zameżne i ogólnie szanowane, co napawa Sari otuchą: widać naprawdę chodzi o pracę, nie o pożeranie wzrokiem mężczyzn. Dochodzi ósma i niebo wybucha wspaniałym, wiosennym światłem.

Zbierają się pod bramą stajni, razem około dwudziestu kobiet, szepczących w grupkach po dwie lub trzy, niektóre pełne niepokoju, inne zapału, jeszcze inne, jak Eva Orczy - co Sari widzi kątem oka - cichej rozpacz.

Drzwi się otwierają. Staje w nich oficer, który przemawiał w kościele, wraz z dwoma innymi w podobnych mundurach. Kobiety cofają się, jakby przestraszone, ale Lujza występuje naprzód. Sari nie nazwałaby jej ładną, ma zbyt wąską twarz i za małe oczy, lecz jej wyprostowana jak struna sylwetka i śmiałe spojrzenie mogą się podobać.

- Przyprowadziłam chętne do pracy kobiety, jak pan prosił - mówi.

Oficer szacuje zbitą grupkę znużonym wzrokiem. Jego twarz jest bez wyrazu i przez chwilę milczy, jakby niezadowolony. Później cofa się i gestem zaprasza je do stajni.

Wewnątrz rozstawiono długi drewniany stół, za którym zasiada trójka mężczyzn, Gunther pośrodku.

- Dziękuję wszystkim za przyjęcie - mówi nieco chropowatym głosem z cudzoziemskim akcentem, który Sari zapamiętała z kościoła. Najwyraźniej jest Austriakiem i jego znajomość węgierskiego pozostawia wiele do życzenia. - Dzisiaj spiszemy tylko wasze nazwiska i to, jaką pracę chcecie wykonywać. Potem podzielimy was na grupy do różnych zadań i jutro możecie zaczynać. Zapłatą będzie żywność, głównie kartofle i chleb, ale czasem też mięso, jeśli je zdobędziemy. Potrzebujemy kobiet do gotowania i prac porządkowych.

Sari zajmuje miejsce w kolejce, która uformowała się przy stole. Kobiety zaczynają się naradzać, jakie zajęcie wybrać. Przed nią stoi Eva Orczy, rozmawia z Anną.

- Wezmę pranie - mówi. - Mogę pracować pościel albo ubrania, ale nie chcę nic, co by znaczyło, że muszę być tu z nimi.

Anna jest innego zdania.

- Kto by chciał spędzać tyle czasu nad rzeką? Wolę mieszać w garach albo obierać ziemniaki, mogę robić wszystko, byle pod dachem, gdzie jest sucho i ciepło.

- Zbliża się lato, usmażysz się w tej kuchni.

- Nie szkodzi - upiera się Anna i pokazuje ręce, popękane i w wielu miejscach krwawiące. - To od prania. Sto razy wolę kuchnię, niechby nawet była gorąca jak piekło.

Eva i Anna dochodzą do stołu i pochylają się, podając oficerom nazwiska. Obaj mężczyźni mówią po węgiersku jeszcze gorzej niż Gunther, i Sari widzi, że ten, który zapisuje nazwisko Anny, przekręca je niemiłosiernie. Gryzie się w język, żeby nie zwrócić mu uwagi. Później oficer każe sobie powtórzyć trzy razy, jaką pracę Anna wybiera; kiedy w

końcu pojmuje sens jej słów i zapisuje to maczkiem, Anna odwraca głowę i mówi głośno i z niechęcią:

- Można by pomyśleć, że znajdują jakichś węgierskich oficerów do tego zadania.

Szmer śmiechu przebiega przez kolejkę.

Kiedy sama podchodzi do stołu, nie może się powstrzymać i literuje oficerowi swoje nazwisko, jakby chciała być pomocna, podczas gdy naprawdę chce utrzyć mu nosa. Z satysfakcją obserwuje jego wzdartliwą minę, kiedy podnosi głowę znad kartki i pyta, jakie zajęcia chciałaby wykonywać.

- Gotować albo sprzątać - odpowiada Sari. W gruncie rzeczy wszystko jej jedno i nie jest nawet pewna, czy przyjdzie tu nazajutrz. Oficer zapisuje, a ona pod wpływem impulsu dodaje: - Mogę też być pielęgniarką, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Słowo „pielęgniarka” najwyraźniej przekracza jego znajomość węgierskiego i ze spojrzenia, jakie jej rzuca, Sari wnioskuje, że nie znajdzie tu przyjaciół.

- Co?

- Pielęgniarka - powtarza Sari wolno, a potem, specjalnie go prowokując, dodaje: - *Krankenschwester*. Oficer patrzy na nią z nieskrywaną nienawiścią.

- Nie potrzebujemy ich - syczy łamaną węgierszczyzną. - Mamy doktora.

Sari wzrusza ramionami z drwiącym uśmiechem i odchodzi. Przy oknie stoi Anna, wsparta plecami o ścianę.

- Idioci, no nie? - mówi lekceważąco.

- Muszą czuć się tu zagubieni - odpowiada Sari.

Wzbiera w niej nagła fala niechcianego współczucia dla oficerów: co oni wiedzą o szerokiej, bezkresnej puszczy i ludziach, którzy tu żyją? Pewno to wszystko jest dla nich dziwne i przerażające.

Lujza podała swoje dane mężczyznom za stołem i idzie w stronę Anny i Sari. Dziewczęta widzą, że jej usta same się otwierają, a oczy robią okrągłe. Przyspiesza kroku.

- Co się stało? - pyta Sari, ale zamiast odpowiedzi Lujza bierze je za ramiona i obraca. Wszystkie trzy patrzą teraz przez okno stajni na dziedziniec.

Mężczyźni.

Sari przenika dreszcz podniecenia; ma wrażenie, że wrosła w podłogę, a jakiś głos w jej głowie śpiewa radośnie: cudzoziemcy, cudzoziemcy! - mimo że na pierwszy rzut oka nie różnią się niczym specjalnym od tych, których zna. Jest ich dwóch. Jeden wysoki i ciemny; stoi do nich tyłem, widać tylko papierosa, którego trzyma niezdarnie w lewej ręce, i bandaż

na jego prawym ramieniu - białą flagę odniesionych ran. Gestykuje ręką z papierosem, najwyraźniej pogrążony w rozmowie z drugim mężczyzną, który opiera się o ścianę, ze zgaszonym papierosem w kąciku ust. Jest niższy i szczuplejszy, ma ostre rysy i jasne włosy. Mimo niedbalej pozy biją od niego czujność i energia.

Ten wyższy odwraca się nagle bez ostrzeżenia. Lujza klnie pod nosem i obie z Anną dają nura pod parapet. Sari nie może - nie chce - się ruszyć. Jej wzrok krzyżuje się ze wzrokiem wysokiego cudzoziemca. On uśmiecha się lekko i mówi coś do swojego kolegi w języku, który brzmi jak bąbelki wypuszczone pod wodą. Kiedy Anna i Lujza ostrożnie podnoszą głowy, macha do nich ręką.

Wszystkie trzy zamierają na moment bez ruchu; potem Lujza pierwsza uśmiecha się i odmachuje, a one z zapalem idą jej śladem. Wysoki mężczyzna śmieje się; na twarzy jego kolegi, który nadal podpira ścianę, maluje się wyraz kpiącego rozbawienia. Nagle słychać dźwięk otwieranych drzwi i ostry głos warczący coś po niemiecku; mężczyźni patrzą w tamtą stronę i niechętnie wchodzą do budynku. Zanim znikną z widoku, ten wyższy odwraca się jeszcze raz, uśmiecha szeroko i przesyła im całusa; kolega klepie go w ramię mitygująco i podnosząc brwi, składa im wyszukany i ironiczny ukłon. Kiedy się prostuje, Sari widzi błysk inteligencji w jego ciemnych oczach. I już ich nie ma.

Anna, Lujza i Sari odwracają się do siebie. Lujza krztusi się, tłumiąc chichot, a Anna uśmiecha się radośnie.

- To będzie najlepsza zabawa, jaką miałyśmy od wieków - oznajmia.

Sari nie może wydobyć z siebie słowa.

Nazajutrz o ósmej rano Sari ostatecznie utwierdza się w swojej decyzji. Kiedy Anna puka do drzwi, otwiera jej z przeproszącą miną.

- Niestety, nie mogę iść, Anno. Judit chce, żebym jej pomogła.

- No to przyjdź później. Na pewno nikt nie będzie miał nic przeciwko temu.

- Nie, nie mogę. Nie sądzę, abym miała czas tam chodzić. Mamy tak dużo spraw na głowie. W zeszłym tygodniu trzy osoby zachorowały na zapalenie gardła, Judit martwi się, że to się rozprzestrzeni, więc... - Milknie, gestykulując nieporadnie. Wie, że nie brzmi to przekonująco, i rzeczywiście Anna patrzy na nią podejrzliwie.

- Jeśli tak uważasz...

- Zdecydowałam. Możesz im to przekazać? Ze nie będę przychodzić?

- Przekażę. I wpadnę później wszystko ci opowiedzieć! Drzwi się zamykają i z kuchni, szurając nogami, wychodzi Judit. Ciekawość maluje się na jej twarzy.

- W czym to masz mi pomóc, Sari?

Sari czerwieni się. Co jak co, ale słuch Judit z pewnością ma dobry.

- W niczym, ciociu Judit. Ale potrzebujemy trochę dzikiej cykorii i pomyślałam, że...

Judit siada, wzdycha ciężko i patrzy na Sari z udanym smutkiem.

- Och, Sari, Sari. Nigdy nie sądziłam, że taki z ciebie tchórz.

- Nie jestem tchórzem! - Sari nie posiada się z oburzenia. Nic nie doprowadza jej do takiej furii jak oskarżenie o tchórzostwo, zwłaszcza że w dzieciństwie ojciec nie mógł się jej nachwalić za dzielność i odwagę.

- Nie próbuj mnie oszukać. Czego się boisz?

- Niczego się nie boję! Mamy dostatecznie dużo roboty z... z tymi, którzy chorują z głodu, z ludźmi spoza wioski, którzy do nas przychodzą... nie potrzebujemy dodatkowej pracy... jeśli tak się palisz do tego pomysłu, czemu sama tam nie pójdziesz?

Judit, co jeszcze bardziej złości Sari, kpi sobie z jej złości.

- Sari, Anna i inne dziewczęta nie idą tam służyć jeńcom jako dziwki, tylko gotować i sprzątać! Co w tym złego?

- Jeśli to tylko gotowanie i sprzątanie, dlaczego tak ci zależy, żebym poszła?

- Bo dobrze by ci zrobiło, gdybyś spotkała ludzi z dalekich stron. Myślałam, że jesteś ciekawa świata i innych krajów. Można by od tego zacząć. Nie powinnaś się boczyć, tylko skorzystać z okazji. A właściwie czym się tak zniechęciłaś?

- Niczym. Tylko że... tylko że zobaczyłyśmy dwóch jeńców. - Sari opisuje w skrócie dwóch mężczyzn, ich wygląd i zachowanie. - I oni najwyraźniej coś sobie wyobrażali, a Anna i Lujza tak się śmiały, że one... one chyba też.

- No i co z tego? Jeśli mężczyźni mogą tak robić, to czemu wy nie?

Sari ma dość. Przecistawianie się Judit to jak przeciwstawianie się samej sobie, tej buntowniczej części jej natury, która sprzeciwia się wszystkim jej działaniom. Z rozmysłem zamyka się przed Judit, przybierając kamienny wyraz twarzy.

- Naprawdę muszę zebrać trochę cykorii - mówi. - Idę do lasu na kilka godzin.

Los jakby się sprzyścił, żeby przyznać Sari rację. Przez następnych kilka dni ona i Judit są bardziej zajęte, niż były od miesiący. Jozsua, synek Ewy Orczy, zachorował i Eva jest w panice. Sari - która niespodziewanie dla samej siebie ma dla niego dużo ciepłych uczuć, jako że był pierwszym noworodkiem, jakiego odbierała - biega tam i z powrotem między domem Orczych a domem Judit, przynosząc coraz to nowe lekarstwa, które niewiele pomagają. Dopiero trzy dni później spotyka Annę; jest jedenasta i Sari, ledwie żywa, wraca z

domu Orczych, gdzie w końcu zastrzyk z anżeliki spowodował spadek gorączki i mały, spocony jak mysz, zasnął.

Anna promienieje.

- Serwus, Sari! - Radosny głos wibruje Sari w uszach.

- Serwus, Anno.

- Jak się ma Jozsua Orczy?

- Chyba lepiej. Powinien wyzdrowieć.

- Dzięki Bogu - mówi Anna z nieobecną miną.

Oczy jej lśnią jak dziecku i Sari patrzy na to z nagłym rozczuleniem, przypominając sobie, jak wyglądało jej życie przed wojną. Z pewnością Anna zasługuje na odrobinę radości.

Poddaje się i pyta:

- No i jak tam jest? - Wskazuje głową w kierunku domu Gazdagów.

- Dobrze. - Wyraz twarzy Anny przeczy jej obojętnym słowom. - Właśnie tam idę. W końcu wylądowałam w kuchni, pędzę obrać kartofle na obiad; bardzo ciekawe zajęcie! - Anna przewraca oczami, ale ta cyniczna mina zupełnie do niej nie pasuje.

- Poznałaś już jakichś jeńców?

- No... kilku. Przychodzą czasem do kuchni, kiedy gotujemy. Oni też mają wyznaczone różne roboty i zawsze znajdują pretekst, żeby się koło nas pokręcić, ale widać, że przede wszystkim chcą się pogapić.

- Rozmawiałaś już z nimi? Anna kręci z żalem głową.

- W jakim języku mielibyśmy rozmawiać? Niektórzy mówią trochę po niemiecku, ale ja nie znam niemieckiego. Oczywiście żaden nie mówi po węgiersku, a żadna z nas po włosku. - Anna milknie, uśmiechając się nieznacznie do siebie. - Jednak i tak jakoś się porozumiewamy. Trochę.

- Nie dziwi mnie to. - Czasem Sari uważa, że jej słowa brzmią, jakby wygłaszała je kobieta o dwadzieścia lat starsza, i wcale jej się to nie podoba.

- No wiesz - ciągnie Anna rozmarzonym głosem - uśmiechy, gesty, ruchy rąk... - Urywa.

Sari widzi w wyobraźni aż nazbyt wyraźny obraz tego, o jakie ruchy rąk chodzi.

- Boże, Anno, chyba nie zdążyłaś się zakochać? Anna robi obrażoną minę.

- Oczywiście że nie! Przecież jestem mężatką! - Sari czeka cierpliwie i po chwili Anna dodaje konfidencjonalnie: - Chociaż jest tam taki jeden Jan.

- Jan?

- Wiesz, nie umiem wymówić jego imienia po włosku, bo tak się jakoś ciągnie i ciągnie... Ale znaczy to samo co Jan, a tak jest prościej i krócej. W każdym razie chyba mu się podobam i... wiesz, Sari, jest taki inny niż Karoly... oni wszyscy są inni... i czasem miło jest poczuć...

Anna nagle milknie. Idąc za jej wzrokiem, Sari widzi przechodzącą obok Orsolę Kiss - jeszcze tego brakowało, żeby do wieczora cała wioska huczała od plotek. Kiedy znika im z oczu, Anna ścisza głos:

- Jesteś pewna, że nie chcesz chodzić tam z nami, żeby im pomóc? Wielu jeńców jest rannych, wielu gorączkuje, naprawdę mogłabyś się przydać.

Sari wzdycha. Nagle ma ochotę zwierzyć się przyjaciółce, której otwarta twarz, patrząca na nią z ciekawością i troską, budzi pełne zaufanie.

- Po prostu nie mogę, Anno.

- Jeśli martwisz się tym, co ludzie powiedzą... - zaczyna Anna ze złością i Sari przeszywa przelotna, zdradziecka myśl, że nie byłaby taka odważna, gdyby Karoly był na miejscu.

Kręci głową.

- Trochę tak, ale przede wszystkim... Przede wszystkim nie ufam sobie. Nie powtórz tego nikomu - dodaje szybko, czując, że się czerwieni. Przeklina się w duchu, że nie trzymała buzi na kłódkę.

Ale Anna tylko się uśmiecha.

- Mój Boże, Sari, myślisz, że i mnie nie nachodzą takie myśli? Gdyby jakimś cudem Jan zaproponował mi nowe życie we Włoszech, z pewnością czułabym pokusę. Wielką pokusę.

Przez chwilę patrzą na siebie w milczeniu. Sari przypomina sobie chudą, zastraszoną, cichą Annę sprzed dwóch lat i jest pewna, że Anna widzi w niej zgorzkniałą, dziką, samotną dziewczynę, jaką kiedyś była.

- Dziwnie to się plecie... - mówi Anna, a Sari kiwa głową. - Ale mogę ci o wszystkim opowiadać? - upewnia się Anna.

- Oczywiście. Judit byłaby wściekła, gdybym nie znała najnowszych plotek.

- Naprawdę muszę już...

- Idź, idź - zgadza się Sari. - Zobaczymy się później.

Rozdział 6

Ma na imię Umberto - mówi Lilike. Siedzi ze spuszczoną głową i trze na tarze prześcieradło z niezwykłą dokładnością i w skupieniu.

Ma na imię Umberto i po raz pierwszy pocałował Lilike pod koniec maja. Wszystkie widzą od razu, że coś się stało: uśmiech Lilike zrobił się subtelny i tajemniczy. Lilike nigdy dotąd nie miała kochanka.

Jeńców zaczęto wypuszczać za bramę parę tygodni po przybyciu. Początkowo nie wolno im było wychodzić z obozu, ale Sari widywała czasem, jak grali w piłkę na dziedzińcu, wołając do siebie w tym odurzającym języku, którego sylaby zlewały się razem jak paciorki w naszyjniku. Dziewczęta pracujące w kuchni zawsze gromadziły się wtedy przy oknie, odgarniając spocone włosy z twarzy.

- Kiedy się rozgrzeją podczas gry - zwierzała się Anna - zdejmują koszule.

Mężczyźni wiedzą, że dziewczęta ich obserwują, a i dziewczęta wiedzą, że oni o tym wiedzą. Różne brawurowe akrobatyczne i sportowe wyczyny dziwnym trafem zawsze dzieją się pod oknami kuchennymi. Dziewczęta najpierw się kryły, ale po jakimś czasie przestały o to dbać, mężczyźni przestali więc udawać, że nie wiedzą o tym, iż ich obserwują, i machali przyjaźnie ręką, kiedy w oknie mignęło im pasmo jasnych czy ciemnych włosów.

Lilike zawsze była cicha i spokojna, ale zdecydowana i kiedy jeńcy pojawili się w wiosce, obiecała sobie, że nie przepuści okazji. Teraz pracuje w kuchni wraz z Anną i chociaż obie flirtują, flirt Anny ma w sobie jakby nutę rozpacz.

Z kolei Lilike jest chłodna i opanowana. Umberto nie był pierwszym, który okazał jej zainteresowanie - to szczupła blondynka, z tych, które zawsze i wszędzie budzą zainteresowanie - ale pierwszym, którego postanowiła zachęcić. Podoba jej się coś w jego zabawnych, kręconych włosach i jawnie bezczelnym zachowaniu - jest tak beztroski, jak żaden z tutejszych mężczyzn. Niełatwo się poznać lepiej bez rozmowy, ale po kilku dniach nieustannych umizgów Umberta, który szczyrzył zęby, mrugał i gestykułował, ilekroć ją widział, Lilike zdecydowała się przemycić brzoskwinię, zawiniętą w chusteczkę, i włożyła mu ją do ręki, mijając go w drodze do kuchni.

Następnego wieczoru, kiedy wraz z Anną i Lujzą zbliżała się do bramy, usłyszała, że ktoś ją woła. Wszystkie trzy odwróciły się i zobaczyły Umberta pędzącego przez łąkę z małym, naprędce zebrany bukietem mleczy i stokrotek. Wcisnął go Lilike do ręki, rzucając płomiennie spojrzenie, ona podziękowała lekkim uśmiechem i jeszcze lżejszym skinieniem głowy, po czym rozmyślnie wsunęła bukiet za dekolt sukienki.

Anna niezwłocznie opowiedziała o tym Sari, toteż Sari nie jest zdziwiona, kiedy majowego dnia nad rzeką Lilike rumieni się mocno, słysząc jakąś rzuconą niedbale sprośną uwagę Lujzy.

Anna odwraca się do niej gwałtownie.

- I co? - pyta natarczywie. - Coś jeszcze między wami zaszło?

- Wczoraj - mówi Lilike, znów chłodna i opanowana - wczoraj wyszedł z obozu na spacer z kilku innymi. Wypatrzył mnie, jak piorę nad rzeką i... - Czerwieni się i spuszcza oczy. - Pocałował mnie - mówi cicho.

- I jak było? - pyta Anna bez tchu.

Żadna już nie udaje, że piorą, i prześcieradła porzucone w wodzie łopoczą jak duchy.

Lilike chwilę zastanawia się nad odpowiedzią.

- Przyjemnie - mówi w końcu. - On ma chyba wprawę w całowaniu.

Lujza parska śmiechem.

- No? - pyta. - I co dalej?

- Spotykamy się jutro. W tym samym miejscu i o tej samej porze. - Tyle zdołali ze sobą ustalić mimo trudności językowych.

- Położysz się z nim? Przecież tego właśnie chce, prawda? Głos Lujzy brzmi surowo, ale Lilike odpowiada, nie mrugnawszy nawet okiem.

- Oczywiście, że tak - mówi chłodno. - Po co inaczej miałabym się umawiać?

II

Co noc w snach Anny Karoly nie żyje. Co rano po przebudzeniu Anna czuje skurcz żołądka z zawodu. Przy ubieraniu modli się o przebaczenie, prosi Boga, żeby pomógł jej być posłuszną i wdzięczną żoną.

Ale ostatnio ma z tym trudności.

Nie chciała za niego wychodzić. W ogóle nie myślała o małżeństwie, a jeśli już zaświtała jej taka myśl, na pewno nie dotyczyła zwalistego, nieokrzesanego syna sąsiadów - gdyby ktoś jej to powiedział, roześmiałyby mu się w twarz. Ale zgwałcił ją, kiedy miała szesnaście lat - chodziła po lesie, a on od dawna ją śledził, czekając na okazję - i wszelka możliwość wyboru została jej odebrana, bo zaszła w ciążę i żaden inny mężczyzna już by jej nie chciał. Zastanawia się czasem, jak potoczyłyby się jej losy, gdyby skorzystała z rady Judit i usunęła dziecko, ale chociaż nie czuła do małego życia zwiniętego w niej nic prócz obojętności, nie mogła się zmusić nawet do rozważenia niejasnej propozycji Judit. Wydawała

jej się jakaś niemoralna. A kiedy poroniła, było już dwa tygodnie po ślubie i jej przyszłość została przesądzona.

Dziwne, myśli Anna, ona sama wcale nie przypomina Lujzy czy Sari - choć je kocha, czasem się ich boi. Ona nie marzy o życiu gdzie indziej i gdyby nie Karoly, byłaby zupełnie szczęśliwa, wychodząc za mąż i chowając dzieci w Falucse, jak jej matka i babka. Zdaje sobie sprawę, że nie jest szczególnie bystra ani piękna, ani utalentowana, ale nie jest też brzydka, ma łagodne usposobienie i dość rozsądku, by zostać dobrą żoną i matką. Od czasu poronienia nie zaszła już w ciążę, nie wiadomo, czy dlatego, że nie może, czy dlatego, że nie chce. Chociaż nie ma zamiaru opuścić Karolya - jakim cudem mogłaby to zrobić? - wie, że dziecko przywiązałoby ją do niego na zawsze, a tę myśl trudno znieść.

Anna jest dobrą, religijną kobietą, dręczą ją więc wyrzuty sumienia. Wprawdzie modli się regularnie i jak przystało prosi Boga o opiekę nad mężem i o koniec wojny, lecz jej serce się buntuje. Nie tylko śni o jego śmierci, ale w głębi duszy czuje bezwstydną wdzięczność za tę wojnę, za to, że zabrała go z domu i wystawiła na niebezpieczeństwo, a jej samej zwróciła życie - czy też wypożyczyła życie; nie jest aż tak głupia, by sądzić, że będzie to trwało wiecznie. A teraz jest jeszcze coś, co uparcie pomija w modlitwach, ale czym cieszy się cały dzień: przyjazd jeńców.

Widziała, jak Lilike szacuje ich wzrokiem, wybierając tego, który się jej spodoba. Z nią było inaczej: od samego początku wpadł jej w oko Jan - Giovanni. Najbardziej ujął ją jego uśmiech - nie beczelny jak uśmiech Umberta, dwuznaczny czy protekcyjny jak uśmiechy innych, lecz otwarty, przyjacielski i ciepły. Ten uśmiech mówi Annie wszystko i już wie, że to dobry, uczciwy i miły człowiek. Anna nie szuka rozrywki ani odmiany; choć nigdy by się nikomu do tego nie przyznała, szuka kogoś, kto ją stąd zabierze. Jeśli Karoly wróci z wojny, jej jedynym marzeniem jest na niego nie czekać.

Anna nie jest taka jak Lilike; nie spieszy się i nie chce brać sprawy w swoje ręce, bo ma pewność, że to, na co czeka, i tak się wydarzy. Lilike wybiera, planuje i ofiarowuje owoce wybrankowi, Anna i Jan porozumiewają się tylko poprzez uśmiechy; jasne, promienne uśmiechy, które kierują do siebie, ilekroć się widzą. Te uśmiechy ogrzewają ją od środka. Lilike umawia się na spotkania, Anna cierpliwie czeka. To musi się wydarzyć.

A tymczasem postanawia porozmawiać w tajemnicy z Sari i spytać, czy nie może jej dać czegoś, co ją zabezpieczy przed ciążą. W końcu nie zawadzi być przygotowaną.

Rozdział 7

W czerwcu Falucska dusi się pod naporem upału i hormonów. Sari coraz trudniej zachować jasność umysłu. To jej ulubiona pora roku - wioska, która w zimie wygląda na opuszczoną i wymarłą, latem rozkwita pełną krasą, surowe drewniane domy spowijają zieleń. Nikt nie spieszy się z robotą w taką pogodę, a w tym roku jest gorzej niż zwykle.

- Nic dziwnego - stwierdza Judit, gdy Sari dzieli się z nią tą uwagą. - Tyle ciekawego dzieje się wokół.

Sari założyła się sama ze sobą, że pierwsza będzie Lilike, toteż jest zaskoczona, kiedy pierwsza zgłosiła się do niej zapłoniona po czubki włosów Anna i poprosiła szeptem o coś, co ją uchroni przed ciążą. Lilike jednak nie dała na siebie długo czekać, a tuż po niej, ku zdumieniu Sari, przyszła Francziska Imanci: Francziska niemal mogłaby być jej matką i od niepamiętnych czasów ma męża; Sari nigdy by nie podejrzewała, że znajdzie się wśród tych, które wezmą sobie kochanka.

Od tej pory napływa do niej stały strumyczek kobiet, jedna lub dwie tygodniowo, szukających gwarancji, że nowe przywileje jeńców nie zostawią po sobie trwałych pamiątek. Każda kobieta, która przychodzi do Sari i Judit, trzyma głowę trochę wyżej niż poprzednia; duch w wiosce żywiłowo szybuje w górę i Sari, mimo cynicznej pozy, jaką przyjęła, przyznaje, że odpowiada jej ta nowa atmosfera. Lubi ten nastrój radosnego podniecenia, swobodny język, jakim zaczęły się posługiwać kobiety, ich rubaszne żarty; lubi łobuzerskie, porozumiewawcze spojrzenia, jakie sobie przesyłają, jakby należały do jakiegoś tajnego klubu. Większość kobiet zdaje się czuć to samo, z ulgą korzystając z okazji, by zapomnieć o wojnie. O ile przedtem co kilka dni pytano Sari, czy ma jakieś wieści od Ferenca, o tyle teraz pytania niemal ustały. Kiedy Laszlo Mecs wraca z frontu z amputowaną prawą ręką, podrygując i skacząc, jakby wciąż do niego strzelano, zostaje przywitany z zakłopotaniem, nie z podziwem.

W południe Sari decyduje się wyjść z domu. Judit jest w złym humorze z powodu upału (mówi, że czuje się znośnie tylko przez tydzień na wiosnę i drugi jesienią, a Sari wcale nie jest przekonana, że to żart). Sari wymyśla jakiś pretekst i pięć minut później siedzi nad rzeką, moczy nogi w wodzie i wypatruje, co się dzieje na równinie. Panuje cisza i spokój, jest zbyt gorąco, by ludziom chciało się wychodzić, toteż Sari właśnie postanawia przejść się po lesie, kiedy nagle słyszy za sobą odgłos szybkich kroków.

Zgarnia spódnicę, gotowa w razie potrzeby zerwać się do ucieczki, ale zaraz się uspokaja. To tylko Lilike, choć zmieniona nie do poznania: z rozczochranymi włosami sterczącymi na wszystkie strony, zlaną potem i z obłędem w oczach.

- Sari!

Sari przychodzi myśl, że nikt dotąd nie ucieszył się tak na jej widok. Wdrapuje się na brzeg do Lilike.

- Co ci jest? Co się stało? Lilike z trudem łapie oddech.

- Szukałam cię... byłam u Judit, ale powiedziała... powiedziała, że możesz być...

- Co się stało? - znów pyta Sari, ukradkiem wypatrując śladów obrażeń czy oznak choroby. Wie, że Lilike potrzebuje lekarstwa, bo przecież nie przysłaby do niej zwierzać się ze swoich uczuciowych kłopotów.

- Chodzi o Umberta. Jest chory.

Sari nieruchomieje; nagle aż zbyt wyraźnie dostrzega błagalny wzrok Lilike i słyszy jej urywany oddech.

- Co mu jest?

- Coś z żołądkiem. Strasznie boli go brzuch, wymiotuje.

- Chyba mają tam lekarza? Lilike kręci niecierpliwie głową.

- Niby tak, ale on nie wie, co mu jest, próbował różnych rzeczy, nic nie pomagało, zresztą dziś i tak musiał pojechać do innego obozu, koło Varos. Myślę, że może Umberto zjadł coś trującego i ty umiałabyś znaleźć na to lekarstwo.

Sari widzi, że Lilike płacze, chociaż nie wie, czy ona sama zdaje sobie z tego sprawę; łzy ciekną jej z oczu, a Lilike nie próbuje ich ocierać. Sari przeszywa dreszcz podniecenia i strachu.

- Może to Judit pójdzie?

- Powiedziała, że ty jesteś od niej lepsza i ma rację. Judit zna się doskonale na ciąży, porodzie i niemowlętach, ale kiedy przychodzi do innych rzeczy, to ty wiesz, co naprawdę trzeba robić. Wszyscy tak mówią.

Sari przyznaje jej w duchu rację - te umiejętności zawdzięcza ojcu - choć jest szczerze zdziwiona, że ktoś to zauważył. Czasem zdarza się, że ludzie wołają, aby leczyła ich właśnie ona, ale zawsze uważała, że po prostu nie lubią patrzeć na pomarszczoną twarz Judit, kiedy są chorzy lub cierpiący. To poczucie, że jest uznana i szanowana, przesądza sprawę, bardziej nawet niż myśl, że oto ma znakomity pretekst, aby pójść do obozu.

- Poczekaj chwilę - mówi do Lilike. - Muszę wziąć kilka rzeczy. Zaraz wracam.

Dziesięć minut później poganiana przez roztrzęsioną Lilike przekracza bramę obozu. Gunther wychodzi im naprzeciw - Sari nie widziała go od tamtego wiosennego dnia i dziwi się zmianom, jakie w nim zaszły przez tych parę miesięcy. Austriak wygląda jak zaniedbany starzec, utył w pasie i ma podpuchnięte oczy. Lujza wspominała mimochodem, że Gunther i inni strażnicy zaczęli pić - jej własny ojciec sprzedaje im swoją *szilwę* - i widać to, zarówno w wyglądzie fizycznym, jak i lekko chwiejnym kroku żołnierza.

- To Sari - szepcze Lilike.

Sari zastanawia się, czy Gunther jest w stanie zrozumieć cokolwiek po węgiersku, kiedy się tak szybko mówi, ale on unosi brwi.

- To jakieś dziecko - rzuca krótko.

Sari wyzywająco patrzy mu w oczy, a on cofa się pół kroku pod jej przenikliwym spojrzeniem.

- Mam szesnaście lat - mówi Sari po niemiecku, wolno i dobitnie. - Leczę mieszkańców wioski od dwóch lat, a przedtem całe lata pomagałam ojcu. Ale jeśli uważa pan, że nie jestem dość dobra dla pańskich jeńców, cóż... - Odwraca się, lecz Lilike chwytają za ramię i ściska kurczowo. Słyszy za plecami jej błagalny głos:

- Proszę... proszę...

Lilike nigdy nie brakowało siły przekonywania, toteż jak było z góry wiadomo, Gunther wzdycha i mówi:

- No dobrze.

Jeńcy mieszkają w dawnych budynkach gospodarczych i czworakach dla służby. Sari nigdy wcześniej nie była w tej części gospodarstwa Gazdagów. Wygląda na to, że Lilike też nie. Bez względu na to, jak bardzo w ciągu ostatnich kilku miesięcy rozluźniła się tu dyscyplina, Gunther najwyraźniej nie dopuścił jeszcze, by kobiety mogły odwiedzać mężczyzn w ich kwaterach. Sypialnia przedstawia się lepiej, niż się Sari spodziewała, łóżka stoją w równym rzędzie, przywodząc na myśl zaorane pole, i mimo polowych warunków jest tu czysto i porządnie, a nawet w miarę wygodnie.

Gunther wskazuje gestem koniec sali, gdzie przy jednym z łóżek zgromadziła się grupka mężczyzn. Sari zbiera w sobie całą odwagę i podchodzi do nich wraz z Lilike, która kurczowo ściska ją za rękę.

Umberto nie wygląda dobrze. Ma wymizerowaną, ziemistą twarz, co podkreśla nienaturalna bladeść oliwkowej cery. Skórę pokrywa mu warstwa potu, oczy błyszczą gorączką. Sari nigdy dotąd go nie widziała, ale z pewnością w obecnym stanie nie

przypomina mężczyzny z opisów Lilike. Dziewczyna przepycha się i przyklęka obok łóżka. Nie zwracając uwagi na szepty za plecami, przywołuje na twarz niepewny uśmiech, żeby uspokoić chorego, kiedy jednak kończy się to nerwowym grymasem, w głębi ducha jest zadowolona, że ból nie pozwala mu tego dostrzec.

Dotyka brzucha w okolicy żołądka i Umberto wydaje cichy jęk; skóra jest napięta i gorąca.

- Mówiłaś, że mógł coś zjeść? - pyta Sari Lilike.

- Nie... nie wiem. My... niewiele rozmawiamy, ale gdy spacerowaliśmy, zrywał jakieś jagody i pogryzał je... Widziałam, że były jadalne - dodaje szybko, jakby w odpowiedzi na piorunujący wzrok Sari. - Ale dzisiaj rano był w lesie sam, bo ja poszłam na targ, i myślę... myślę, że może... - Milknie bezradnie.

Sari znów patrzy na Umberta. Wzrok mężczyzny jest zamglony.

- Lilike, mówisz trochę po włosku? Muszę zadać mu kilka pytań.

Lilike czerwieni się.

- Znam parę słów, ale chyba ci się nie przydadzą.

- A Gunther albo któryś ze strażników? Lilike kręci głową.

- Potrafię powiedzieć tylko kilka zdań.

- No cóż... - mruczy Sari pod nosem - no cóż. - Po chwili zwraca się do otaczającego tłumy:

- Czy ktoś z was mówi po węgiersku?

Słysząc ściszone szepty, ale wszystkie wpatrzone w nią oczy wyrażają niezrozumienie.

- Dobrze - mówi, znowu zmieniając język. - To może po niemiecku?

Przez chwilę myśli, że nie ma szczęścia i będzie musiała wypróbować na Umbercie kilka mikstur z nadzieją, że go nie otruje. Ale na lewo od niej następuje jakieś poruszenie i ze zbitej grupki występuje jeden z mężczyzn. Wydaje się znajomy. Tak, to jego widziała wiosną na dziedzińcu, jak opierał się o ścianę.

- Ja trochę znam niemiecki. - Mimo wyniosłej postawy, mężczyzna mówi niepewnie, zacinając się.

- Świetnie. - Sari odwraca się z powrotem do Umberta. - To nam musi wystarczyć.

Pochyliła się nad pacjentem, który trzęsie się i spływa potem. Jej zdenerwowanie i niepewność gdzieś się ulatniają. Zna się na tym, to jej teren; wie, co należy robić. Jej myśli stają się jasne, ręce pewne i kiedy się odzywa, sama jest zdumiona, jak stanowczo brzmi jej głos.

- Jak masz na imię? - pyta mężczyznę, który przykucnął przy niej.

- Marco.

- Dobrze. Mógłbyś poprosić wszystkich, żeby stąd wyszli? Marco odwraca się i mówi coś do kolegów, którzy z ociąganiem odchodzą od łóżka, najwyraźniej niechętnie. Sari nie jest pewna, czy powoduje nimi troska o Umberta, czy krwiożercza chęć urozmaicenia sobie nudnego życia w odosobnieniu.

Marco znów przysiada obok i patrzy na nią ciekawie.

- Kim jesteś? - pyta powoli po niemiecku.

- Mam na imię Sari.

- Nie... mam na myśli... - Gestykuje wymownie, ogarniając ruchem ręki Umberta na łóżku oraz zbiór buteleczek i torebek przyniesionych przez Sari. - Czym się zajmujesz?

Sari nie zna słowa „akuszerka” po niemiecku, mówi więc, że jest pielęgniarką; to prawie to samo.

- Chcę mu zadać parę pytań. Wydaje mi się, że zjadł coś, czego nie powinien jeść, ale muszę wiedzieć co, zanim dam mu lekarstwo. Rozumiesz?

Słucha jej ze skupieniem, a potem kiwa głową.

- Zapytaj, czy jadł coś w lesie.

Marco mówi coś do Umberta i po chwili tamten odpowiada, najwyraźniej twierdząco.

- Mówi, że tak, ale nic, czego nie jadłby wcześniej, kiedy ta dziewczyna... Lilia?... z nim była.

Sari wzdycha.

- Niektóre owoce łatwo pomylić. Co dokładnie jadł? Jagody? A może grzyby?

W ciągu kilku minut udaje im się ustalić, że były to jagody, małe, okrągłe i czerwone. Rosły na krzaku, który miał ciemnozielone błyszczące liście. Sari czuje prawdziwą ulgę.

- To nic poważnego - mówi do Marca, który też oddycha z ulgą i przekazuje wiadomość Umbertowi, zbyt cierpiącemu, by okazywać ulgę z powodu czegokolwiek. - Pójdę teraz do kuchni - dodaje Sari - i przygotuję odpowiednie leki. Lilike mi pomoże. Powiedz mu, że wrócę za pół godziny.

Umberto, nadal mocno obolały, jest już nieco niespokojny, kiedy Sari i Lilike wracają z fiolkami i buteleczkami. Mówi coś zdenerwowanym tonem do Marca, a ten uśmiecha się i tłumaczy:

- Chce wiedzieć, dlaczego to tak długo trwało.

Sari, lekceważąc pytanie, wyjaśnia, jak należy przyjmować lekarstwa, które są w trzech butelkach.

- Trzeba je brać ściśle według mojego przepisu - mówi do Marka. - Zapisz to sobie lepiej.

Podaje Umbertowi butelki i czeka, aż Marco przetłumaczy jej słowa, jednocześnie notując je tajemniczymi gryzmołami na kawałku papieru. Umberto z wyraźną niechęcią wacha mętny płyn przed połknięciem, a potem wykrzywia się i wybuchu potokiem ostro brzmiących słów w kierunku Marca. Marco tłumi śmiech z zakłopotaną miną.

- On mówi...

- Niech sobie mówi, co chce - odpowiada chłodno Sari. - To właśnie ten pociąg do słodczy wpakował go w kłopoty.

Po chwili milczenia Marco z rozmysłem przenosi wzrok na Lilike. Kąciki ust mu drgają. Sari ma ochotę wybuchnąć śmiechem, zachwycona, że udało się jej przekazać podwójne znaczenie swoich słów, mimo trudności, jakie im obojgu stwarza niemiecki. Lilike stoi u nog łóżka, skubiąc spódnice, i nie zwraca na nich uwagi. Umberto mamrocze coś pod nosem. Sari patrzy pytająco na Marca.

- Mówi, że przeprasza - wyjaśnia Marco. - I dziękuje, że przysłaś.

- Nie ma za co. - Teraz, kiedy nie jest już potrzebna, nieśmiałość znów zamyka jej usta. - Chyba... już pójdę.

Lilike siada na brzegu łóżka i głaszcze Umberta po włosach pocieszającym gestem, choć on wydaje się znacznie bardziej zainteresowany jej odsłoniętym dekoltem. Sari rusza do drzwi, a Lilike patrzy błagalnie w stronę Gunthera, który niedbale podpira ścianę w kącie.

Strażnik robi znudzoną minę i wzrusza z rezygnacją ramionami.

- Róbcie, co chcecie - mruczy. Lilike nic więcej nie trzeba.

- Ja tu zostanę - mówi do Sari.

Sari i Marco wychodzą z sypialni w milczeniu. Wiedziona nagłą chęcią ucieczki Sari rusza szybko ku schodom, ale on chwyta ją za rękę.

- Poczekaj - prosi. - Skąd znasz się na tym wszystkim? Kto cię nauczył?

Sari wzdycha. Jak można to wytłumaczyć cudzoziemcowi?

- Mój ojciec... - szuka właściwego sformułowania - był kimś w rodzaju lekarza. Wiele się od niego nauczyłam. A teraz pracuję jako... opiekuję się dziećmi i kobietami... - Nie zna słowa „ciąża”, robi więc kolisty ruch ręką, pokazując zaokrąglony brzuch.

On kiwa głową, że rozumie.

- Ile masz lat?

- Szesnaście. Myślałeś, że jestem młodsza, tak?

- Nie - zaprzecza Marco. - Masz... masz stare oczy. - Milknie i marszczy brwi. - Czy ja cię już gdzieś widziałem?

- Byłam tu pierwszego dnia, kiedy wszystkie kobiety przyszły szukać pracy. I wtedy cię zobaczyłam, o tam. - Sari wskazuje ruchem głowy dziedziniec. Jego twarz się rozjaśnia.

- Oczywiście! Byłaś z dwoma innymi dziewczętami, które teraz pracują w kuchni. Ale ty sama nigdy więcej tu nie przyszłaś. Dlaczego?

- Jestem zajęta. Ludzie chorują, zawsze mamy pełne ręce roboty. - Z sypialni dobiega ich głośny wybuch śmiechu i oboje podskakują; najwyraźniej Umberto czuje się już lepiej. - A poza tym - dodaje Sari z rumieńcem na policzkach - nie jestem taka. - Robi ruch głową w kierunku Lilike.

- Jesteś mężatką? - dopytuje się Marco.

- Nie, ale jestem... - Nie wie, jak powiedzieć po niemiecku „zaręczona”. - Wyjdę za mąż, kiedy mój... mój mężczyzna wróci z wojny.

- Rozumiem. - Nagle Marco pyta z naciskiem: - Ale przyjdiesz tu jeszcze, prawda? Sama widzisz, że bardzo przydałaby się twoja pomoc.

Wpatruje się w nią uważnie. Sari, wściekła na siebie, czuje, że znów się czerwieni.

- Nie wiem... nie jestem pewna...

- Ja też cierpię na ostre bóle głowy. Po ranie postrzałowej. Nasz lekarz ma dużo pracy w obozie dla szeregowców, a kiedy jest tutaj, daje mi tylko morfinę. Źle to znoszę. Może ty...

Powinna pożegnać się i odejść; wie, że powinna, ale w myślach już zaczyna sporządzać miksturę dla Marca, miksturę, która przyniesie mu ulgę.

- Nikt tutaj nie traktuje mnie poważnie. Sam widziałeś, jak na mnie patrzyli, kiedy przyszłam.

Marco wzrusza ramionami.

- Być może. Ja traktowałbym cię poważnie. Umberto też. A inni z czasem...

- Gdzie się nauczyłeś niemieckiego? - pyta Sari zniecierpliwiona, grając na zwłokę.

Marco jest trochę zaskoczony zmianą tematu.

- Mieszkam na północy Włoch, w pobliżu granicy z Austrią. Wielu ludzi mówi tam po niemiecku. Nigdy nie pobierałem żadnych lekcji, po prostu tak się nauczyłem.

- To widać - mówi Sari bez zastanowienia, ale on się śmieje.

- Wiem.

- A co robiłeś... przed tym wszystkim?

- Przed wojną? Byłem nauczycielem akademickim. Uczyłem historii.

Sari czuje gwałtowny szum w głowie i mówi szybko:- Przyjdę jutro i przyniosę ci coś na te bóle. A potem nie czekając na odpowiedź, zbiega po stopniach prosto w promienie słońca.

W domu czeka list od Ferenc. Rozpływa się w nim nad cudownym latem w rodzinnej wsi, przeżywa je w wyobraźni. Sari z przerażeniem czuje, że te kwieciste opisy wyciskają jej łzy z oczu, choć nie płakała od lat.

Jest trzecia w nocy i Sari nie może spać. Choć Judit protestuje, wysuwa się z łóżka i wymyka z domu. Zeszłej nocy udało jej się uniknąć pytań Judit i uciec do starego domu, który wciąż jest dla niej azylem. Przychodzi tu raz lub dwa razy w tygodniu, sprawdzić, czy nie zaległy się szczury i pająki. Dom Judit stoi pośrodku wioski, na zewnątrz zawsze słysząc odgłosy kroków i rozmów, ale mało kto zbliża się do domu jej ojca, położonego w zakolu rzeki, z dala od pozostałych gospodarstw. Zeszłej nocy szukała samotności, napisała też dziesięciostronicowy list do Ferenc, wesoło przedstawiając mu różne wydarzenia z życia wioski; ma nadzieję, że Ferenc nie zauważy ani desperackiego tonu czającego się między wierszami, ani pokutnej nuty. Powiedziała sobie, że będzie myśleć o Ferencu, będzie mieć go przed oczami, ale zaraz po powrocie do domu Judit zabrała się do przyrządzania mieszanki ziołowej na bóle głowy, mrużąc pod nosem zaklęcia na odczynienie zła. Nie robi tego dla każdego.

Myślała o tym już tyle razy, że czuje, jakby miała dziurę w mózgu, i dlatego wstaje o trzeciej i wychodzi z wioski na równinę, jakby w tej szerokiej przestrzeni pod szerokim niebem łatwiej jej było się zastanowić. Ziemia jest nadal rozgrzana upałem dnia, z miejsca, gdzie siedzi, widać pogrążoną w mroku wioskę - nie pali się ani jedno światło. Sari stara się nie patrzeć w stronę obozu, też ukrytego w ciemności.

Nie chodzi o Marca. Może trochę, ale nie do końca; to nie jest tak jak z Anną i Giovannim (Sari nie potrafi nazywać go Janem nawet w myślach, zresztą Anna nauczyła się wreszcie wymawiać jego prawdziwe imię) ani jak z Lilike i Umbertem, ani z żadną inną parą, połączoną za tym zdumiewającym przyzwoleniem wioski. Z nią jest inaczej, nie czuje do Marca tego, co Anna do Giovanniego czy Lilike do Umberta. Anna bez przerwy mówi o trzęsących się kolanach i biciu serca, Lilike raczej o popękanych ustach, podrapanych plecach i malinkach na piersiach, a w niej Marco budzi tylko nieposkromioną, palącą ciekawość, która nie ma nic wspólnego z zadurzeniem ani tarzaniem się po krzakach. Sari wie, że miała

niezwykłe szczęście, zdobywając Ferencą i to jej powinno wystarczyć - i tak dostała więcej, niż ktoś taki jak ona mógł sobie wymarzyć.

Ale pokusa, jaką jest obóz dla jeńców, nie daje jej spokoju. To tak, jakby przez wioskę powiał świeży powiew, który zawrócił jej w głowie i podrażnił myśli. Pytania, jakie odsuwała całe lato, coraz natarczywiej domagają się odpowiedzi. Jacy są ci mężczyźni? Co wiedzą? Czego mogliby ją nauczyć? Wczorajszy dzień spadł jej jak z nieba. Nikt, kto dowie się o pomocy, jakiej udzieliła Umbertowi, nie oskarży jej o szukanie pretekstów, żeby pójść do obozu. Zastanawiała się czasem, czemu wciąż jej zależy na zachowaniu wątlej reputacji, jaką ostatnio zdobyła, skoro inne kobiety za nic miały swoją - ale tak to już jest; z trudem osiągnęła pewną pozycję i boi się ją narazić.

W listach do Ferencą starannie omija temat obozu. Ferenc musi o nim wiedzieć, bo przecież to jego rodzice oddali gospodarstwo, ale póki sama o niczym nie wspomni, może pozostawać w przekonaniu, że nie ma to wpływu na życie wioski. W głębi serca jest bardzo staroświecki i Sari wie, że oburzyłoby go zachowanie niektórych kobiet. Boi się więc, że w jego oczach kontakty z obozem, choćby całkiem niewinne, rzuciłyby piętno także na nią.

A jednak wie już, że tam pójdzie. Gdyby nie pomogła Umbertowi, gdyby Marco nie traktował jej z szacunkiem i zainteresowaniem, gdyby nie był nauczycielem historii, może zdołałaby oprzeć się pokusie. Ale chociaż stara się ją stłumić, zwalczyć, odepchnąć, ciekawość zawsze stanowi najsilniejsze uczucie w jej życiu, a okazja, żeby się czegoś nauczyć, dowiedzieć, wyjść poza wąski krąg wioski, może się więcej nie trafić.

Nie chce spać z Markiem, wie, że nie chce, oczywiście, że nie; chce z nim porozmawiać i poznać go bliżej, musi więc ustalić pewne reguły. Kiedy wróci do obozu, poszuka go i poprosi, żeby podzielił się z nią swoją wiedzą. W ten sposób jasno postawi sprawę ich wzajemnych spotkań w oczach mieszkańców wioski, jego i swoich.

Marco zawsze miał kłopoty ze snem, a odkąd jest w obozie, w ogóle nie może zasnąć. To dziwne, że śpi gorzej, gdy ciszę nocną przerywają jedynie odgłosy ptaków i zwierząt na równinie oraz pochrapywanie towarzyszy, niż wtedy, gdy zasypiał mimo strzelaniny, ogłuszających wybuchów, okrzyków bólu i cierpienia - ale to prawda. Może dlatego, że cisza na zewnątrz jedynie wzmaga wewnętrzny niepokój. A może z powodu bólów głowy, które rozsadzają mu czaszkę i wysysają siły. Jakakolwiek jest przyczyna, całymi nocami obywa się tylko krótką drzemką, a potem zniecka powala go zmęczenie tak obezwładniające, że często z najwyższym trudem dowleka się do łóżka. Przez dwanaście albo czternaście godzin

śpi kamiennym snem (koledzy kryją go wówczas i nie pozwalają budzić), a potem wszystko zaczyna się od nowa.

Toteż nic dziwnego, że tej nocy nie śpi, że o drugiej wyskakuje z łóżka (nie mogąc już znieść postękiwań i posapywań śpiących błogo towarzyszy) i wychodzi cicho z sypialni. W innym życiu, w poprzednim życiu, poszedłby na spacer; każdym nerwem czuje jeszcze szczypanie nocnego powietrza na skórze i kojącą głęboką ciszę. Jednak bez względu na to, jak dobrotliwi (czy też rozleniwieni) stali się strażnicy, wie, że próba opuszczenia budynku o tej porze może się dla niego skończyć kulką w tył głowy. Siada więc na szerokim parapecie okna na podeście schodów, okna, które wychodzi na równinę, skrytą teraz w granatowej ciemności. Ktoś litościwie zostawił je otwarte. Żaden z jeńców nie jest przyzwyczajony do ciężkiego, dusznego upału i bez powiewu wiatru niemal brakuje im tchu.

Kiedy ma lepszy dzień, widzi humorystyczną stronę swojej obecnej sytuacji - jeszcze trzy lata temu nigdy by mu nie przyszło do głowy, że lato 1916 roku spędzi na obrzeżach odciętej od świata wioski, położonej pośród węgierskiej puszczy. Kiedy ma zły dzień, ogarnia go wściekłość, co go zresztą zdumiewa, podobnie jak fakt, że mu to nie mija. Ciągłe na nowo ogarnia go złość i męczy świadomość, że to się nie miało prawa zdarzyć.

Marco nigdy nie chciał być żołnierzem, nigdy też nie miał być żołnierzem, ale ze zdumiewającym uporem wykonywał wszystko, co robił, w najlepszy możliwy sposób - toteż w rezultacie stał się dobrym żołnierzem. Z perspektywy czasu wydaje mu się to jeszcze obrzydliwsze, że zabijał ludzi, ryzykował życie (swoje i innych) wiedziony nie patriotyzmem czy zapalem bojowym, tylko dumą i chęcią udowodnienia, że równie dobrze sprawdzi się na wojnie, jak na każdym innym polu. Skończyło się na tym, że wylądował w obozie.

Czasem myśli o swojej żonie - nie tak jak inni, z rozpaczliwą tęsknotą (zabarwioną w wielu wypadkach poczuciem winy, bo rzadko kiedy przysięga małżeńska potrafi przetrwać rozstanie, upływ czasu i dramatyczne przejścia, które teraz dzielą mężów i żony), ale z dojmującym, gorzkim smutkiem. Benigna jest jego przeciwieństwem, ma miękkie krągłości tam, gdzie on ostre kanty. Jest inteligentna - nigdy nie mógłby poślubić głupiej kobiety - ale jej inteligencja pulsuje łagodnie, a jego w lot chwyta sedno sprawy; ona ma w sobie spokój i zadowolenie, on ciągle czegoś szuka. Ich dom jest pełen książek, ale największą dumą Benigny jest fortepian; gra na nim godzinami, on zaś udaje, że czyta, jednak sztywność czy nieruchomość jego postaci zawsze jej mówią, że słucha. Benigna dostosowuje więc swój repertuar, grając muzykę, którą mąż najbardziej lubi. Marco tęskni za nią, ale z pewnym rodzajem melancholijnej rezygnacji; wyrzuca sobie, że bardziej niż samej Benigny brakuje mu kojącego wpływu, jaki miała na jego życie. Teraz stracił tę łagodną osłonę.

Od początku wiedział, że to zły pomysł - gorzej: czysty idiotyzm - kiedy kazano im po raz czwarty forsować tę cholerną rzekę, żeby dojść do gór. Z każdą nieudaną próbą Austriacy chowali się głębiej, aż stali się praktycznie niedostępni. Zima, ostry zacinający wiatr, nieustanny deszcz ze śniegiem i za mało artylerii w ich oddziałach - pamięta to bezradne uczucie, że za chwilę zginą. A potem został trafiony; błysk, wybuch i dalej nic, pustka; później powrót świadomości, ból i niedający się zapomnieć fakt, że chwilę wcześniej szrapnel rozprysnął się na ziemi obok niego i ozdobił mu czaszkę odłamkiem, a Aldo Damasco, którego Marco znał od dzieciństwa, eksplodował strumieniem krwi i błota tuż przed nim. Niewiele więcej do niego docierało, tylko to wspomnienie i ból; było mu wszystko jedno, czy przeżyje, czy jest u wroga, czy wśród własnych ludzi. Nie poznawał nikogo wokół, nie rozumiał, co mówią, wiedział tylko, że został ranny. Później znów zapadł w mgłę.

Kiedy następnym razem odzyskał przytomność, zdał sobie sprawę, że jest w rękach wroga, ale teraz nie było mu już wszystko jedno. Nadal nie pamiętał nic z najbliższej przeszłości; jawiła mu się jako mieszanina rozpacz i bólu, na co nakładała się stała obecność ludzi, których języka nie rozumiał i którzy niezbyt dbali o to, czy wróci do zdrowia. Gdy się poczuł lepiej, spróbował dostroić ucho do ich mowy i w końcu przypomniał sobie niemiecki, często słyszał go w Como. Przyspieszyło to jego rekonwalescencję - z braku książek i towarzystwa okazja, by ćwiczyć umysł, trenować go podczas pierwszych chwiejnych kroków powracającego do zdrowia, pomogła mu uchwycić się życia skuteczniej niż lepszy stan fizyczny.

A później, kiedy mógł już chodzić, został dołączony do grupy oficerów wysłanych do Falucski.

Pamięć nadal mu szwankuje, nie potrafi przywołać niektórych wydarzeń ze swojego życia. Ślub, tak, ślub pamięta, i kilka dni potem, dalej jednak jest pustka, aż do chwili, gdy widzi, jak Benigna płacze; zapewne minął kolejny miesiąc i znów nie zaszła w ciążę - kiedy to było? Tygodnie, miesiące czy lata po ślubie? Nie wie i myśląc o tym, zaciska pięści. Zdaje sobie oczywiście sprawę, że i tak ma szczęście; wielu takich, którzy doznali podobnych obrażeń głowy, tonie w mętnej sadzawce niepamięci. Nie tylko nie mają żadnych wspomnień z przeszłości, ale każdy nowy fakt wpada do tej sadzawki jak kamień, zostawiając najpierw drobne fale na powierzchni, a potem już nic. A przecież nawet oni mają szczęście w porównaniu z tymi, którzy stali się jak niemowlęta, nie mogą mówić ani jeść, ani załatwiać samodzielnie swoich potrzeb. Marco jednak zbudował swoje życie i karierę na wiedzy i nauce, toteż czuje się, jakby umysł, który zawsze poddawał surowej dyscyplinie i kontroli, haniebnie go zdradził.

Wpatruje się w ciemną równinę i widzi, że kopuła nieba uniosła się już nieco i na horyzoncie błyska słońce. Gwiazdy w górze zapewne powoli gasną, ale nie może ich dojrzeć z okna. Napełnia go to dziwnym smutkiem; wyobraża sobie, że gwiazdy tutaj mają niezwykle blask. Ostatnio krajobraz zaczyna go wciągać, choć nie jest to piękno, do jakiego przywykł. Sam bezmiar puszy budzi podziw, w naturalny sposób kierując uwagę na niebo. Dotychczas piękno wiązało się dla Marca z górami czy architekturą eleganckich miast, niebo było tylko prześwitem między szczytami lub budynkami, teraz jego kaprysy zaczęły go fascynować i od czasu, kiedy wolno mu przebywać na zewnątrz, obserwuje je niemal z zapamiętaniem. To ogromna, wciąż zmieniająca się scena; chmury kłębią się i łamią jak fale. Żałuje, że nie może oglądać nieba w nocy; pragnie tego tak bardzo, że czasem, gdy leży bezsennie w łóżku, ze wzrokiem wbitym w sufit, wydaje mu się, że ten sufit zaczyna połyskiwać i staje się przezroczysty, przepuszczając rozproszone światło księżyca.

Rozdział 8

Sari wraca do obozu w południe; czuje pulsowanie w skroniach, ręce drżą ze zdenerwowania. Z podniesioną głową i dumnie wyprostowana przechodzi obok grupy mężczyzn grających w piłkę w ogrodzie i obok Gunthera, który wita ją niedbałym uniesieniem ręki. Znajduje Marca wyciągniętego w cieniu czereśni pod głównym budynkiem. Wstaje na jej widok, jego ruchy są dziwnie precyzyjne; Sari nakazuje mu gestem, żeby usiadł. Sama siada obok.

- Przyniosłam ci to - mówi, starannie wymawiając niemieckie słowa, i podaje mu butelkę. - Na bóle głowy. Nie wiem dokładnie, jak działa morfina ani czym to się różni od lekarstw, które może ci dać lekarz, ale to ci powinno pomóc i nie powodować złych skutków.

- Jak często mam to brać?

- Weź dwie łyżki, kiedy ból się zacznie, a potem nic przez przynajmniej cztery godziny, nawet gdyby nie zadziało. Niebezpiecznie jest brać za dużo.

- Dziękuję... - Marco czuje się niezręcznie. - Chciałbym ci zapłacić albo...

Sari gwałtownie kręci głową.

- Nie, nie... Nie trzeba. Ale gdybyś... - Teraz to ona jest skrepowana. - Mówiłeś, że jesteś nauczycielem. Historii.

- Tak.

- Pomyślałam sobie, że może... może mógłbyś mi opowiedzieć o różnych rzeczach. Nigdy nie rozmawiałam z nikim, kto nie jest stąd - ciągnie szybko, chcąc wyrzucić to z siebie, zanim zażenowanie weźmie górę i zamknie jej usta. - Chciałabym... dowiedzieć się czegoś o świecie, o tym, czego uczysz na uniwersytecie, chciałabym poznać twój kraj, twój język i... tak dalej. - Milknie.

- A więc chcesz zostać uczoną białogłową? - Ironia w jego głosie jest całkiem wyraźna.

Sari pąsowieje i zrywa się na nogi.

- Nieważne. Mniejsza o to.

Marco przeklina się w duchu. Nie wie, skąd u niego ta nuta szyderstwa i dlaczego tak mu trudno odpowiedzieć na najprostsze pytanie bez sarkazmu.

- Nie, nie odchodź... usiądź, proszę.

Sari patrzy na niego z powątpiewaniem. Marco wzdycha.

- Przepraszam. Nie chciałem cię urazić. Siadaj, proszę... Robi zachęcający gest i Sari z nieufną miną przysiada na piętach, gotowa w każdej chwili uciec.

- Posłuchaj. - Marco kiwa na nią, żeby przysunęła się bliżej. Odgarnia włosy z lewej strony, pokazując skórę głowy, a ona mimo woli nachyla się, zaintrygowana, i patrzy na poszarpaną bliznę przecinającą mu czaszkę.

- Zostałem trafiony odłamkiem - wyjaśnia Marco. - Długo leżałem w szpitalu.

- A teraz masz te bóle głowy?

- Tak i... - Boże, czemu czuje się upokorzony, wyjawiając to niewykształconej szesnastolatce? A jednak tak samo czułby się, opowiadając o tym któremuś z dawnych kolegów. - Zapomniałem wielu rzeczy. Wydaje mi się, że... że większość pamiętam, ale nie wszystko. Moja pamięć jest... jest dziurawa. - Rozkłada ręce w przeproszającym geście i dodaje, tym razem bez śladu drwiny: - Chyba nie byłbym teraz najlepszym nauczycielem.

Sari milczy przez chwilę, nie spuszczać oczu z jego twarzy, w końcu wzrusza ramionami.

- Czy jest tu ktoś lepiej wykształcony od ciebie? Marco kręci głową z lekkim uśmiechem.

- Jest kilku inżynierów, ale jeśli chodzi o to, na czym ci zależy...

Sari znów wzrusza ramionami.

- Wygląda na to, że nie mam wyboru.

- Ale...

- Prosiłeś, żebym wróciła, prawda? - Sari decyduje się postawić wszystko na jedną kartę. - Chyba nie tylko dlatego. - Podnosi z trawy małą butelkę i potrząsa nią wymownie. - Zadałeś mi wczoraj wiele pytań, też chciałeś się dowiedzieć różnych rzeczy. O tym wszystkim. - Zatacza ręką koło, patrząc mu uważnie w oczy.

Przez ostatnią dobę Marco starał się nie przyznawać do tego, jak bardzo czeka na jej przyjście, a ona w kilku krótkich zdaniach go obnażyła. Pociąga go jej dociekliwy, bystry umysł, jej bezpośredniość, surowa, dumna twarz - wszystko to różni ją od tutejszych kobiet, jest jakby z innego świata.

- Interesujesz mnie - przyznaje. Nic lepszego nie potrafi powiedzieć, ograniczony obcym językiem, poza tym nigdy nie umiał prawić kobietom słodkich słówek.

- Ty też mnie interesujesz - odpowiada Sari ze spokojem.

- Jesteś inna.

- I ty jesteś inny. Mamy więc coś wspólnego.

Między nimi zapada cisza. Sari nadal nie potrafi rozmawiać z ludźmi - w jakiś sposób słowa, które wypowiada, wydają się ich drażnić albo urażać. Teraz przypominając sobie odruchowy sarkazm Marka, czuje dziwną więź. Ogarnia ją ulga. Trudno znaleźć dwoje ludzi

mniej podatnych na zadurzenie: oboje są niezręczni, zamknięci w sobie i nie przypominają innych.

Marco wstaje.

- Chodźmy na spacer - proponuje. - Powiesz mi, co chciałabyś wiedzieć.

Obóz staje się dla Sari częścią życia. Wstaje wcześniej niż do tej pory, żeby wywiązać się ze swoich codziennych obowiązków.

Koło południa idzie do obozu. Każda wizyta jest dłuższa niż poprzednia. Wdzięczny Umberto rozślawił jej medyczne talenty i jeden po drugim zgłaszają się do niej jeńcy z dolegliwościami, na które nie pomógł tutejszy lekarz i jego morfina.

Marco służy za tłumacza, kiedy przychodzą koledzy; Sari nie wie, co o niej naprawdę myśla, nie jest pewna, czy nie biorą jej za znachorkę, posługującą się czarną magią, i czasem, gdy dopisuje jej humor, wciela się w tę rolę, wykonując cały cykl niezrozumiałych czynności albo mruczy pod nosem złowieszcze zaklęcia podczas przygotowywania mikstury. Cieszy się, bo to bawi Marca, który tłumi śmiech podczas tych dziwacznych rytuałów. Nigdy nie umiała rozśmieszać ludzi - w każdym razie celowo - a teraz przekonuje się, że ta nowa sztuczka to dobra zabawa, chociaż trochę jej wstyd, że robi sobie żarty z pracy, którą wykonują z Judit, zawsze więc pilnuje, by jej rzekome czary były inne od zaklęć, jakie odprawia na osobności. Byłaby strasznie zakłopotana, gdyby Marco kiedykolwiek się domyślił, że w jej zielarstwie kryje się coś więcej niż skruszenie liści i kwiatów.

Popołudniami chodzą na spacer. Marco zaczyna patrzeć na pusztę zupełnie innym okiem, dzięki jej znajomości wszystkich roślin, chwastów, traw i kwiatów. Próbuje namówić ją, żeby wzięła go do lasu, gdzie z pewnością jest dużo interesujących roślin, ale Sari zawsze odmawia. Nalega, by spacerowali tylko w miejscach dobrze widocznych z wioski i z obozu - chce uniknąć plotek, co jak dotąd się udaje. Przyjaciółki dokuczają jej, ponieważ teraz chodzi do obozu, ale skoro romans z jeńcem stał się czymś na porządku dziennym, czego nie trzeba się wypierać, wszyscy wierzą jej na słowo, gdy zaprzecza, by coś ją łączyło z Markiem. Poza tym jej sława uzdrowicielki rośnie, Sari zdobywa sobie coraz więcej szacunku w wiosce: leczyć miejscową ludność z powszechnie znanych dolegliwości to jedno, a całkiem co innego pomagać skutecznie cudzoziemcom - wszyscy wiedzą, że ich ciała mogą być zbudowane inaczej i podatne na inny rodzaj chorób.

Spotkania z Markiem nazywa lekcjami, ale to raczej rozmowy. Marco snuje opowieści, z których Sari czerpie dość chaotyczne pojęcie o historii, geografii, polityce i społeczeństwie Włoch; ona z kolei uczy go praktycznych zasad sztuki uzdrawiania („Mogę ci

to zdradzić - mówi - bo nie będziesz miał okazji tego wykorzystać i odebrać mi pracy”), opowiada o tajemnicach puszczy, nieznanym tym, którzy nie mieszkali tu od zawsze, o zabobonach i o swoim życiu. Te rozmowy są bardzo ożywione, przerywane tupaniem ze złości, kiedy Marca zawodzi pamięć, albo szkicowaniem patykiem na piasku, gdy nie wystarcza ich znajomość języka.

Marco niezbyt dobrze zna niemiecki, a i Sari ma spore braki (do czego przyznaje się niechętnie), toteż wkrótce dochodzą do wniosku, że muszą znaleźć inny język, w którym się będą porozumiewać. Sari próbuje uczyć Marca węgierskiego, ale ten szybko rezygnuje, pokonany przez ściśnięte samogłoski i zbitki spółgłosek. Wobec tego Sari zaczyna się uczyć włoskiego, który brzmi w jej uszach jak plusk gładkich, krągłych kamyków wpadających do cichej wody. Jest urzeczona tym językiem, nowymi dźwiękami, jakie spływają z jej ust, płynnością słów. Często wieczorem, po dniu spędzonym z Markiem, mówi sama do siebie - nic sensownego, na to jest za wcześnie, ale powtarza rzeczownik po rzeczowniku, jak modlitwę, jak zaklęcie.

Przekazuje też Judit historie zasłyszane od Marca, głównie po to, żeby je lepiej zapamiętać, ale Judit słucha ich łapczywie.

- To cudowne - mówi. - To prawdziwy dar, móc nauczyć się czegoś nowego. - I Sari po raz pierwszy przychodzi na myśl, że chociaż ona sama czasem nudzi się w wiosce, to nic w porównaniu z tym, jak musi się czuć Judit, otoczona tymi samymi domami, tymi samymi rodzinami i tym samym nędznym kawałkiem ziemi rok po roku, całymi latami.

- Opowiedz mi o twojej żonie - mówi Sari do Marca pewnego popołudnia; jej ton jest niedbały, ale oczy obserwują go uważnie.

- Skąd wiesz, że jestem żonaty? - pyta Marco.

- Nie wiem. Ale mężczyzna w twoim wieku... - Marco ma trzydzieści dwa lata. - Nie jesteś też zawodowym żołnierzem, należy się więc spodziewać, że masz żonę.

- Tym razem masz rację. - Marco wyjmując coś z kieszeni i podaje Sari. - To Benigna.

Kobieta na zdjęciu trochę ją zaskakuje; uśmiecha się, ma lekko przechyloną głowę i wygląda na nieśmiałą. Jasne włosy spływają jej na ramiona w sprężystych lokach i falach; ma łagodną twarz w kształcie serca i krągłą, gładką szyję. Jest całkowitym przeciwieństwem Sari.

Jeszcze kilka tygodni temu pewność, że ona i Marco nie mogą się w sobie zakochać, przynosiła jej ulgę; teraz czuje ukłucie zazdrości i żalu. Tłumi to uczucie i odsuwa od siebie.

- Jaka ona jest? - pyta, mając nadzieję, że głos jej nie zdradzi.

- Bardzo spokojna. Delikatna i miła. Lubi czytać i doskonale gra na fortepianie. Jest siostrą jednego z moich uniwersyteckich kolegów; tak się poznaliśmy.

- Czy jest dobrą matką? - ryzykuje Sari z mocno bijącym sercem.

Marco milczy przez chwilę.

- Nie mamy dzieci - odpowiada krótko. - Chcielibyśmy, ale jeszcze nie było nam dane.

- Przykro mi. - Czyżby? Nie dałaby sobie za to uciąć ręki. Idą przez jakiś czas w milczeniu, a potem Marco mówi:

- Martwiłem się, że może mamy dzieci albo dziecko, tylko o tym zapomniałem. Ale to chyba nie jest możliwe, prawda? Nie pamiętać o dziecku?

W jego głosie brzmi błagalna nuta; Sari spędziła z nim dość czasu, by wiedzieć, jak bardzo luki we wspomnieniach dają mu się we znaki.

- Chyba nie - odpowiada ostrożnie. - Nie mógłbyś o tym zapomnieć. Pamiętasz ślub z Benigną, prawda? - Marco potakuje. - No widzisz, to znaczy, że pamiętasz najważniejsze wydarzenia. Pamiętałbyś o dziecku.

Marco znów kiwa głową, wyraźnie pocieszony jej zapewnieniem.

- Ty też nigdy nie opowiadałaś mi o swoim narzeczonym - mówi lekko.

Nadal rozmawiają po niemiecku, ale Sari zna już na tyle włoski, że kiedy Marco wtrąca włoskie słowo, najczęściej je rozumie.

To prawda, unikała wzmianek o Ferencu. Nagle zdaje sobie sprawę, że może to wyglądać podejrzanie. Przecież to chyba naturalne, że dwoje przyjaciół (bo są teraz przyjaciółmi mimo wojowniczej częstokroć natury tej przyjaźni) rozmawia o swoich współmałżonkach i narzeczonych - z pewnością naturalniejsze niż kiedy tego nie robią.

- Chyba sam już coś o nim wiesz - odpowiada. - Mieszkasz przecież w jego domu.

Marco nie może ukryć zdumienia, że Sari jest zaręczona z członkiem zdecydowanie najbogatszej rodziny w wiosce. Stara się, ale ona patrzy na niego z półuśmiechem i uniesionymi brwiami.

- Ja sama byłam tym równie zaskoczona.

- Przepraszam, po prostu nie spodziewałem się... Sari śmieje się.

- Ja też. Prawdę mówiąc, to mój ojciec zaaranżował nasze zaręczyny. Był na tyle szanowany, że mógł to zrobić. Chyba wiedział, że... że umiera i chciał zapewnić mi oparcie na przyszłość. Nie sądzę, by rodzina Ferencu była tym zachwycona, ale... - Wzrusza ramionami. - Nic nie mogli na to poradzić. Co innego nie pozwolić córce wyjść za kogoś nieodpowiedniego, a co innego powstrzymać syna. Nasze matki były siostrami, to nie sprawa pochodzenia. Kłopotem byłam ja... że jestem, jaka jestem.

- Ale nie dla niego?

Sari rzuca mu ostre spojrzenie, Marco uśmiecha się.

- Pytam o to, czy się w tobie zakochał?

Sari czuje, że się czerwieni. Rozmowa na ten temat jest dla niej krępująca, nie chce się jednak do tego przyznać, żeby nie uznał jej za dziecinną.

- Tak, chyba tak. W każdym razie starał się sprawić mi przyjemność i... i czasem zachowywał się przy mnie dziwnie. Słyszałam, że tak to jest, kiedy ktoś się zakocha. Czy to prawda?

Marco parska śmiechem.

- Być może. Różni ludzie różnie się zachowują. A czy ty byłaś... czy jesteś w nim zakochana?

O Boże. To pytanie Sari zadaje sobie od dawna i jeszcze nie doszła do żadnej odpowiedzi - w każdym razie nie do takiej, która by ją zadowoliła.

- Jest dobrym człowiekiem. Był gotów dużo poświęcić: majątek, stosunki z rodzicami... dla mnie. Bardzo go lubię.

- Daj spokój, Sari. Wdzięczność to nie to samo co miłość. Choć jesteś bardzo młoda, myślę, że znasz różnicę.

Sari przystaje, patrząc na niego ze złością: jakim prawem wtrąca się tak otwarcie w jej sprawę? Marco wie, że ją zdenerwował. Podnosi ręce dłońmi do góry i robi przeproszającą minę.

- Nie gniewaj się, nie miałem nic złego na myśli. Myślę, że większość ludzi, którzy się pobierają, nie jest w sobie zakochana, ale ich małżeństwo wcale nie jest przez to gorsze. Byłem tylko ciekaw, czy czujesz to samo do Ferenca, co on do ciebie.

Oddech. Bicie serca. Nieustępliwy szum rzeki.

- Nie, chyba nie całkiem to samo. Choć wydaje mi się, że go kocham... albo też myślę, że potrafię go z czasem pokochać. Myślę, że będzie dla mnie dobry. To wystarczy.

Marco kiwa głową.

- Masz rację. To wystarczy.

Sari milczy przez chwilę, zdumiona i przerażona tym, co właśnie powiedziała.

- A ty? - pyta, przechodząc do ataku, najlepszej formy obrony. - Czy jesteś zakochany w swojej żonie?

Marco zachowuje irytujący spokój, chociaż jako żołnierz musiał się spodziewać nieuchronnego kontrataku.

- Kocham ją. Dobrze nam ze sobą. Daje mi to, czego potrzebuję: spokój i pewność, choć nie wiem, co ja jej daję. Nie, nie jestem w niej zakochany.

Patrz na siebie przez chwilę, mierząc się wzrokiem w milczeniu.

- To nie szkodzi - mówi w końcu Sari.

- No właśnie, nie szkodzi - zgadza się Marco. W tych dniach Sari czuje się szczęśliwa jak nigdy dotąd. Czasem ma poczucie winy wobec ojca i Ferenca, że może być taka szczęśliwa bez nich, ale od nowych przyjaciół uczy się tylu rzeczy, że bezwstydnie pławi się w tym luksusie.

Jednakże Judit zawsze potrafi zepsuć jej humor. Kiedy po raz trzeci natyka się na Sari podśpiewującą w kuchni, wzdycha ciężko.

- Nie ciesz się tak bardzo, Sari - mówi. - Nigdy nie należy się za bardzo cieszyć.

Sari prychna i wypuszcza jej słowa drugim uchem, aż do czasu, gdy pewnego popołudnia w sierpniu Anna, nie mając nic do roboty, postanawia towarzyszyć Sari w wycieczce po liście łąpianu.

Po drodze Sari opowiada jej historie zasłyszane od Marca - wygrzebał ostatnio z pamięci mity rzymskie, które całkowicie zawładnęły jej wyobraźnią. Ciężki las jak balsam chłodzi ich skórę, szybko więc zarzucają poszukiwanie łąpianu. „To nic pilnego” - stwierdza Sari. Sadzi się pod drzewem, rozmawiając o Giovannim. On i Anna poczynili wielkie postępy w porozumiewaniu się, po części dzięki lekcjom włoskiego, które Sari pobiera od Marca i przekazuje innym, głównie jednak dzięki temu, że kiedy dwoje ludzi niczego tak nie pragnie jak porozumienia, znajdują w sobie całe pokłady czasu i cierpliwości, o jakie by się w ogóle nie podejrzewali.

Giovanni, jak się okazuje, jest rolnikiem z południa Włoch.

- Ma gospodarkę - zwierza się Anna. - Z owcami i bydłem.

Sari wie, że oczyma duszy Anna już się widzi we włoskim obejściu, gotującą dla wianuszka dzieci i uśmiechniętego Giovanniego, ale gdzieś podskórnie dręczy ją myśl o końcu wojny, wyjeździe jeńców i powrocie męża. Anna jest gotowa na wszystko, żeby nie wrócić do dawnego życia.

- Masz jakieś wieści od Karolya? - pyta Sari po chwili. Anna krzywi się.

- Dostałam list od Lajosa parę tygodni temu. Pisze, że z Karolem wszystko w porządku, jak zawsze. On... ja... - milknie, a potem mówi: - Sari, mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście. - Sari dziwi się. Anna, zwykle taka bezpośrednia, jest wyraźnie speszona; nawet kiedy prosiła o środek przeciwko ciąży nie wahała się i nie kluczyła jak teraz.

- Tak sobie myślę... - zaczyna Anna z ociąganiem - czy nie mogłabyś czegoś zrobić, żeby... żeby Karoly nie wrócił z wojny.

Cisza, która potem następuje, aż dzwoni w uszach. Sari, choć z natury małomówna, po raz pierwszy wyraźnie czuje, że brak jej słów. Jakby cofnęła się do czasów sprzed dwóch lat, kiedy ściagały ją złośliwe szeptki: „czarownica”.

- Za kogo ty mnie masz, Anno? - pyta spokojnie.

- Ja... - Anna odwraca oczy, grzebiąc w ziemi palcami bosej stopy.

Serce Sari wali jak oszalałe, dziewczyna nie może złapać tchu.

- Nigdy więcej tak do mnie nie mów - mówi w końcu z trudem.

- Przepraszam. - Głos Anny drży i Sari wzdycha.

- Nie powiedziałaabyś tego, gdybyś nie była zrozpaczona. Rozumiem cię. Ale pamiętaj: nigdy więcej tak do mnie nie mów.

- Nie będę - szepcze Anna.

Gdzieś w górze odzywa się ptak, jego skrzek brzmi ostro i zbyt głośno w martwej ciszy, która nagle spadła na las. Sari nie patrzy na Annę, boi się, że w jej oczach zobaczy nabożny lęk albo podziw. Judit ma rację, myśli. Nigdy nie należy się za bardzo cieszyć. Ludzie się nie zmieniają, tylko lepiej kryją.

Rozdział 9

Jest osiemnasty sierpnia, dziesiąta rano. Lujza stoi pod jej drzwiami, trzymając w ręku coś, co wygląda jak telegram.

W ostatnich tygodniach Sari przepelnia radość, ale dopiero teraz rozumie, jaka była szczęśliwa, kiedy beztroska w jednej chwili ją opuszcza. Patrzy to na telegram, to na twarz Lujzy. Lujza jest blada jak kreda, nawet usta ma białe, tylko jej oczy są ciemne i błyszczące.

- Wejdz.

Lujza stoi bez ruchu.

- Jak wiesz, nie umiem czytać - mówi niemal lekkim tonem. - Powiedz mi, co tam jest.

Wcisła Sari telegram do rąk. Sam jego dotyk wywołuje w niej mdłości. Mieszkańcy wioski jak dotąd mieli szczęście; niewielu mężczyzn zginęło na froncie, a ich śmierć przeszła bez większego echa: byli to głównie niekochani mężowie albo młodszy synowie dużych rodzin. Łatwo udawać, że wojna nie dzieje się naprawdę, że coś tak odległego nie ma wpływu na życie wioski; w samym środku długiego, upalnego, pięknego lata, korzystając z niespotykanej wolności, łatwo było zapomnieć, skąd ta wolność się wzięła.

- Lujzo...

- Po prostu mi powiedz.

Wie, oczywiście, obie wiedzą, ale Sari zmusza się, żeby spojrzeć na trzymany w ręku papier i ma rację, obie mają rację: „Szanowna Pani, mam przykry obowiązek powiadomić Panią, że jej mąż, Peter Tabori...”

- Nie żyje, tak? - mówi Lujza i nie jest to pytanie.

Sari kiwa głową. Po tym potwierdzeniu nogi odmawiają Lujzie posłuszeństwa. Nie mdleje, ale siada ciężko na drewnianych schodkach, a Sari siada obok, nie wiedząc, co robić. Gdyby Lujza płakała, byłoby łatwiej, ale ona nie płacze. Jej oczy są puste i suche, oddech ma urywany i kiwa się lekko, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i dłońmi zaciśniętymi kurczowo na łokciach.

Ku wielkiej uldze Sari na ganku pojawia się Judit i jednym rzutem oka ogarnia całą scenę: telegram, pobladłą twarz Sari, skurczone, drżące plecy Lujzy. Patrzy na Sari pytająco.

- To Peter?

- Tak.

Judit przynosi *szilvrę*, którą Sari ironicznie nazywa jej lekarstwem na wszystko, nigdy jednak nie była jej bardziej wdzięczna za śliwowicę. Judit siada ze strzyknięciem kolan po drugiej stronie Lujzy i niezwykle jak na nią delikatnie przykładła jej kubek do ust.

- Wypij to - mówi, a Lujza niezwykle jak na nią posłusznie wykonuje to polecenie, po czym kaszle gwałtownie, kiedy ostry płyn drapie ją w gardło.

Sari zamyka oczy, walcząc z mdłościami. Próbuje sobie wyobrazić, co by czuła, gdyby straciła Ferenca i zaraz ogarniają wstyd: myśl o tym wywołuje w niej tylko łagodny żal, rozpacz Lujzy jest przejmująca, niemal namacalna. Czas mija i Sari czuje już tylko promienie słońca na twarzy i napięcie bijące od siedzącej obok Lujzy. Zastanawia się mgliście, czy mogą coś jeszcze dla niej zrobić, wziąć ją do domu, zawiadomić rodzinę, ale być może milczące towarzystwo to wszystko, czego teraz potrzebuje. Lujza porusza się i Sari otwiera oczy, bojąc się na nią spojrzeć. Widzi, że na policzkach Lujzy wrócił cień koloru, w oczach pojawiła się iskierka życia.

- Dobrze - mówi Lujza spokojnie. - Dobrze - powtarza głośniejszym głosem, a Judit i Sara patrzą na siebie z troską.

Oczy Lujzy już nie są puste, pali się w nich coś, co bardzo się Sari nie podoba. Polubiła Lujzę w ciągu ostatnich dwóch lat, ale nigdy nie nauczyła się jej ufać; zawsze miała wrażenie, że przez swoją lekkomyślność i nieobliczalność Lujza stoi o krok od szaleństwa - teraz jej twarz nie wyraża żadnych rozsądnych uczuć, tylko obłąkany żar.

Lujza podnosi się, kubek po śliwownicy spada na ziemię, wzbijając obłok pyłu. Sari i Judit stają obok niej.

- Może wejdiesz do domu? - zaprasza Judit. Mówi pieszczotliwym głosem, jakiego nie używa nawet wobec rodzących kobiet, co tylko wzmaga niepokój Sari. - Usiądziesz sobie wygodnie, może coś zjesz... a Sari pójdzie po twoją matkę, jeśli chcesz...

Lujza zdaje się jej nie słyszeć, robi kilka niepewnych kroków w stronę drogi.

- Dokąd idziesz?

Sari chwyta ją za ramię, ale Lujza strąca jej rękę, coraz pewniej i szybciej zmierzając w stronę puszczy, niewątpliwie do obozu. Sari spogląda bezradnie na Judit.

- Idź z nią, głupia! - krzyczy Judit.

Sari posłusznie rzuca się w pogoń, jakiś wewnętrzny głos ostrzega ją, żeby nie próbowała już dotykać Lujzy. Zatrzymuje się tylko na chwilę przy domu Anny, wali w drzwi, i kiedy ta otwiera, wyciąga ją, rozczochraną, za ramię.

- Sari, co się dzieje?

- Chodzi o Lujzę. Peter nie żyje.

Kiedy dobiegają do bramy obozu, Lujza jest o krok przed nimi. Przy wejściu siedzi jeden z młodszych strażników, Werner, zgarbiony i znudzony jak zwykle, ale coś w zmartwiałej, bladej twarzy Lujzy budzi jego czujność, zrywa się więc i chce ją zatrzymać.

- Zaraz... chwileczkę... co...

Nie odwracając nawet głowy, Lujza wymierza mu prawą ręką ostry cios w brzuch, po którym żołnierz zgina się wpół z krótkim okrzykiem zdumienia i bólu. Lujza idzie prosto na dziedziniec, gdzie jeńcy rozmawiają, piszą albo czytają, i nagle zapada głucha cisza, wszystkie oczy patrzą na kredowobiałą twarz kobiety, która dla wielu jest znajoma, a jednocześnie w tej chwili zupełnie obca.

Anna robi krok naprzód, ale Sari chwyta ją za ramię i pokazuje złowrogo błyskające nożyczki, które Lujza ściska w prawej dłoni. Jeszcze ktoś zauważa je w tym samym momencie i wydaje ostrzegawczy okrzyk po włosku. Dwóch mężczyzn, którzy zerwali się, żeby podejść do Lujzy, zastyga w bezruchu, w pozycjach, jakie w innych okolicznościach byłyby komiczne. Głowy jak na komendę odwracają się w stronę Wenera. Mężczyzna nadal leży na ziemi, na jego koszuli czerwieni się plama krwi.

I wtedy Lujza zaczyna krzyczeć.

Najpierw jest to tylko litania niezbornych przekleństw, jakby Lujza wyrzucała z siebie każde obraźliwe słowo albo wyrażenie, jakie jej przychodzi do głowy. Sari słyszy, że Anna szlocha, i to pobudza ją do działania.

- Biegnij po jej matkę - syczy i ledwie Anna ginie z oczu, zadaje sobie pytanie, dlaczego wysłała ją, zamiast iść sama. I tak nic tu po niej. Sytuacja przerasta jej wiedzę i możliwości pomocy.

Na wpół odruchowo rusza w kierunku Lujzy, która właśnie używa nożyczek do rozcięcia sobie dekoltu sukienki. Niektórzy z jeńców cofają się w obawie przed gwałtownością jej ruchów, jeden z nich chwyta Sari za ramię i odciąga na bok. Sari nie stawia oporu, i tak nie wie, co by zrobiła, gdyby dosięgła Lujzy. Teraz jej krzyki się zmieniły. Odsłoniwszy piersi, Lujza patrzy na zgromadzonych wokół mężczyzn i pyta jednego po drugim: „Chcesz się ze mną gzić? A ty, chcesz się ze mną gzić? A ty?” Jej głos jest chrapliwy i na wpół obłąkany, mężczyźni i tak nie rozumieją węgierskiego, ale rozpoznają ton i ich przerażenie ustępuje miejsca współczuciu, które rośnie w miarę, jak Lujza znów zaczyna tracić panowanie nad słowami i bełkocze coś, rozdrapując sobie paznokciami lewej ręki twarz do krwi.

Ktoś występuje z tłumu.

To Marco.

Jego przyjaciel, Bruno, ten sam, który stał z nim pierwszego dnia na dziedzińcu, stara się go powstrzymać, ale Marco niecierpliwie strząsa jego rękę. Pewnym krokiem, zwinnie jak zwierzę, podchodzi prosto do Lujzy. Jej oczy są przymknięte i niewidzące.

Marco zatrzymuje się przed nią i szuka wzrokiem Sari, unosząc pytająco brwi.

- Lujza - odpowiada ruchem warg Sari, rozumiejąc go bez słów.

- Lujzo - mówi stanowczo Marco, bez śladu strachu, a kiedy powieki dziewczyny się podnoszą, wyciąga miękkim gestem rękę. - Oddaj to. - Mówi po włosku, ale znaczenie jego słów jest jasne. Ona milknie nagle, wpatrując się w podsunietą dłoń Marca. - Oddaj mi to, Lujzo - powtarza Marco, tym razem łagodniej.

Następuje pełna napięcia cisza, ludzie wstrzymują oddech, wszystkie oczy wbite są w żywy obraz pośrodku dziedzińca. Z nieznośną powolnością Lujza podnosi drżącą prawą rękę i upuszcza nożyczki na dłoń Marca. On szybko odrzuca je daleko na bok; już niegroźne, lądują w kępie wyschniętej trawy. I w samą porę, bo Lujza wydaje rozdzierający jęk, który przenika wszystkich dreszczem, jej kolana się uginają i gdyby nie pomocne ramię Marca, padłaby jak kłoda na ziemię. Marco drugą ręką zbiera rozciętą na piersiach suknię, osłaniając piersi, a głowy wszystkich odwracają się na dźwięk hałasu przy bramie. Dzięki Bogu, to matka Lujzy i jej szwagier, oboje we łzach. Zabierają ją z rąk Marca.

Kiedy jest już po wszystkim, Marco podchodzi do Sari z posępną miną. Tłum wokół powoli się rozpierzcha, słysząc szum głosów.

- To jej mąż? - pyta Marco.

- Tak - szepcze Sari, bojąc się, że głos ją zawiedzie. On kiwa głową ze smutkiem, a potem mówi rzeczowo:

- Chodź. - Pociąga ją ku bramie, gdzie wciąż leży Werner, najwyraźniej zapomniany przez wszystkich.

Sari klęka, rozpina mu koszulę i z ulgą stwierdza, że rana jest powierzchowna. To zaledwie płytkie cięcie w okolicy żołądka, pozornie groźny stan młodego strażnika, który nadal leży bez ruchu, to wynik wstrząsu nerwowego.

- Nic mu nie będzie - zapewnia Sari.

- To dobrze - stwierdza krótko Marco i mówi do Wenera, tym razem po niemiecku: - Posłuchaj. - Strażnik odwraca głowę. - Popchnęła cię. Upadłeś. Rozciąłeś sobie skórę o kamień. Rozumiesz?

Werner nie odpowiada i Marco lekko nim potrząsa.

- Rozumiesz? Upadłeś. Zraniłeś się. Rozumiesz? Werner kiwa głową: tak.

- To dobrze - rzuca Marco i zwraca się do Sari: - Opatrz go.

Sari opatruje ranę liśćmi rzepiku pospolitego, żeby powstrzymać krwawienie, i za pomocą śliwownicy Judit przywraca Wenera do życia. W podziękowaniu za zachowanie w

tajemnicy prawdy o ranie, Anna i Sari oferują się uprać i naprawić koszulę rozdartą i splamioną po napaści Lujzy. Chociaż to właściwie zajęcie dla jednej osoby, obie idą z koszulą nad rzekę. Sari nie ma ochoty zostać sama, Anna również się do tego nie pali; mówi wyjątkowo mało, a Sari wie, o czym myśli: gdyby mogła oddać śmierć Karolya za śmierć Petera, nie wahałaby się ani chwili.

- Lujza zachowywała się trochę dziwnie - zaczyna Anna niepewnie, zanurzając koszulę Wenera w wodzie - ale nigdy bym nie przypuszczała, że posunie się do tego.

- Nie chciała zrobić nikomu krzywdy - mówi Sari.

- Co ty opowiadasz? Przecież go dźgnęła!

- Pomyśl tylko. Gdyby miała złe zamiary, wzięłaby coś lepszego niż para nożyczek. Ma w kuchni dużo noży. Nożyczki po prostu miała w kieszeni i sięgnęła po nie w odruchu obronnym.

- Może. - Anna nie wygląda na przekonaną i Sari zmienia temat.

- Dobrze znałaś Petera? - pyta. Anna wzrusza ramionami.

- Nie za bardzo. Nie pochodził z naszej wioski, jego rodzina przeprowadziła się tu po śmierci ojca, bo jego matka jest stąd. To daleka kuzynka mojej matki, czy coś w tym rodzaju. Wydaje mi się, że to był miły chłopak.

- Tak, chyba tak. - Sari niezbyt dobrze pamięta Petera, zawsze tkwił jakby w cieniu Lujzy, przytłoczony jej osobowością.

- Myślisz, że Lujza wyzdrowieje? - pyta Anna. Na jej bladej twarzy ciągle widać ślady porannych przeżyć.

- Jej ciało jest zdrowe. A rozum... zawsze była trochę... no wiesz. - Sari nie chce użyć żadnych obelżywych słów, ale Anna nie ma takich zahamowań.

- Trochę wariatką - kończy i Sari parska wymuszonym śmiechem.

- No właśnie. I nie wiem, jak to się dla niej skończy. Zapadają w milczenie. Przez kilka minut słychać tylko plusk wody, w której Anna pierze koszulę.

- Marco świetnie dał sobie dzisiaj radę - stwierdza w końcu z pozorną niedbałością, obserwując Sari kątem oka.

- Chyba tak... - Sari nie chce przyznać nawet sama przed sobą, jak jej zaimponował łatwością, z jaką zapanował nad sytuacją.

- Jak myślisz, dlaczego go posłuchała?

- Nie wiem. Może dlatego, że tylko on do niej podszedł. Pewnie posłuchałaby też kogoś innego. A może... - Sari nagle czuje, że chce o nim rozmawiać. - Zauważyłaś, że cechuje go zimna krew? To nie jest spokój, jest na to zbyt uczuciowy, ale ma coś, co

przyciąga uwagę. A poza tym - dodaje, nie wiedząc, co chce powiedzieć, dopóki nie spływa to z jej ust - on jeden się jej nie bał. Nigdy się nie boi.

Urywa. Anna wlepią w nią wzrok i policzki Sari pokrywa rumieniec - nagle zdaje sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie powiedziała o Marcu aż tylu słów.

- No, no... - mówi Anna, drażniącym tonem osoby, która dokonała wielkiego odkrycia.

- No, no, no. A to ciekawe.

- Daj spokój.

Anna nie ma zamiaru dać jej spokoju. Wyjmuje koszulę z wody - został na niej tylko ledwo widoczny ślad plamy - i przysiadła na piętach, mierząc Sari matczynym spojrzeniem, które jest bardzo irytujące.

- Wiesz, niemal dałam ci się przekonać. Te twoje niewinne wykręty: „Nie, skądże, nic nas nie łączy, chcę się tylko od niego uczyć...” Pomyśleć, że już zaczęłam ci wierzyć!

- Powiedziałam, daj mi spokój.

- Byliście bardzo tajemniczy, to prawda. Od kiedy zaczęliście ze sobą...? - Anna unosi wymownie brwi.

- Nie zaczęliśmy. Nic między nami nie zaszło, rozumiesz? Anna wygląda na zbitą z tropu, zaraz jednak się rozjaśnia.

- No dobrze, może jeszcze nic nie zaszło, ale przyznasz, że myślisz o tym?

- Nie, Anno!

- Kłamczucha!

Przez chwilę mierzą się wzrokiem, po czym Sari uśmiecha się wesoło. Jeśli ktoś tu jest niemoralny, to chyba nie ona.

- Tylko dlatego, że sama jesteś upadłą kobietą, nie musisz tak myśleć o wszystkich innych.

Anna otwiera szeroko oczy, pozornie oniemiała z oburzenia.

- Nie wiem, o czym mówisz, Sari. Jestem wierną mężatką.

- Czyżby?

- Oczywiście.

- Hm... - mruczy tylko Sari z niedowierzaniem. Odczekuje chwilę, żeby zmylić czujność Anny i przyskakuje do niej jednym susem.

- Sari! Co ty robisz...

Sari zdiera jej suknię do połowy piersi i oto są: pięć kształtnych miłosnych malinek tuż pod linią dekoltu. Anna oblewa się głębokim rumieńcem, ale nie jest zła.

- Chyba nie tak bardzo wierną? - kpi Sari.

- To ślady po ukąszeniu komara - oświadcza Anna z kamienną twarzą.

- No i kto tu jest kłamczucha?

Następuje mała przepychanka, rodzaj głupiej żartobliwej bójki, w jaką nie wdawały się od dzieciństwa, z popychaniem, klapsami, lekkimi szarpnięciami za włosy - i wszystko idzie świetnie, póki Sari nie ściąga wstążki z warkocza Anny i nie rzuca jej w błoto. Anna w odwecie chwyta suszącą się na krzaku koszulę i ciska ją do rzeki.

- To koszula Wenera! Nie możesz jej po prostu wyrzucić! Sari zdejmuje buty. Anna zanosi się ze śmiechu, kiedy Sari w samej koszuli i halce wchodzi ostrożnie do wody, cieplejszej, niż można się spodziewać; prąd płynie w tym miejscu leniwie, cały dzień grzało słońce. Dno jest jednak nierówne i Sari klnie pod nosem, kiedy potknąwszy się o wystający kamień, leci do przodu, ładując do pasa w wodzie.

Koszula Wenera zahaczyła się o kamień i Sari dzielnie brnie dalej; drobne fale omywają jej talię, podchodzą do piersi. Wyciąga rękę, żeby chwycić koszulę, już, już ją ma, kiedy słyszy na pół przestraszony, na pół rozbawiony okrzyk Anny:

- Sari!

- Co takiego? - Odwraca się niecierpliwie, ale Anna nie patrzy na nią, tylko na drugi brzeg. Patrzy na Marca.

No oczywiście, myśli Sari ze złością, rzucając zaniepokojone spojrzenie na swoje piersi - tak jak się spodziewała, mokry cienki materiał okrywający sutki stał się niemal przezroczysty. Szybko zanurza się pod wodą, znad której wystaje teraz tylko jej głowa, i woła piskliwym, nieswoim głosem:

- Co ty tu robisz?

Na widok jej przerażonej miny Marco nawet nie próbuje ukryć uciechy.

- Szukałem cię - odpowiada. Anna, która jak się okazuje, zna niemiecki lepiej, niż się do tego przyznaje, mówi ironicznie:

- No to ją znalazłeś. Sari rusza do brzegu.

- Nie patrz! - krzyczy do Marca nieco histerycznie.

Marco posłusznie odwraca się tyłem, Sari gramoli się do Anny i wyciąga rękę. Anna, wciąż chichocząc, podaje jej ubranie.

- Nie patrzy, prawda? - syczy Sari.

Anna kręci głową, a Sari wkłada sukienkę i gorset na mokrą bieliznę.

- W porządku! - woła do Marca. - Już możesz się odwrócić! Przez chwilę nikt nic nie mówi; obie dziewczyny po prostu patrzą na niego z drugiego brzegu. W końcu Anna się otrząsa.

- No, dobrze, muszę już iść - mówi rzeczowo. - Mam... mam... dużo roboty. Do zobaczenia później, Sari! - Wdrapuje się na skarpe, na drogę do wioski, co rusz parszkając śmiechem.

- Spotkamy się przy moście? - woła Sari do Marca. Zapomniana koszula Wenera odpływa z nurtem rzeki.

Idą spacerem przez pusztę, nie mówią o niczym ważnym, ale Sari czuje się nieswojo. Mimo upału mokra bielizna pod suchym ubraniem nie jest rzeczą przyjemną. Peszy ją także to, że wie, jak musi wyglądać, ubłocona i rozczochrana, a także może jeszcze bardziej to, że nigdy dotąd nie przejmowała się swoim wyglądem, kiedy była z Markiem.

Marco pyta ją uprzejmie o Luję: jak się czuje, kto się nią opiekuje, czy dojdzie do siebie - ale w końcu i jego męczy ta zdawkowa rozmowa. Dochodzą do skraju lasu, zabudowania wsi rysują się daleko na horyzoncie.

- Dlaczego do niej podszedłeś? - chce wiedzieć Sari. Dręczyło ją to cały dzień.

Nie jest zadowolona, że serce bije jej jak oszalone, a żołądek zaciska się w kulkę. A więc to o tym opowiada w kółko Anna, myśli.

- Nie była groźna. Gdyby chciała zrobić komuś krzywdę, nie ściągałaby na siebie uwagi i uzbroiła się w coś groźniejszego niż para nożyczek. Była tylko... w rozpacz.

Sari kiwa głową. Marco jakby czytał w jej myślach, nie wie zatem, co powiedzieć, patrzy więc z uporem w ziemię, aż wreszcie on podnosi rękę i wyjmuje jej z włosów mokrą, oślizgłą gałązkę; Sari nie wie, gdzie podziąć wzrok, i patrzy mu prosto w oczy.

Marco przelyka ślinę.

- Sari - odzywa się zdławionym, ochryplym głosem. Sari milczy. - Jesteś za młoda.

- W tym roku kończę siedemnaście lat. - Co ona mówi?

- Nie chcę... komplikować ci życia.

- Wiem, co robię. - Nie, nie wie!

A więc stało się, myśli Sari. Nie może oderwać wzroku od jego twarzy, czując bolesny skurcz radości i strachu. On unosi jej podbródek.

- Jestem tylko człowiekiem - mruczy jakby do siebie niemal gniewnie.

Sari nie odpowiada, bo Marco już ją całuje.

Rozdział 10

Oczywiście to nic nie znaczy - mówi Marco. - Wiesz, że to nic nie znaczy.

Sari wznosi oczy do nieba i wzdycha głęboko. Mówi to po raz trzeci w ciągu dwóch godzin, co staje się męczące.

- Wiem - odpowiada i dodaje z przebiegłą miną: - Wiem też, dlaczego ciągle to powtarzasz.

- Doprawdy? Dlaczego?

- Po wojnie wrócisz do domu, do swojej pracy i żony, i ostatnia rzecz, jakiej pragniesz, to węgierska wieśniaczka pojawiająca się nagle na twoim progu. Czy mam rację?

Marco ma dość przyzwoitości, by zrobić oburzoną minę.

- Nie wymagam, żebyś zostawił żonę - ciągnie Sari. - To tylko... wakacje.

Jest październik, liście zaczynają się zwijać i brązowieć. Leżą w łóżku jej ojca, ale wcale to Sari nie przeszkadza. Podejrzewa nawet, że w głębi duszy ojciec byłby zadowolony z biegu wydarzeń. Zawsze chciał, żeby córka znalazła bezpieczną przystań, owszem, ale ta chęć walczyła w nim z dumą z jej ciekawości i upartej odmowy przystosowania się do oczekiwań ludzi.

Są nadzy, ale nie zaznali całkowitej miłości i Sari nie ma zamiaru do tego dopuścić. Wie, że Ferenc jest staroświecki, i wie, że kiedy się pobiorą, pozna, czy jest dziewicą. To by było zbyt duże ryzyko. Marco dla zasady trochę ponarzekał z powodu jej nieprzejednania, ale w gruncie rzeczy rozumie ją. Nie rozmawiają o miłości, nie wspominają o niej, na co Sari się godzi. Nadal najbardziej ją cieszy, że tyle się od niego uczy. I chociaż od dawna zna biologiczne oblicze miłości - jakżeby inaczej, przy jej zawodzie! - różne jej subtelności i przyjemności są dla niej rozkoszną niespodzianką. Marco przewraca się na bok i krzywi z bólu.

- Co ci jest?

Marco ściąga koc do połowy ud. Dwa miesiące temu Sari zaczerwieniła się po uszy, zawstydzona, ale zbyt dumna, żeby odwrócić wzrok. Teraz zauważa z zadowoleniem, że może patrzeć na jego nagość bez śladu skrępowania.

- Spójrz tylko - mówi Marco ze złością, pokazując duży krwawy siniak na lewym udzie. - To od wspinania się do tego przeklętego okna.

Położenie domu na skraju wioski, w pobliżu lasu, pomaga im zachować spotkania w sekrecie, dopóki Marco godzi się udawać, że idzie zaczerpnąć świeżego powietrza do lasu, a

potem obchodzi dom z tyłu i dość zabawnie daje się wciągnąć przez Sari do środka przez okno kuchenne, osłonięte drzewami.

- Nie rozumiem, czemu musimy się ukrywać - narzeka, mierząc ponurym wzrokiem stłuczoną nogę. - Cóż z tego, że ludzie się dowiedzą? Robimy tylko to, co połowa z nich.

- Nie chodzi o to, czy się dowiedzą, lecz o to, by nie robić tego jawnie, na oczach wszystkich.

- Ale inni się nie krępują. Choćby Umberto, Luigi czy Paolo. Żaden z nich nie musi być wciągany przez okno.

- Ale żadna z ich... - Sari ma zawsze kłopot ze znalezieniem właściwego słowa - żadna z ich przyjaciółek nie jest narzeczoną syna najbardziej szanowanej rodziny w wiosce. I żadna z nich nie ma... nie ma tak kruchej pozycji we wsi jak ja.

Marco siada i patrzy na nią sceptycznie.

- Ciągłe o tym mówisz, ale nigdy mi tego nie wytłumaczyłaś. Co to znaczy „krucha pozycja”? Sari cieszy się, że o to zapytał. Świadczy to o zainteresowaniu, choć jednocześnie boi się tego pytania, unika więc odpowiedzi.

- Trudno to wytłumaczyć cudzoziemcowi.

- Podobnie jak wiele spraw, o których ja ci opowiedziałem. Widzę, że jesteś inna, Sari, ale nie wiem dokładnie, na czym to polega i dlaczego to takie ważne.

Sari wzdycha.

- Pamiętasz, co mówiłam o moim ojcu? Że był kimś w rodzaju lekarza? - Marco kiwa głową. - Wiesz, to nie jest dokładne określenie. Pomagał ludziom w chorobie, ale też... w innych kłopotach. Był tym, co nazywamy *taltos*, mędrcom. Rozumiesz?

- Mniej więcej. Chodzi o to, że twój ojciec miał... czy też ludzie wierzyli, że ma... pewne zdolności, umiejętności wpływania na rzeczywistość. Tak?

- Można chyba tak powiedzieć. Mężczyźni, którzy mają takie zdolności, są szanowani, z kobietami jest inaczej. Nazywa się je *boszorkany*, nie wiem, jak to powiedzieć po niemiecku. To oznacza złą kobietę, która wyrządza krzywdę.

- *Strega*. Rozumiem. Z powodu zdolności twojego ojca ludzie uważali, że możesz być *stregą*.

- Trochę tak. W dodatku matka umarła przy moim urodzeniu, co było nieszczęściem tym większym, że należała do rodziny Ferenca i wioska bardzo ją szanowała. Może gdybym była ładna, miła i taka jak wszyscy, nie mówiono by o mnie różnych okropnych rzeczy, ale jestem inna, nie wiem czemu, po prostu tak jest. I łatwiej mnie obgadywać.

- Ale teraz chyba nie jest tak źle? Co się zmieniło?

- Traktują mnie lepiej, odkąd zaczęłam pracować z Judit. Nie ufają jej do końca, ale trochę się jej boją...

- Czy mógłbym ją poznać?

- Może - odpowiada Sari ostrożnie.

Wolałaby zachować swój związek z nim w sekrecie, a Judit wystarczy jedno spojrzenie, żeby wiedzieć wszystko. Już od tamtego pamiętnego dnia w sierpniu pozwala sobie na coraz mniej wybredne żarty.

- W każdym razie - ciągnie Sari - ludzie mogą myśleć o Judit, co chcą, ale jej potrzebują, teraz potrzebują także mnie. Wolą mi też nie dokuczać, żeby nie narażać się Ferencowi. Poza tym jest wojna i wszyscy muszą o wiele bardziej się wspierać, kiedy nie ma mężczyzn. To okropne, co powiem, ale wojna zmieniła moje życie na lepsze.

Jest późne popołudnie - cienie drzew się wydłużają i Marca przebiega lekki dreszcz. Jest coś niesamowitego w tym lesie, myśli, i wstaje z łóżka, żeby zaciągnąć zasłony. Sari, leżąc na wznak, podziwia delikatny zarys jego pleców - nigdy przedtem nie widziała nagiego mężczyzny i nie spodziewała się, że może mieć takie piękne, umięśnione łopatki i krągłe pośladki. Powinna już wracać do domu, a on do obozu, ale strasznie jej się nie chce wychodzić. Nie musi jej powtarzać: „to nic nie znaczy” - zawsze wiedziała, że to, co ich łączy, skończy się wraz z wojną, ale przez to wcale nie jest mniej rzeczywiste.

- Naprawdę myślisz, że wszystko się zmieniło? - pyta Marco. - Sądysz, że po wojnie, kiedy mieszkańcy wioski nie będą się już tak potrzebować...

- Wtedy będę żoną Ferenca.

- I będziesz zadowolona, że wszyscy tolerują cię tylko z powodu mężczyzny, którego poślubiłaś? - Marco podnosi głos, jest rozdrażniony. - Spodziewałem się po tobie czegoś więcej. Nie masz nic przeciwko temu, że ludzie będą dla ciebie mili z powodu Ferenca, choć w głębi serca będą myśleć o tobie to, co myśleli zawsze?

- Czasem myślę, że się zmienili - mówi powoli, z trudem formułując myśli - ale kiedy indziej... Wiesz, o co Anna spytała mnie kilka miesięcy temu, zanim zginął Peter?

- Nie, o co?

- Spytała, czy mogłabym zrobić coś, żeby Karoly, jej mąż, nie wrócił z wojny. Nigdy nie sądziłam, że Anna podejrzewa mnie o coś takiego.

Marco jest wyraźnie zaintrygowany.

- A mogłabyś? Umiałabyś sprawić coś takiego? Nie, nie wierzę w to, ale powiedz, czy umiałabyś? Sari nie chce o tym rozmawiać; sama nie ma pewności, jak to właściwie jest. Jest mniej zabobonna niż reszta wioski, ale bardziej niż ktoś taki jak Marco.

- Umiem rzucić przekleństwo - mówi krótko. - Nauczyłam się tego od Judit i od ojca. Oni nigdy tego nie stosowali, w każdym razie ojciec, nie ręczę za Judit. On w to nie wierzył, ja też, ale nie odważyłabym się ryzykować. - Milknie na chwilę, a potem mówi jakby wbrew własnej woli: - Chciałabym nie różnić się od innych!

To melodramatyczne wyznanie wywołuje, ku jej wściekłości, wybuch śmiechu Marca. Sari ciska w niego poduszką.

- Wiesz, na czym polega kłopot z tobą? - pyta Marco, robiąc unik. - Bierzesz sama siebie o wiele za poważnie.

1918

Rozdział 11

Co on mówi? - pyta Judit z irytacją.

Chociaż już od niemal dwóch lat jest otoczona hałaśliwą gromadą Włochów, nauczyła się zaledwie paru włoskich słów i wszystkich włoskich przekleństw.

- Mówi, że wojna się wkrótce skończy - odpowiada Sari.

- Skąd o tym wie?

- Docierają do nich w obozie różne słuchy. Od strażników i nowych jeńców, których przywożą z frontu.

Marco jest wyraźnie zniecierpliwiony. Przez dwa lata nie poczynił znaczących postępów w znajomości węgierskiego i kiedy teraz stoi na wpół nagi na środku kuchni, a kobiety, które miały naprawiać mu koszulę, mówią coś w tym zawiłym, niezrozumiałym języku, ma prawo się zżymać.

Właściwie nikt nie wygląda końca wojny. Dla postronnego obserwatora Falucska nie różni się niczym od innych wiosek. Kobiety i mężczyźni krzątają się wokół swoich spraw; dopiero po bliższym wejrzeniu okazuje się, że kobiety to Węgierki, a mężczyźni - którzy nadal nie nocują w wiosce - to Włosi. Nigdzie też nie widać małych dzieci. Życie ułożyło się na pozór normalnie i choć cała sytuacja stoi na głowie, trudno będzie wrócić do tego, jak było przedtem, albo wyobrazić sobie, że mogło być lepiej. Kilku mężczyzn, którzy wrócili z frontu, pogodziło się z tym stanem *rzeczy* po prostu dlatego, że chorzy, ranni albo obłąkani nie potrafili przeciwstawić się porządkowi, jaki zapanował podczas ich nieobecności. Ale gdy wrócą inni, tak łatwo nie ustąpią... Sari woli o tym nie myśleć.

- Przecież Włochów już wtedy tu nie będzie, prawda? - zauważyła beztrząsco Lilike, kiedy rozmawiały o tym parę dni temu. Nikt jej nie odpowiedział - bo nikt nie lubi roztrząsać tego tematu - ale i tak wszyscy wiedzą, że Lilike nie wymądrzałyby się, gdyby była czyjąś żoną albo narzeczoną. Jej sytuacja wcale się nie zmieni, gdy mężczyźni wrócą do domu.

Znajomość Sari i Marca nabrała cech swobodnej poufałości. Sari nie wyobraża już sobie życia bez niego - Marco to jasna iskierka wśród codziennych zajęć. Nadal nie rozmawiają o miłości. Sari jest dumna z tego, że stara się nie dopuszczać myśli o długim i szczęśliwym życiu z Markiem we Włoszech. Ale chociaż on uparcie twierdzi, że nie może i nie chce zostawić żony - a ona złości się, bo nigdy go o to nie prosiła - im bliżej końca wojny, tym bardziej jego niepokój o przyszłość Sari rośnie.

Po naprawieniu koszuli idą razem przez wioskę w kierunku obozu. Marcowy wiatr świszczę w uszach, napierając gwałtownymi podmuchami; nogi płaczą się i ślizgają w zlodowaciałych koleinach drogi i Marco dygocze.

- Chyba już niedługo będziesz musiał znosić ten klimat - zauważa Sari.

I od razu wie, że nie powinna tego mówić: na jego twarzy pojawia się znajomy wyraz i Sari karci się w duchu.

- Martwię się o ciebie - zaczyna Marco, ale ona zaraz przerywa.

- Wiem, o czym myślisz.

- Zastanowisz się nad tym?

Marco chce, żeby wyjechała z wioski, kiedy wojna się skończy, a ona o tym nie myśli, bo to najzwyczajniej w świecie głupi pomysł. Nie rozumie, czemu tak mu na tym zależy, skoro sam nie ma zamiaru opuszczać Benigny. Nie ufa mu. Marco proponuje, że pożyczy - da jej pieniądze, żeby się gdzieś urządziła, a słysząc odmowę, robi się coraz smutniejszy, czego ona nie może znieść.

- Mój Boże - wzdycha Marco. - Nie wiesz, kim mogłabyś być w innych okolicznościach.

Sari nie może sobie pozwolić na takie rozmyślania. Ferenc to dobry człowiek, będzie mieć z nim dobre życie, a poza tym nie mogłaby zostawić Judit - co zresztą, na Boga, miałyby robić gdzie indziej? Nie ma sensu puszczać wodzy fantazji.

- A więc Marco uważa, że to się wkrótce skończy? - pyta Judit wieczorem, gdy Sari pisze list do Ferenc, starając się usilnie nie myśleć o niczym.

Sari wzrusza ramionami.

- Tak twierdzi. Ale ile to już razy od początku wojny ludzie tak mówili? Skąd mamy wiedzieć, że tym razem to prawda?

Tyle że znów dręczą ją koszmary. Ferenc opuścił jej sny jakieś dwa lata temu, wtedy, kiedy poznała Marca, a on zaludnił jej głowę mitami rzymskimi i innymi historiami. W ciągu ostatniego miesiąca jednak Ferenc w sposób niepokojący wrócił w złych snach, po których budzi się przerażona i zlana potem. Początkowo nie wiedziała, że to on, bo był bardzo zmieniony, starszy o dziesięć lat, nie o cztery, ale gdy otworzył usta, wszystko stało się jasne.

Nic wielkiego nie dzieje się w tych snach, z pewnością nic takiego, co by usprawiedliwiało jej niepokój. Stoi na równinie, wokół panuje pustka i cisza; cisza tak wielka, że niemal można jej dotknąć. Spadł pierwszy śnieg i bezkresna biel zatyka jej oddech. Ktoś idzie w jej kierunku z bardzo daleka, Sari patrzy na skuloną i maleńką postać z umiarkowaną ciekawością, ale kiedy postać się zbliża, jej ciekawość przeradza się w strach. Rozpoznaje

twarz Ferenc, który mówi: „Sari” - tylko tyle, tylko jej imię, tylko „Sari”, ale to wystarcza, aby wybić ją gwałtownie ze snu. Przez resztę nocy nie może już zasnąć.

Nadal dostaje od niego regularnie listy, chociaż ich ton się zmienił, bo pojawiła się w nich wojna. Przedtem listy mogły być wysłane skądkolwiek - z podróży w interesach do Paryża lub Londynu, z wakacji nad Balatonem - a teraz, z mieszaniną goryczy i radości, Ferenc pisze o wydarzeniach na froncie. Nic konkretnego, nic niedozwolonego, ale mówi o klęsce, o wycofywaniu się, i przez te słowa, pobrzmiewające gniewem, gdyż mężczyzna tak dumny jak on musi go czuć, gdy spotyka się z porażką, prześwituje nadzieja: to się wkrótce skończy, wróci do domu. To wzruszające, z jaką pewnością zakłada, że gdy wróci, wszystko będzie jak dawniej, cztery lata zostaną bez śladu wymazane z pamięci ich obojga.

Sari i Marco nadal spotykają się w domu jej ojca, ale teraz Sari wpuszcza Włocha frontowymi drzwiami. Kiedy Orsolya Kiss wzięła sobie kochanka z obozu (zaśmiewały się z Anną: coś podobnego, nawet Orsolya znalazła wielbiciela!), Sari zrozumiała, że może sobie poczynać śmiało. Orsolya nie powie nic Ferencowi z obawy, by Sari nie zdradziła jej przed mężem. Nie obnoszą się z tym wprawdzie w przeciwieństwie do innych kobiet, dla których włoski kochanek stanowi powód do chluby, niczym najnowsza kreacja z Wiednia, Sari przestała jednak stosować najwyższe środki ostrożności. Wszyscy są tak pochłonięci własnymi grzeszkami, że nikt nie zwróciłby na nich uwagi, nawet gdyby ona i Marco robili to przed kościołem.

Marzec jest wciąż skuty lodem, zmrożona ziemia skrzypi pod nogami. Marco piętrzy na łóżku wszystkie haftowane pierzyny, prześcieradła, a nawet obrusy - cokolwiek wpadnie mu w ręce - i jest niemal niewidoczny pod ich stosem, Sari może więc udawać, że mówi sama do siebie.

- Czy to możliwe, że wojna rzeczywiście dobiega końca?

- Na to wygląda - mruczy Marco.

- Dostałam list od Ferenc. On też tak uważa.

- Yhm... - Marco wygrzebuje się spod poduszek i wbija wzrok w gęstą ciemność.

Kiedy wzdycha, oddech ogrzewa mu twarz. - Nie wiem, czy chcę wracać do domu.

Uświadamia sobie to, co powiedział, dopiero kiedy jest już za późno.

Sari wsuwa mu drobną, zimną dłoń pod kark.

- Przecież... - mówi, starając się zachować trzeźwy ton - oboje wiemy, że jeśli... kiedy... wojna się skończy, wrócisz do swojego pięknego domu w Mediolanie, do pięknej żony, książek i rzeczy, które pomogą ci odzyskać pamięć, żebyś mógł podjąć dawną pracę. I

może będziesz miał dzieci, na przykład parkę, chłopca i dziewczynkę. - Z wymuszonym śmiechem dodaje: - Możesz ją nazwać Sari.

- Sara.

- Tak to jest po włosku?

- A co z tobą?

- Po wojnie? No cóż, Ferenc wróci i weźmiemy ślub... Boże drogi, mam nadzieję, że to nie będzie jakaś okazała ceremonia, chociaż znając jego rodzinę, bez tego się nie obejdzie. A kiedy wszyscy wyjedziecie, przeprowadzimy się do jego domu. Rodzice zostaną w Budapeszcie... mówiłam ci, że ojciec Ferencza stracił wzrok na wojnie? Mój mąż zajmie się uprawą ziemi i hodowlą trzody, a ja... pewno będę dalej robić to, co robię.

- Będziecie mieć dzieci?

- Może - odpowiada Sari bez entuzjazmu.

Ma już osiemnaście lat: doskonały wiek, by zostać matką - jej matka miała piętnaście lat, chociaż to, że umarła przy porodzie, nie zachęca do wczesnego macierzyństwa - ale myśl o maleńkim człowieczku, którym by się musiała zająć, napawa ją przerażeniem.

- Spodziewam się, że będziesz mogła sobie pozwolić na nianię - mówi Marco, czytając jej w myślach.

- Pewnie tak.

Przez chwilę milczą oboje, pogrążeni we własnych przyszłych światach. Później Marco odzywa się ostrożnie:

- No cóż, oboje wiemy, że tak właśnie będzie, ale spróbujmy wyobrazić sobie, że nie wracam do domu.

- Dobrze. - Sari się uśmiecha. Marco nigdy o tym nie mówił i miło jest wiedzieć, że nie tylko ona snuje czasem fantazje na ten temat. - Co wtedy? Zamieszkamy tu razem?

- Nie bądź śmieszna! A co zrobimy z Ferencem?

- Mógłbyś czekać na niego z pistoletem...

Marco unosi się na łokciu i patrzy na nią, kręcąc głową ze zniecierpliwieniem.

- Nie, nie, nie chcę zabijać Ferencza... Ale przecież to tylko fantazja, gdzie możemy robić, co chcemy. Z pewnością nie chcemy mieszkać tutaj.

- Dobrze, dobrze. Więc gdzie?

- Przenieśmy się do miasta, gdzie nie będzie kłopotu z pracą i nikt nas nie znajdzie. Nie do Budapesztu, bo tam jest za zimno, a poza tym mój węgierski nie jest zbyt dobry...

- W ogóle nie mówisz po węgiersku! - śmieje się Sari.

- Niech ci będzie. Mój niemiecki też pozostawia wiele do życzenia. Może pojedziemy do Rzymu.

- Nie, to niesprawiedliwe. Skoro mam opuścić mój kraj, to ty też.

- Ale Rzym... Dobrze, nie ma się o co kłócić. Co powiesz na Paryż?

- Mówisz po francusku?

- Wystarczająco dobrze, żeby dostać tam pracę. Ty też szybko się nauczysz. Teraz, kiedy znasz już włoski, będzie ci łatwiej. Mogłabyś zostać prawdziwym lekarzem. Chciałabyś?

- Na pewno chciałabym studiować. Może na początek historię i literaturę.

- Jesteś w odpowiednim wieku. Ja mógłbym uczyć historii i włoskiego; zamieszkalibyśmy w małym mieszkanku na lewym brzegu. Chodziłabyś w eleganckich sukniach i miała małego puszystego pieska. Jedlibyśmy w restauracjach i pili szampana.

Sari śmieje się, zachwycona.

- Cudownie, że mamy to wszystko obmyślane!

- Tak, dobrze jest mieć gotowy plan, prawda? - Marco wzdycha głęboko i gramoli się z łóżka. - Muszę już iść, Sari.

Ona podaje mu ubranie i patrzy w milczeniu, jak się ubiera. Potem sama wkłada sukienkę i gorset, żeby odprowadzić go do drzwi.

- Do zobaczenia jutro - mówi Marco.

- Do zobaczenia.

Powiew wiatru rzuca otwarte drzwi o ścianę, Sari opiera się o framugę, kiedy on wiąże buty.

- Sari... - Marco prostuje się i przykłada jej rękę do policzka niespodziewanie czułym gestem.

- Co takiego?

- Zawsze jesteś taka... taka... zrezygnowana.

Sari nie bardzo rozumie, co chciał przez to powiedzieć, ale następne słowa niemal ją ogłuszają.

- Bardzo cię kocham, wiesz? Cokolwiek się stanie, pamiętaj o tym.

Marco wychodzi. Pustka huczy jej w uszach jak grzmot.

Dwa tygodnie później przychodzi list. Sari z góry wie, co w nim znajdzie. Przysiada na wytartych drewnianych stopniach domu Judit i przed oczami staje jej obraz, jak siedziała

tu z Lujzą niemal dwa lata temu. Czyta list raz, a potem drugi i zastyga bez ruchu. Nie myśli o niczym, tylko oddycha, w końcu wstaje i wchodzi do domu.

- Ferenc wraca - mówi. Te słowa smakują w ustach jakoś dziwnie i gorzko.

Najdroższa Sari.

Piszę, żeby dać Ci znać, że niedługo wracam. Wojna jeszcze trwa, ale dla mnie już się skończyła. Tydzień temu zostałem ranny w nogę i lekarze mówią, że nie odzyskam pełnej sprawności co najmniej przez dwa miesiące, a może w ogóle będę do końca życia kulał. Nie przejmuję się tym. Nie będzie tu już ze mnie pożytku, więc mnie zwalniają. Pojadę najpierw do rodziców do Budapesztu na tydzień lub dwa, ale nie chcę zbyt długo odwlekać spotkania z Tobą i przyjazdu do Falucski, będę więc najdalej za sześć tygodni. Ponieważ wiem, że mój dom jest nadal zajęty na cele wojskowe, zamieszkać w domu Twojego ojca.

Nie potrafię wyrazić, jak się cieszę na powrót do Ciebie i wioski.

Kochający Ferenc

Pół godziny później Sari tłumaczy te słowa na włoski, spacerując z Markiem po zimnym obozie - po gospodarstwie Ferenc'a, jak myśli. Musi się na powrót nauczyć kojarzyć to miejsce z nim, a nie z jeńcami.

Marco milczy, gryzie usta, ręce głęboko wepchnął do kieszeni.

- Cóż... - mówi w końcu - oboje wiedzieliśmy, że prędzej czy później to nastąpi.

- Tak - odpowiada Sari. - Miałam tylko nadzieję, że... trochę później.

- Z góry decyduje, że może zamieszkać w domu twojego ojca?

- Jesteśmy zaręczeni. Ma prawo tak myśleć.

- Psiakrew! - wybucha nagle Marco. - Psiakrew.

- Wiem.

Sari ma ochotę się rozplakać. Bez względu na to, jak starali się przygotować do tej chwili, bez względu na to, z jaką rezygnacją traktowała tę znajomość, przeczuwała jej nieuchronny koniec, czuje się, jakby dostała cios w żołądek. Na próbę mówi sobie, jakie to szczęście, że Ferenc żyje; wiele kobiet dużo by dało, aby być na jej miejscu, czekać na powrót swojego mężczyzny z wojny - i bez zdziwienia przekonuje się, że to nic nie daje.

- Mamy dla siebie sześć tygodni - mówi. W końcu to też coś.

Rozdział 12

Ferenc nie wygląda tak jak w jej snach, ale nie przypomina człowieka sprzed czterech lat. Jest chudszy, brodaty i starszy, choć jakby wciąż nie całkiem dorosły. Sari nie wie, jak to możliwe, ale sprawia wrażenie człowieka steranego życiem, a jednocześnie dziecka: nie ma w nim dojrzałości i pewności siebie Marca (musi przestać ich porównywać!). Stoją przy stole w domu jej ojca; jest maj, powietrze, przesycone zapachem wiosennych kwiatów, rozbrzmiewa świergotem ptaków. Ferenc wygląda jak człowiek upojony, choć trudno powiedzieć, czy to przyjemne upojenie.

- To wszystko jest... jak nieprawdziwe - mówi.

Jego głos brzmi donośniej niż dawniej; Sari dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że to nie wyobrażnia płata jej figle, ale Ferenc naprawdę mówi głośniejszym głosem: słuch musiał mu się przytępić z powodu nieustannej kanonady, atakującej uszy przez cztery lata wojny.

Nie potrafi wykrztusić słowa, tylko patrzy na niego oniemiała, walcząc z rosnącym lękiem. Nie może poślubić tego człowieka, myśli. Jak dotąd Ferenc nie próbował nawet jej dotknąć, nie podał jej ręki ani nie pocałował w policzek i Sari modli się, żeby się nie wzdrygnąć, gdyby do tego doszło. Nie chodzi o to, że Ferenc jest odpychający, po prostu nie jest tym, kogo pragnie. Wszystko, co Marco mówił przez ostatnie dwa lata, toczy się nagle echem w jej głowie: widzi, jak będzie wyglądać jej życie, jeśli zostanie na wsi, jeśli wyjdzie za Ferenca.

Przybył dziś rano i rzucił brudny, zniszczony plecak na ganek Judit. Czekał cierpliwie, aż Sari wyjdzie. Wzięła go prosto do domu ojca; ona i Marco nie chodzili tam ostatnio, żeby nie wzbudzić podejrzeń w razie nagłego powrotu Ferenca. Reszta wioski też stała się ostrożna. Ferenc i jego rodzina wciąż cieszą się takim szacunkiem, że nikt nie ośmieliłby się przy nim okazywać swobody obyczajów. Wszystkie napotkane po drodze kobiety witają go z uniesieniem, ale on nie zwraca na to uwagi.

Ferenc kładzie rękę na miękkiej, gładkiej powierzchni stołu, żeby się z nią oswoić. Nie jest na froncie już od wielu tygodni, ale cisza wciąż go niepokoi - czuje się, jakby miał uszy zatkane błotem. Budapeszt tętnił gwarem, tylko nocami budziły go koszmary z pola bitwy.

Sari się zmieniała; to nie ulega wątpliwości. Kiedy wyjeżdżał cztery lata temu, była jeszcze dziewczynką. Z tęsknotą wypatrywał kobiety, którą się stanie. Teraz jest już tą kobietą, a on z tą samą tęsknotą myśli o dziewczynce, jaką kiedyś była, jego maskotce, jego

amulecie, który pomógł mu przetrwać wojnę. Kobieta, na jaką teraz patrzy, nadal nie jest piękna, ale ma w sobie coś, co ją wyróżnia, czyni wyjątkową - jakąś elegancję, chociaż to śmieszne nazywać osiemnastoletnią wieśniaczkę elegantką. Dopiero teraz uświadamia sobie, że czuł w stosunku do niej wyższość, która nagle się rozviała. Sari zyskała na pewności siebie, świadomości swojego ciała, siły, i mimo niezręcznej sytuacji - to nie z jej winy; zakłopotanie między nimi było do przewidzenia - trzyma się prościej i zuchwałiej niż przedtem; stoi niedbale, z rękami skrzyżowanymi na piersi, z przechyloną głową, i mierzy go bacznym wzrokiem. Zawsze patrzyła ludziom prosto w oczy, ale teraz z jej spojrzenia zniknął wyraz czujności. Ciągłe jest chuda, ale pod sukienką rysuje się kusząca krągłość, której nie było, gdy wyjeżdżał. Ferenc czuje nagły przypływ pożądania, co skutecznie zmniejsza jego lęk. Przynajmniej to mu zostało. Choć właściwie nie ma pojęcia, co z tym zrobić.

Patrzają na siebie przez dłuższy czas. Sari odzywa się pierwsza.

- Witaj w domu, Ferenc - mówi, z ulgą stwierdzając, że jej głos brzmi dość szczerze. Zaciska zęby i podchodzi, by pocałować go w policzek. Nie jest to aż tak straszne, jak się spodziewała. To na początek, myśli, w końcu mamy czas się do siebie przyzwyczaić.

- Tęskniłem za tobą, Sari - odzywa się Ferenc ochryłym głosem. - Bardzo za tobą tęskniłem.

- Musisz być zmęczony. Pościeliłam łóżko na górze. Powinieneś pójść spać.

- Zostaniesz?

- Nie... nie mogę. Muszę... Mam pod opieką kilku jeńców w obozie. - Uznała, że najlepiej wyjawić mu to od razu, ale on nie zwraca na to uwagi.

- Proszę, Sari. Nawet cię nie tknę, obiecuję. Tylko... tylko zostań, dopóki nie zasną, dobrze?

Sari czuje dla niego pogardę za tę słabość i natychmiast się za to karci.

- Dobrze - zgadza się. - Zostanę, dopóki nie zaśniesz, ale potem naprawdę muszę wracać do pracy. Wieczorem robię w domu Judit kolację. Przyjdź koło szóstej.

- Nie moglibyśmy zjeść tutaj? - pyta Ferenc rozczarowany, ale ona kręci głową.

- Sam wiesz, że to nie wypada. - Zasłania się, jak nigdy dotąd, pozorami. - Idź do łóżka. Poczekam tu, gdybyś czegoś potrzebował, i sprawdzę przed wyjściem, czy zaśnąłeś.

Wraca do domu Judit niemal po omacku, jakby brnęła przez gęstą mgłę. To głupota tak się przejmować czymś, co zawsze było nieuchronne, a jednak... a jednak...

Stawia właśnie nogę na pierwszym stopniu schodów, kiedy Anna chwytą ją za ramię.

- Sari - mówi bez tchu - słyszałam, że Ferenc wrócił. Wszystko... wszystko w porządku?

- Chodź do domu - odpowiada Sari ze znużeniem. - Nie chce mi się powtarzać wszystkiego dwa razy.

Spodziewa się gradu pytań, ale ku jej zdumieniu Judit i Anna siedzą w milczeniu, czekając, aż sama się odezwie. To nie powściągliwość z ich strony (Judit i Anna powściągliwe? Co za bzdura!), ale niepewność co do jej nastroju. Ona sama aż kipi z gniewu i rozpaczy, i wydaje jej się oczywiste, że wszyscy to widzą, ale najwyraźniej dotychczasowa rezerwa, ciągle przypominanie o szczęściu, jakie ją spotkało, że zaręczyła się z Ferencem, a teraz on cały i zdrowy wraca z wojny, zmyliły nawet jej najbliższych. To dziwne, ale Judit i Anna naprawdę nie wiedzą, czy Sari jest zadowolona, czy zła; czy się cieszy, czy martwi.

- Jak... jak on się ma? - pyta ostrożnie Anna.

- Prawdę mówiąc, sama nie wiem. Chyba... chyba dobrze. Noga mu się zagoiła, ale wydaje mi się, że wciąż nie doszedł do siebie po czterech latach na froncie. Nie wie, co ze sobą zrobić. Jest... jest mi go żal. - Milknie na chwilę, ale wkrótce dochodzi do wniosku, że nie da się tego powiedzieć delikatniej. - Nie pamiętam, czy on zawsze był taki... taki pospolity?

Anna i Judit patrzą na siebie niepewnie - jak można mówić o pospolitości czy niepospolitości czyjegoś narzeczonego? Ale Sari nie oczekuje odpowiedzi - sama już go osądziła w sercu. Wzrusza ramionami ze złością.

- Od początku wiedziałam, że nie powinnam chodzić do obozu. Było jasne, że tak się to skończy, zwłaszcza że czułam się tu nieszczęśliwa. Wiedziałam o tym. Od razu wiedziałam. Po prostu myślałam, że... Chyba już nie może być gorzej, prawda? Myślałam, że wojna się skończy, jeńcy wyjadą i będę miała czas przyzwycząić się do myśli o powrocie Ferenc, kiedy Marca już tu nie będzie. A teraz... Boże, jeszcze wczoraj go widziałam!

Milknie, Anna i Judit znów wymieniają spojrzenia. To oczywiste, że w oczach Sari Ferenc nie dorasta Marcowi do pięt.

- Co teraz zrobisz? - pyta Anna.

Sari śmieje się gorzko.

- Co mogę zrobić? Jestem zaręczona. Marco jest żonaty. Słyszę, że wojna wkrótce się skończy. Marco wróci do żony, ja zostanę tu z Ferencem. Trzeba się z tym pogodzić. Ferenc jest dobrym człowiekiem i będzie dobrym mężem. Muszę tylko przywyknąć do tej myśli.

- Gdzie on teraz jest?

- Śpi. Był zmęczony. Pójdę do niego, jak wrócę z obozu. Anna wysoko unosi brwi.

- Idziesz do obozu? - pyta z niedowierzaniem. Sari jest zniecierpliwiona.

- Oczywiście. Nie do Marca, ale... wiesz... Paolo wciąż ma gorączkę, a Umberto wysypkę. Nie mam zamiaru przestać ich leczyć tylko dlatego, że Ferenc wrócił. Nie robię nic złego.

Judit śmieje się sarkastycznie i Sari odwraca się do niej ze złością.

- Naprawdę! To byłoby zbyt nieostrożne! I tak już koniec. Nie mam wyboru.

Zgodnie z obietnicą Sari wraca z obozu w ciągu godziny, po krótkim spotkaniu z chorymi, i bierze się do obierania kartofli. Prosi Judit, by zachowywała się uprzejmie wobec Ferenc. Wie, że Ferenc trochę się jej boi, i nie chce ryzykować, że przestraszy się jeszcze bardziej i zabroni jej dalszej pracy z Judit. To byłby prawdziwy cios.

- A więc widziałaś się z nim dzisiaj? - pyta Judit.

W pierwszej chwili Sari korci, by zapytać przewrotnie, kogo Judit ma na myśli, ale daje za wygraną.

- Nie. Nie było go w obozie, kiedy przyszedłam. Wyraźnie mnie unika, ale nie wiem, czy dlatego, że nie chce mnie widzieć, czy też nie chce mnie stawiać w kłopotliwej sytuacji.

Judit przez chwilę nic nie mówi, tylko krząta się zamyślona po kuchni.

- Coś ci chcę poradzić. Pamiętasz, co przedtem powiedziałaś, Sari?

- Co takiego?

- Że nie masz wyboru. To nieprawda. Masz wybór. Zawsze się ma jakiś wybór.

Sari wzdycha, trochę rozgniewana.

- Dobrze ci mówić, Judit...

Judit podnosi rękę, przerywając jej. Ma surową twarz i Sari widzi, że tym razem to już nie dobrotliwe przekomarzanie się, ale poważna sprawa.

- Nie mów mi, że cię nie rozumiem. Może nie potrafię rozpoznać dokładnie tego, co czujesz, ale dobrze znam naturę ludzką. Zawsze jest wybór, Sari, zawsze. Jeśli wolisz się oszukiwać, że jest inaczej, miej pretensję tylko do siebie. Czasem wszystkie rozwiązania są złe, ale pamiętaj, że są.

Sari przęłyka ślinę. Judit kręci głową.

- Nie chcę więcej o tym mówić. Zrobisz, co zechcesz. Musisz tylko wiedzieć, że to ty dokonujesz wyboru.

Odkąd wrócił, minął już tydzień. Przez ten czas wyszedł z domu ojca Sari tylko raz, pierwszego wieczoru poszedł na kolację do Judit. To wszystko było nie do zniesienia. Na

każdym kroku uderzały go nieprzyjemne zmiany: twarz Judit starsza o cztery lata; widok Sari, zadomowionej u niej w roli pomocnicy; wioska bez mężczyzn (kilku cudzoziemców, chowających się po kątach, to wrogowie; nie może ścierpieć myśli, że zostawiają ślady stóp w jego wiosce, ślady rąk w jego rodzinnym domu). Te wszystkie zmiany przeszywają go jak kule, ranią jak ciosy bagnetu, jakby były wymierzone prosto w niego. To jest nie do zniesienia.

Z domu ojca Sari widać tylko las, a las się nie zmienił. To pewna pociecha. Dom też się nie zmienił, brakuje tylko Jana i jego małej córki, ale tak łatwo przywołać wspomnienia. Może zbyt łatwo - często z wysiłkiem wraca do rzeczywistości, kiedy w drzwiach pojawia się Sari-kobieta. Musi przypominać sobie, że to właśnie jest terażniejszość.

Sari. Nie mówiła nic, ale musiała zauważyć, co się z nim dzieje tego pierwszego wieczoru, bo nie zaprasza go już na kolację do Judit. Przynosi mu gotowe potrawy i czeka, aż zje. Przeważnie milczy, ale to mu nie przeszkadza - zawsze taka była, a teraz i on niewiele mówi.

Sari nie chce zostawać na noc.

Ferenc wie, że ma prawo odmawiać, i coraz mocniej jej pragnie, z głęboko ukrytą tęsknotą, gorzką i palącą. Ta tęsknota nie znajduje odbicia w jej oczach, choć Ferenc stara się sam siebie oszukać; to go boli, a jednocześnie utwierdza w uporze. Nie szkodzi, mówi sobie, jej miłość przyjdzie później, a nawet jeśli nie, to też nie szkodzi. Są zaręczenia, pobiorą się i Sari będzie jego. Da mu ukojenie, którego potrzebuje, żeby odzyskać siłę, zebrać odwagę do wyjścia z domu, rozpocząć życie od nowa. Sari się zmieniła, wszystko się zmieniło, ale nadal należy do niego. Nadal należy do niego.

Sari próbuje oswoić się z sytuacją. Jak dotąd bez skutku. Widuje się z Ferencem codziennie, przynosi mu jedzenie, pierze mu ubranie i opatruje ranę. W dzień nie czuje do niego nic prócz współczucia i lekkiej odrazy, jaką budzą jego nerwowe tiki, dziwne zachowanie i ataki gorączki - których, jak twierdzi, nabawił się na polu bitwy i które nigdy nie przeszły. Sari patrzy na to inaczej, uważa, że bóle brzucha, na jakie narzeka, to oznaka choroby serca i duszy. W nocy, kiedy go przy niej nie ma i nie może wzbudzać litości, myśli o nim przerażają ją, coraz bardziej wydaje jej się rozbity i niezrównoważony. Kobieta nie powinna tak myśleć o narzeczonym, ale nic na to nie poradzi.

Ferenc mówi, że pobiorą się, gdy tylko wojna się skończy - spodziewa się, że nastąpi to szybko, na tyle szybko, że jest gotów czekać, gdyż uważa, że branie ślubu w czasie wojny byłoby wprost nieprzyzwoite. To daje jej trochę czasu, dodatkowego czasu na przygotowanie

się do małżeństwa. Wyobraża sobie, jak będzie z nim mieszkać, i to jej nie męczy: gotowanie dla niego, sprzątanie, to wszystko już robi. Tylko spanie z nim... nie wie, jak się do tego zmusi. Widzi, że chciałby się z nią kochać - nauczyła się to poznawać przez dwa lata życia wśród mężczyzn. Nie poprosił jej o to jeszcze, jest zbyt nieśmiały i nerwowy, żeby zebrać się na odwagę, ale z każdym dniem zdaje się zyskiwać pewność siebie w jej towarzystwie i zapewne to tylko kwestia czasu. Oczywiście, może mu odmówić, Ferenc uznałby to za zrozumiałe, a nawet godne podziwu, chociaż dla niego przykre, ale tak będzie tylko do ślubu, potem nie będzie mogła się wykręcać. Nie ma się czego bać, nie ma się o co martwić, mówi sobie Sari, takie czekanie na noc poślubną będzie jedynie wzmacniać lęk. Postanawia, że pójdzie z nim do łóżka, gdy tylko Ferenc odważy się ją o to poprosić.

Dlaczego tak bardzo ją to przeraża? - zastanawia się. I zaraz sobie odpowiada: nie chodzi o to, że Ferenc nie jest Markiem, lecz o to, co tkwi w nim samym. Ranna noga stanowi dodatkową przeszkodę, lecz Sari nigdy nie była przesadnie delikatna i to by jej nie zniechęciło, gdyby wszystko inne było w porządku. Nie pociąga jej jego dziecinny wygląd, różowa cera, bezbarwne oczy i jasne włosy; denerwuje ją ociężały umysł i rozwlekły sposób mówienia - ale również nie to sprawia, że pokrywa się zimnym potem na myśl, iż miałyby stanąć przed nim nago. Przyczyną jest to, jak na nią patrzy: z rozpaczliwym pragnieniem. Pamięta ten wzrok jeszcze sprzed jego wyjazdu na front i zawsze jej schlebiał, że budzi w nim takie pożądanie. Teraz napawa ją to strachem. Czy to wojna nauczyła go bezwzględności, czy ona wie więcej o miłości, ale widzi jedno: w jego oczach nie było śladu czułości, nie patrzył na nią z przyjemnością, dumą czy sympatią, tylko z wilczym głodem i chęcią posiadania.

Rozdział 13

Później Sari często zastanawiała się, gdzie dokładnie leżała granica. Choć właściwie to nieważne. Ważne jest to, że została przekroczona i miało to swoje konsekwencje, a czy były one współmierne do tego przekroczenia, to inna sprawa. Dziwne, czasem wypadki toczą się tak szybko, że wszystko wymyka ci się z rąk. Sari zadaje sobie pytanie, czy gdyby było choć trochę inaczej, może źle, ale nie aż tak źle, przełknęłaby wątpliwości i pogodziła się z losem. Nie jest to miłe pytanie, ale rzeczywistość też nie jest miła.

Ferenc jest milczący w ostatnich dniach, Sari jednak zna go już na tyle, by wiedzieć instynktownie, że coś w jego milczeniu się zmieniło. Gdy przynosi mu kolację tego wieczoru - trzy, cztery tygodnie po powrocie? - atmosfera w domu ojca uderza ją jak obuchem, czuje, że jeżą jej się włosy na karku. Coś jest nie w porządku.

Ferenc siedzi przy stole w ciemności - często tak robi, jakby każde doznanie raniło go i musiał uciekać przed nimi nawet w domu - ale coś w linii jego ramion każe Sari pomyśleć: nie jest dobrze. Ma ochotę zostawić garnek i wyjść w pośpiechu - z pewnością potrafi sam odgrzać sobie gulasz? - zwalcza jednak tę chęć. To mężczyzna, którego ma poślubić. Nie może uciekać od jego humorów, bo wkrótce nie będzie miała dokąd uciec. Stawia garnek na stole, zapala lampę i zaczyna przygotowywać kolację. Nic nie mówi, on też nie przerywa ciszy. Dopiero kiedy podsuwa mu talerz z kawałkami kurczaka w papryce, Ferenc, nie podnosząc głowy, odzywa się zachrypniętym po całodziennym milczeniu głosem:

- Widziałem dzisiaj coś dziwnego. O Boże...

- Naprawdę? - pyta Sari nienaturalnie lekkim tonem.

Ferenc potwierdza to skinieniem głowy, ale nic nie mówi i zaczyna jeść. Sari zachowuje spokój, choć wewnątrz cała się trzęsie. Też wbija wzrok w stół, obserwując go spod rzęs, licząc każdą łyżkę, która wędruje do jego ust. Czeką na koniec posiłku, żeby móc uciec.

- Chcesz wiedzieć, co widziałem?

Ostrożnie, myśli Sari. Nie może dać się sprowokować.

- Co takiego? - Całe szczęście, nigdy nie była gadatliwa, nawet w najlepszych czasach; mówi trochę głośniejszym, ale prawie tak jak zawsze.

- Widziałem twoją przyjaciółkę, Annę. Annę Csillag. Zonę Karolya. Szła do lasu z mężczyzną, którego nie znam. Wyglądał jak jeden z tych z obozu. Śmiali się. - Następuje chwila pełnej napięcia, dzwoniącej w uszach ciszy. - Jak myślisz, po co tam szli, Sari?

Udawanie, że o niczym nie wie, byłoby podejrzane, Sari wzdycha więc cichutko:

- To chyba nie nasza sprawa, Ferenc.

- Wiesz, co myślę?

Sari milczy, ale on nie czeka na odpowiedź.

- Dla mnie Anna zachowuje się jak dziwka. Twoja dobra przyjaciółka, Anna. A co ty o tym myślisz?

Sari nadal milczy. Ferenc przeszywa ją wzrokiem i Sari musi walczyć z chęcią, żeby nie spojrzeć mu dumnie prosto w oczy, ale ma przeczucie, że to by go jeszcze bardziej rozsierdziło.

- Myślę też, że nie tylko Anna zachowuje się jak dziwka. Kiedy szliśmy do Judit na kolację, widziałem różnych mężczyzn, mężczyzn, których nie powinno tu być. Nie wiem, co się dzieje w obozie jenieckim, ale chyba wiem, co się dzieje w wiosce. Może mi o tym opowiesz?

Nie można milczeć w nieskończoność.

- Tak, niektóre kobiety zaczęły się spotykać z mężczyznami z obozu...

- Kiedy ich mężowie walczyli i umierali za nie?

Ferenc mówi podniesionym tonem, ale w każdym słowie słychać bardziej ból niż gniew. Sari czuje przypływ litości, ale nie winy: tak się zdarza, myśli, ludzie ranią się, tak to już jest. Współczuje Ferencowi. Ogarnia ją wielki smutek, że mężczyźni uważają się za bohaterów, a nie dostają w zamian tego, na co zasługują.

- A co powiesz o sobie, Sari? - pyta Ferenc głucho. - Co ty robiłaś, kiedy mnie tu nie było?

- Ja? Nic! - Wyrzuty sumienia i strach odbierają jej na chwilę głos.

- Chodziłaś tam przecież...

- Żeby opiekować się chorymi! Pomagać im, bo lekarz nie mógł im pomóc! Nic więcej! - Nagle ogarniają wściekłość, której z chęcią się poddaje; sama siebie niemal przekonała, że nie robi nic złego, i musi się tego trzymać, jeśli ma jej uwierzyć.

- Dlaczego miałbym ci wierzyć?

Sari nie wie, co chciałby usłyszeć, cisza między nimi się przedłuża, aż niespodziewanie Ferenc chwyta stojący przed nim talerz i ciska nim o ścianę, rozpryskując go w kawałki.

- Dlaczego miałbym ci wierzyć? - wrzeszczy.

Sari od dzieciństwa nie zdarzyło się stracić panowania nad sobą, ale jest coś w jego napadzie szału, w bezsensownej złości, w fakcie, że podejrzewa ją o niewierność całkiem bez powodu, co zmusza ją do sprzeciwu i każe bez namysłu skoczyć na równe nogi.

- Gotuję dla ciebie, piore i opatruję ci ranę! - Mierzy go płonącym wzrokiem. - Pisałam do ciebie tydzień w tydzień, kiedy byłeś na froncie. Jakim prawem mi nie wierzysz? Mieszkam z Judit i zajmuję się opieką nad chorymi. Kiedy miałabym czas na romans, który ci się załagał w głowie? Czemu miałabym to robić? Jakim prawem mi nie wierzysz?

Nie krzyczy, ale jej głos brzmi tak, jakby krzyczała. Cisza, która zapada, dzwoni im w uszach. Sari stoi przez chwilę nieruchomo, potem odwraca się, bierze ścierkę i zaczyna sprzątać bałagan, jakiego narobił.

Słyszy, że Ferenc staje za nią i zastyga, nie wiedząc, czy ma się spodziewać kopniaka w zębra, czy wyciągnięcia ręki do zgody. On z niejakim trudem przykłęka przy niej - to niełatwe przy jego rannej nodze - i kładzie jej rękę na ramieniu.

- Przepraszam - mówi cicho.

- Już dobrze. - To nieprawda. Nic nie jest dobrze.

- Masz rację, nigdy nie miałem powodu, żeby w ciebie wątpić. Sari odkłada ścierkę i odwraca się do niego. Widzi teraz, że nie tyle ją oskarżał, ile poddawał próbie, i że ostatnią rzeczą, w jaką chciałby wierzyć, jest jej niewierność - taka plama na honorze byłaby dla niego nie do zniesienia. Jest gotów przyjąć każde wytłumaczenie.

Nie wie, co powiedzieć, powtarza więc:

- Już dobrze. Ferenc kręci głową.

- Nie, nie jest dobrze. Nic nie jest dobrze. Nic.

Obejmuje głowę rękami i zaczyna się kiwać, siedząc na podłodze. Sari z przerażeniem widzi, że Ferenc płacze. Z rozpaczą zastanawia się, jak się zachować w tej sytuacji. Nieważne, co myśli o nim i o ich zaręczynach, nie może zostawić go szlochającego pośród resztek jedzenia i skorup. Kładzie mu niezdarnie rękę na ramieniu, a on nagle pochyla się, obejmuje ją w pasie i przyciska głowę do jej piersi. Jak dziecko, myśli Sari, i jest to dziwnie kojąca myśl. Umie sobie radzić z dziećmi. Przytula go delikatnie i całuje we włosy, a kiedy po chwili Ferenc podnosi głowę i przywiera ustami do jej ust, kładzie ją na plecy i podnosi jej spódnice, Sari czuje ciężar nieuchronności i nie robi nic, żeby go powstrzymać.

I kiedy się kochają na kuchennej podłodze, Sari wychodzi jakby poza siebie i obserwuje to z umiarkowanym zainteresowaniem.

Nie jest gorzej, niż się spodziewała, i choć pragnęła zrobić to z Markiem, z Ferencem wygląda to tylko nieco śmieszniej. Szybko jest po wszystkim - nagły, ostry ból, chwila płytkiego oddechu, a potem on opada na nią z błogim wyrazem twarzy, jakby znalazł się w niebie, ona zaś leży bez ruchu na deskach podłogi. Po chwili Ferenc siada i oboje dostrzegają krew.

- Przepraszam - mówi, tym razem ze skruchą. - Nie chciałem sprawić ci bólu.

- Wcale tak bardzo nie bolało - zbywa to Sari; wie dobrze, że właśnie dowiodła swojej wierności.

- Kocham cię, Sari.

Po raz pierwszy to powiedział. Ona czuje kłamstwo kryjące się za tymi słowami, ale rozumie, że on wierzy w to kłamstwo.

- Wiem - odpowiada krótko i to zdaje się go zadowalać.

Judit natychmiast domyśla się, co się stało. Sari jest nieprzyjemnie zaskoczona tym, co mówi.

- Zrobił ci krzywdę?

W głosie Judit brzmi stalowa nuta - najwyraźniej podejrzewa, że Ferenc zgwałcił Sari. Dziewczyna kręci przecząco głową i Judit uspokaja się, ale Sari uderza to, że taka była jej pierwsza myśl.

- Dlaczego pytasz?

- Przepraszam. Po prostu boję się o ciebie.

- Nie zrobiłby czegoś takiego - mówi Sari niepewnie.

Ferenc, którego znała cztery lata temu, nie zrobiłby. Ale Ferenc, którego znała cztery lata temu, nie zamknąłby się w domu na całe tygodnie i nie rzucałby talerzami. Ten nowy Ferenc ma w sobie coś niepokojącego i Sari z jednej strony cieszy się, a z drugiej martwi, że nie tylko ona to zauważyła.

Musi pomyśleć.

- Anno, zrobisz coś dla mnie?

Nazajutrz rano słońce świeci jasno i radośnie, twarz Anny jest cudownie otwarta i przyjazna.

- Oczywiście. Co tylko chcesz.

- Czy dziś po południu mogłabyś użyzyć mi swojego domu na parę godzin? Po prostu idź na spacer albo gdziekolwiek, tylko zostaw mi dom. Proszę.

Sari nie patrzy na Annę; wie, że wprawiała ją w zakłopotanie.

- Chodzi o Marca, tak? Chcesz się z nim spotkać?

Sari kiwa głową. Dom Anny świetnie się nadaje do tego celu: leży z dala od środka wioski i ma boczne wejście, przez które łatwo przemknąć się niepostrzeżenie. Anna nigdy nie zaprasza tam Giovanniego - nie przeszkadza jej to, że zdradza męża, póki nie robi tego we własnym domu - ale Sari ma nadzieję, że pozwoli jej na schadzki z Markiem.

Anna nie odpowiada i Sari podnosi głowę.

- Proszę cię, Anno - mówi błagalnie.

- Nie wiem, Sari. Co innego, kiedy Ferenc nie było, ale teraz...

- Proszę...

Sari widzi niechęć na twarzy Anny i wie, o czym przyjaciółka myśli. Nigdy nie mówiła tego wprost, ale jest jasne, że swoją niewierność usprawiedliwia brutalnym zachowaniem Karolya. Stworzyła sobie własne zasady moralne, według których zdradzanie złego człowieka jest możliwe, a dobrego nie. Można by przymknąć na to oko, kiedy ten dobry jest gdzieś daleko, ale całkiem co innego, gdy jest na miejscu. Według Anny, Ferenc jest dobrym człowiekiem, a Sari nie ma serca wyprowadzać jej z błędu, zresztą sama nie jest pewna, jaki naprawdę jest.

W końcu Anna kapituluje, jak należało się spodziewać. Idzie do obozu spotkać się z Giovannim i Sari daje jej liścik do Marca. Nigdy dotąd nie pisała po włosku, ale konieczność bierze górę nad nieśmiałością, choć czerwieni się na myśl, ile błędów musiała zrobić. A potem czeka.

Czeka w domu Anny od wczesnego popołudnia, czas wlecze się niemiłosiernie. Nie przyjdzie, na pewno nie przyjdzie, i całkiem słusznie. Anna miała rację, to głupi pomysł; głupi, zły i niebezpieczny. Ona też powinna iść do domu, w końcu ma tyle roboty. Wstaje i siada z powrotem z tłącą się ciągle nadzieją, znów wstaje i robi krok ku wyjściu, kiedy słyszy lekkie pukanie do bocznych drzwi.

Nie widziała go zaledwie od kilku tygodni, ale Marco postarzał się przez ten czas i sposepniał. Wchodzi szybko do domu i zamyka za sobą drzwi.

- Czy ktoś cię widział?

- Oczywiście, że nie.

Przez długą pełną napięcia chwilę nic nie mówią, tylko patrzą na siebie; Sari niemal spodziewa się pretensji, oskarżeń o lekkomyślność i głupotę. Nie musiałeś przychodzić - ma na końcu języka, gotowa odeprzeć atak. Ale twarz Marca rozjaśnia nagle ciepły uśmiech i Sari wprost topnieje.

- Tęskniłem za tobą.

Już niczym niepowstrzymana Sari podchodzi do niego, staje na palcach i całuje go, na pozór wstrzemięźliwie, w usta.

- Co ty... - zaczyna Marco, ale Sari ucisza go.

- Nic nie mów. Nie powinniśmy tu być, nie powinniśmy tego robić. Ale nie spotkamy się więcej... - Urywa, nagle onieśmielona.

- Chciałam ci coś dać.

Pięć minut później Marco leży na wznak na stosie kołder na podłodze - Sari za bardzo liczy się z uczuciami Anny, żeby używać łóżka

- a Sari wznosi się nad nim, a potem wolno, delikatnie opuszcza. Marco myśli przelotnie o tym, jak mało jest w życiu przyjemności niezabarwionych goryczą: marzył i śnił o tej chwili niemal dwa lata, a teraz, gdy nastąpiła, nie może zapomnieć, że zawdzięcza to tylko temu, iż Sari posiadał przed nim inny mężczyzna. To jego ostatnia jasna myśl, potem wciąga go bez reszty burza doznań. Nie istnieje już nic, tylko Sari, jej ciało, łuk pleców, zdyszane oddechy w ciszy.

Potem pyta ją - niepewnie, jak młodzieniec - czy było jej dobrze, a Sari jak to Sari nie ucieka się do gładkich komplementów, tylko przygryza wargę z namysłem.

- Nie tak dobrze, jak wtedy, kiedy robiliśmy różne inne rzeczy

- mówi po chwili. - Było inaczej. To było bardziej... bardziej prawdziwe. Bardziej nasze wspólne.

- Czy Ferenc... - zaczyna Marco, ale ona kręci gwałtownie głową, zamykając oczy, i przyciska czoło do jego ramienia.

- Nie mówmy o nim.

Leżą w ciszy przez jakiś czas, aż Marco zaczyna drzeć.

- Zimno.

- Muszę już iść - mówi Sari i Marco przeklina swoje słabe, ciepłolubne ciało. Gdyby był w stanie leżeć bez ruchu trochę dłużej...

- Naprawdę spotykamy się ostatni raz? To się już nie powtórzy?

- Może zrobiliśmy głupio, może będzie tylko gorzej. Ale wszystko wydawało się przedtem takie... takie niedokończone.

Marco kiwa głową.

- Będziesz przychodzić nadal do obozu, prawda?

- Na razie tak... - W powietrzu zawisa niewypowiedziane: dopóki Ferenc mi pozwoli. - I nie ma powodu, żebyś mnie wtedy unikał. W końcu byliśmy przyjaciółmi, zanim to się wszystko zaczęło, może więc...

- Może... - powtarza Marco. Patrzy na nią, obserwuje, jak Sari zmagą się w myślach z koniecznością powrotu do Ferenc'a i nie może się powstrzymać. - Wiem, że nie chcesz o nim mówić, ale muszę cię o coś zapytać. Czy Ferenc cię dobrze traktuje? Powiedz mi przynajmniej tyle.

Sari nie chce go okłamywać, ale nie chce go też martwić, bo cóż to zmieni? Mówi więc pojednawczo:

- Traktuje mnie tak dobrze, jak umie. - Kiedy słyszy te słowa, pojmuje ich dwuznaczność, wie, że nie dając mu żadnej jasnej wiedzy, powiadomiła go o swoich kłopotach.

Marco jednak zadowolona się tą odpowiedzią, zapewne nie oczekując niczego więcej. Sari jest już ubrana i niecierpliwie upina włosy; on wciąga spodnie i w mgnieniu oka jest gotowy.

- Podziękuj Annie ode mnie - mówi, kiedy wyglądają przez drzwi, sprawdzając, czy nikt ich nie widzi.

Sari śmieje się.

- Chyba jest zgorzona tym, co robię, choć nic nie powiedziała. Dobra z niej przyjaciółka. - Patrzy szybko na lewo i na prawo, i kiwa głową. - Nie ma nikogo. Możesz iść...

Ale on się ociąga; bierze jej twarz w dłonie i przytyka czoło do jej czoła.

- Zegnaj, Sari.

Ona próbuje się roześmiać.

- Nie mów tak! Będziemy się przecież widywać. Marco kręci głową.

- Ale nie tak. Pamiętaj o jednym... obiecujesz? Bez względu na wszystko.

Mówi niejasno, ale ona go rozumie.

- Będę pamiętać. Obiecuję.

Odrywa się od niej; zbiega po schodach, biegnie przez łąkę i w bezpiecznej odległości zwalnia kroku. Sari odprowadza go wzrokiem, ale Marco się nie odwraca.

Rozdział 14

Na tym wszystko powinno się skończyć i przez jakiś tydzień tak właśnie to wygląda.

Przez kilka pierwszych dni po oskarżeniu jej o niewierność Ferenc jest skruszony i cichy, i Sari waha się, czy wyciągać go z tego przytłaczającego poczucia winy, czy zostawić w spokoju. Wybiera to drugie. Nie są jeszcze małżeństwem, a to, jak się zachowa wobec niego teraz, będzie wzorem na resztę ich wspólnego życia. Widziała dość małżeństw, w których żona nadskakuje mężowi i stara się go udobruchać. To nie dla niej. Nie chce ani nie zniesie takiego związku, zresztą jej rogata dusza prędzej czy później by się zbuntowała.

Jak było do przewidzenia, Ferenc stopniowo wydobywa się z otępienia i Sari już chce gratulować sobie mądrego postępowania, kiedy nagle dostaje od niego w twarz.

Nie potrafi sobie później przypomnieć, o co poszło. Jest wieczór, Ferenc właśnie skończył jeść kolację, ona myje po nim talerz. Rozmawiają - to jakaś wymiana zdań na temat jej pracy, ludzi, którzy ostatnio zachorowali, i pomocy, jakiej im udziela. On coś mówi - ale co? Sari nie pamięta dokładnie - coś, co wydaje jej się niemądre, parska więc śmiechem i coś odpowiada - ale co? - w każdym razie daje mu do zrozumienia, że on się myli, a ona zna się na tym lepiej. W następnej sekundzie pali ją policzek i czuje smak krwi na zębach. Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że ból i krew to wynik ciosu na odlew wierzchem dłoni.

Z ręką przy twarzy patrzy na niego osłupiała, a on wbija w nią hardy wzrok i dyszy chrapliwie.

- To za bezczelność - mówi w końcu, jakby wyciągając powód napaści gdzieś z głębi trzewi, i rusza na górę.

Sari wzdryga się za każdym jego głuchym krokiem, gardząc sobą za ten zwierzęcy strach.

Najpierw kończy myć talerz, sprawdza starannie, czy nie została jakaś plamka, wyciera go i odkłada. Dopiero potem wychodzi, zamyka za sobą drzwi i wkracza w ciemność. Twarz piecze ją i pulsuje z bólu, szum rozsadza czaszkę. Nikt dotąd nigdy jej nie uderzył, nawet ojciec; jej duma i godność zostały brutalnie naruszone. Tak, przepelnia ją gniew, ale jeszcze bardziej zdumienie, i to poczucie sprawia, że zarzuca początkowy pomysł, żeby wśliznąć się niepostrzeżenie do domu i schować przed Judit. Przeciwnie, od progu oznajmia:

- Uderzył mnie.

Judit patrzy na nią przez chwilę, jakby cisnął się jej na usta krzyk, potem kiwa głową.

- Siadaj - mówi.

Sari opada ciężko na krzesło przy stole. Judit przynosi ręcznik i wodę, i myje jej starannie twarz. Usta Sari pęknięte w kąciku krwawią, policzek pokrywa siniak, ale kiedy Judit każe jej przejechać językiem po zębach, Sari z ulgą stwierdza, że żaden się nie rusza.

- To już coś - stwierdza cierpko Judit.

Sari czeka na nieuchronną przemowę, lecz Judit w milczeniu opatruje jej obrażenia i dopiero potem siada naprzeciwko niej.

- Co się stało? - pyta.

Sari nie wie, co robić, targają nią sprzeczne uczucia; ma ochotę jednocześnie chronić swoją dumę, przeklinać Ferencę, bronić go (na przekór wszystkim) i po prostu się rozplakać. Wzrusza bezradnie ramionami.

- Sama nie wiem. Rozmawialiśmy... myślałam, że wszystko jest dobrze. Był przygnębiony przez cały zeszły tydzień, prawie się nie odzywał, dzisiaj poczuł się o wiele lepiej, zaczął ze mną rozmawiać, powiedziałam coś... nie pamiętam, co... i wtedy mnie uderzył. - Milknie i patrzy na Judit z bezgranicznym zdumieniem. - Powiedział, że jestem bezczelna.

Mężczyzna, który bije kobietę, mąż, który bije żonę - to nic nowego i niezwykłego, obie o tym wiedzą. Sari ma wciąż w pamięci Annę, jak zawstydzona kryje swoje sińce, zanim Karoly wyjechał. Judit nieraz udzielała pomocy bitym, kopanym, maltretowanym kobietom; wie, co potrafią mężczyźni i jak niewiele mogą na to poradzić kobiety. Ale Sari... to się nie ma prawa przydarzyć Sari, to również wiedzą obie.

- Zerwij zaręczyny - mówi stanowczo.

Sari też o tym myśli. Zerwanie zaręczyn oznacza dla niej życiową klęskę - jej szanse na małżeństwo z kimś z wioski są niewielkie, tym mniejsze, że nie jest już dziewczicą; dla kobiety, dla której rodzina, mąż i dzieci są najważniejsze, byłoby to straszne. Ale Sari nigdy nie marzyła o roli żony i matki, raczej milcząco zgadzała się z tym, że w przyszłości taką rolę odegra. Nie martwi się o pieniądze, jest niezależna, dopóki żyje Judit, i może z nią pracować. A potem... cóż, przejmie po niej chorych, a gdyby życie w wiosce okazało się nie do wytrzymania dla tej, która porzuciła syna najuboższej rodziny, może przecież wyjechać.

Jest jeszcze sprawa Ferencę. Wojna spowodowała w nim straszne zmiany, ale może ten prawdziwy Ferenc, pogodny, jasnooki i pełen nadziei, gdzieś w nim nadal tkwi. Sari pamięta, jak zawzięcie walczył, by się z nią ożenić, wziąć ją pod opiekę, jak gotów był zaryzykować dla niej swoją pozycję, i na myśl, że miałyby go teraz porzucić, ogarnia ją wstyd. Nie zmienił się przecież bez powodu: cztery lata cierpienia mogą złamać człowieka, to jednak nie znaczy, że nie można mu pomóc.

- Nie mam zamiaru mówić ci, jak powinnaś postąpić - odzywa się Judit, przerywając te rozważania. - Ale jedno ci powiem: mężczyzna nigdy nie bije tylko raz. Wiem to z doświadczenia. Za pierwszym razem kobieta mówi sobie zwykle: „Nigdy dotąd tak się nie zdarzyło, to do niego niepodobne, to się nie powtórzy”... Ale zawsze się powtarza. Zawsze.

Sari kiwa głową. Nie mogłaby - i nie będzie - tak żyć: chowając się po kątach ze swoimi sińcami, jakby zrobiła coś złego. Dla nikogo nie zgodzi się na takie życie, ale chce dać Ferencowi jeszcze jedną szansę.

- Pójdę tam jutro i powiem, że nie wyjdę za niego, jeśli zrobi to jeszcze raz - oświadcza.

Judit marszczy brwi z niechęcią.

- Mówię ci, Sari...

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze, obiecuję. Naprawdę zerwę zaręczyny, jeśli to się jeszcze raz zdarzy; niczego się nie boję. Chcę tylko dać mu szansę. Tydzień temu, zanim mu się nie oddałam, też na mnie krzyczał i zbił talerz, a potem przez parę dni był cichy i smutny, pełen skruchy. Myślę, że jutro też taki będzie. I że mnie posłucha.

Rano Sari stwierdza, że jej twarz nie wygląda tak źle, jak się obawiała. Na pewno ludzie nic nie zauważą, jeśli będzie trzymać spuszczoną głowę i nie rozmawiać z nikim z bliska. Zastanawia się, czy nie pójść prosto do Ferenc, ale w końcu postanawia dać mu więcej czasu na zastanowienie i z zapasem arniki na kostkę Luigiego idzie do obozu.

Luigi wita ją radośnie; noga nie jest już spuchnięta, Sari zmienia mu opatrunek i daje coś na uśmierzanie bólu. Luigi zdaje się nie zauważać jej podbitego oka i Sari dziękuje w duchu Judit za dobrą robotę - nie zniosłaby litościwych spojrzeń. Przy wyjściu zatrzymuje ją Umberto, pokazuje ramię, pogryzione przez jakieś owady. Sari uspokaja go, że to nic wielkiego i jest już w połowie schodów, kiedy spotyka Marca.

Na jej widok twarz rozjaśnia mu się uśmiechem, który nagle znika. Sari czuje, że serce jej staje. Przeciska się obok niego, ale on chwyta ją za ramię i odwraca ku sobie. Trzymając ją w żelaznym uścisku, odgarnia jej drugą ręką włosy z czoła, unosi twarz, wpatrując się w nią uporczywie. No tak, myśli Sari ze ściśniętym gardłem, jeśli już ktoś miał ją przyłapać, to musiał to być Marco.

- Uderzył cię? - pyta.

Mówi cicho, ale głos mu drży. Marco szybko wpada w gniew, lecz jeszcze nigdy nie widziała go tak wściekłego, zwykle jest chłodny i opanowany.

- Marco...

- Uderzył cię?

Trzeba coś wymyślić. Sari szybko rozważa wszystkie mało przekonujące wyjaśnienia: wpadła na drzwi, potknęła się i uderzyła głową w stół, otworzyła zbyt energicznie okno - lepiej nie mówić prawdy. Ale milczy trochę za długo i widzi, jak jego oczy się zmieniają. Marco już wie, że jego podejrzenia są słuszne. Odsłania zęby w bezwiednym grymasie i nagle z jego ust wydobywa się stek przekleństw. Sari próbuje go udobruchać.

- Marco, posłuchaj - mówi, ale on nadal klnie. Bierze go za ramię i potrząsa. - Posłuchaj mnie.

Patrzy na nią zwężonymi oczami.

- Uderzył mnie wczoraj pierwszy raz. Wiem, nie zgodzę się na to. Powiem mu to dzisiaj i powiem jeszcze, że jeśli zrobi tak po raz drugi, zerwę zaręczyny.

Marco kręci gwałtownie głową.

- Nie. Nie, nie, nie. Musisz zostawić go od razu. On się nie zmieni.

- Zmieni się. Był dobrym człowiekiem przed wojną i zasługuje na to, by mu zaufać.

Marco wydaje z siebie chrapliwy, gorzki śmiech.

- Nie zasługuje na nic.

Tym razem Sari traci cierpliwość. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje, to dbanie o sfrustrowane, zranione ego kolejnego mężczyzny.

- Teraz ty mnie posłuchaj - mówi zimno. - Nie masz prawa pouczać mnie ani mówić mi, co mam robić. Żadnego prawa. Od początku postawiłeś sprawę jasno, że jak wojna się skończy, wrócisz do swojej pięknej, cnotliwej żony, tak więc sam odebrałeś sobie prawo do wtrącania się w moje sprawy. Muszę sobie poradzić bez ciebie i właśnie to robię. - Marco jest tak zdumiony jej wybuchem, że Sari łagodnieje w odruchu współczucia. - To miło, że się o mnie troszczysz i dziękuję ci za to. Ale zawsze wiedzieliśmy, że to, co jest między nami, to tylko wakacje od prawdziwego życia. Ja ci nie mówię, co ty i Benigna macie robić, kiedy wrócisz do domu, a ty musisz mi ufać, że umiem pokierować swoim życiem. Znasz mnie i wiesz, że nie należę do tych, które dadzą się traktować tak, jak potraktował mnie Ferenc. Ale nie znasz Ferenca, a ja tak, i musisz mi pozwolić załatwić to na mój sposób.

Marco uwalnia ją z uścisku i spuszcza głowę, pocierając twarz gestem rozpaczony i znużenia.

- Kocham cię, Sari - mówi bezradnie. - Nie chciałem, żeby to się zdarzyło.

Sari nie bardzo rozumie, co Marco ma na myśli, ale to bez znaczenia. Podnosi jego rękę do ust i całuje ją.

- Wiem - odpowiada. - Wszystko będzie dobrze.

Marco sądził, że wie, czym jest cierpienie. Cierpiał na wojnie, cierpiał, gdy został ranny i długie miesiące potem, kiedy utracił pamięć i czuł się zagubiony - ale mylił się, z tego mógłby się teraz śmiać. Dopiero teraz wie, co znaczy cierpieć - kiedy siedzi beczynn timer na brzegu łóżka i zaciska bezsilnie pięści, niezdolny myśleć o niczym tylko o Sari; o Sari i Ferencu, który może właśnie ją bije, bije i gwałci. Jej obraz tkwi mu, jak wypalony, pod powiekami - widzi jej gniewną minę, smutną, a zarazem wyzywającą, i trze oczy obiema dłońmi, żeby wymazać ten obraz.

Sari miała rację: kiedy przychodzi do Ferenca po południu, jest uległy i skruszony. Patrzy na nią smutnymi, zamglonymi oczami i słysząc jej surowe oświadczenie, że muszą porozmawiać, zalewa się łzami, ukrywa twarz w dłoniach i łkając żałośnie, obiecuje, że nigdy więcej nie podniesie na nią ręki.

- Nie waż się - mówi Sari - bo za ciebie nie wyjdę. A jeśli ośmielisz się uderzyć mnie po ślubie, to cię zostawię.

Ferenc podnosi głowę i patrzy na nią ze zdumieniem; łzy na policzkach bardzo szybko mu obeschły.

- Nie możesz tego zrobić.

- Mogę i zrobię.

- Ale...

- Nie potrzebuję cię, Ferenc. Nie potrzebuję ani twojej pozycji, ani twoich pieniędzy. Gdybym cię nie lubiła i nie czuła, że nie byłeś sobą, kiedy mnie uderzyłeś, zerwałabym zaręczyny już teraz. Ale wiem, że jest ci ciężko, że wojna dała ci się we znaki i że jesteś w gruncie rzeczy dobrym człowiekiem. Zaslługujesz na drugą szansę.

Ferenc marszczy brwi, jakby nie był pewien, czy powinien być urażony, czy wdzięczny. Decyduje się na to drugie.

- Dziękuję ci, Sari. Przepraszam. Nigdy więcej nie zrobię ci krzywdy.

Czy Sari mu wierzy? Sama nie wie, ale wierzy w siebie i jest pewna, że dotrzyma słowa. Jest dość silna, by go zostawić, jeśli Ferenc złamie obietnicę. To jej na razie wystarczy.

Rozdział 15

Wieczór zapada nad pusztą. Sari stoi przy kuchni w domu ojca, podgrzewając posiłek dla Ferenca, kiedy świat zaczyna wirować. W pierwszej chwili nie zwraca uwagi na tupot nóg na ścieżce - pewno ktoś biegnie z lasu do wioski na kolację - ale kroki nie oddalają się, tylko są coraz bliżej. Odstawiając ostrożnie garnek, Sari już wie: nie co się stanie, ale że stanie się coś złego. Odwraca się do Ferenca, który podnosi się zaniepokojony zza stołu.

- Kto to...?

- Pójdę zobaczyć - mówi Sari, zdziwiona własnym spokojem. Może to tylko Judit, może ktoś zachorował, może jednak wszystko będzie dobrze.

Nie, to Marco.

Stoi na progu z obłędem w oczach. Sari jakby wrosła w ziemię, nie może się ruszyć: to zbyt straszne, by działa się naprawdę.

- Idź stąd! - syczy głosem zmienionym przez strach.

Marco patrzy na nią z kamienną twarzą; nie słucha, tylko chwyta ją za rękę.

- Zmieniłem zdanie - mówi. Nie krzyczy, ale Sari wzdryga się na dźwięk jego głosu, bo za jej plecami siedzi Ferenc. - Nie mogę cię tu zostawić. Chodź ze mną. Nie zauważają, że mnie nie ma przez jakieś dwie godziny, przez ten czas uciekniemy dość daleko...

- Marco, czyś ty zwariował?

- Nie wiem. Wszystko mi jedno. Nie zostawię cię tu. Znasz dobrze pusztę, możemy się tam ukrywać przez parę dni, a potem pojedziemy do Budapesztu...

- Ale Ferenc... Ferenc już za nią stoi.

- Sari, kto to jest? - Milknie, widząc we frontowych drzwiach rosnącego włoskiego oficera, który trzyma za rękę jego narzeczoną, patrząc na nią płonącymi oczyma.

Umysł Ferenca pracuje wolno. Kiedy zaczyna rozważać to, co widzi, i wyciągać z tego oczywiste wnioski, Marco atakuje. Wzrost i moment zaskoczenia dają mu przewagę, jest przy tym wysportowany i naprawdę wściekły, rozciąga więc Ferenca na podłodze jednym potężnym ciosem, a potem przykłada, okładając go po twarzy, co brzmi, jakby zgniłe owoce spadały na ziemię.

Sari patrzy oniemiała na to, jak jej życie wali się w gruzy, widzi uniesioną pięść Marca umazaną krwią i to wyrywa ją z odrętwienia. Krzyczy, żeby natychmiast przestał, sama nie wie - po węgiersku czy po włosku, rzuca się i chwyta Marca za rękę uniesioną do następnego ciosu. Opór niemal wyrywa jej ramię ze stawu, ale Sari nie ustępuje i Marco odwraca się do niej, z twarzą dziwnie pobladłą i pustą.

Głęboko odetchnąwszy, Sari mówi czysto i wyraźnie po włosku:

- Wstawaj. Zostaw go.

Przez chwilę ma wrażenie, że Marco jej nie słyszy albo nie rozumie, ale powoli spada z niego nieruchoma maska. Nie spuszczając oczu z Sari, podnosi się na nogi i odstepuje od rozciągniętego na wznak Ferenc, który gwałtownym ruchem przewraca się na brzuch i gramoli na kolana. Krew cieknie mu z nosa, na twarzy już wykwitają śliwkowe siniaki. Podnosi rękę, otwiera usta i wypływa dwa zęby. Bez słowa rusza ku schodom i wbiega na górę.

- Musisz stąd odejść - mówi Sari do Marca, który patrzy na swoje pokrwawione ręce niewidzącym wzrokiem. - Musisz odejść - powtarza głośniejszym, nagłym tonem.

Sprawy przyjęły fatalny obrót i Sari nie wie, jak to naprawić, ale wie, że nie może nic zrobić, póki on tu będzie. A jego szalona propozycja, żeby uciekli razem... - cóż, Sari jest wzruszona i czuje ciepło w sercu, mimo okropności tego, co się dzieje, ale to niemożliwe i Marco musi zrozumieć, że to niemożliwe.

Słyszy kroki Ferenc na górze i popycha Marca do drzwi.

- Idź już. Dla naszego dobra.

- Nie mogę - odpowiada po prostu Marco.

A później wszystko dzieje się bardzo szybko. Słyszą dudniący odgłos - to Ferenc zbiega po schodach. Sari czuje go za plecami, coraz bliżej, potem ból rozsadza jej czaszkę, kiedy chwytą ją za włosy i owijają je sobie wokół pięści tak ciasno, że unosi jej podbródek i wygina kark. Widzi, jak znużenie na twarzy Marca ustępuje miejsca przerażeniu i wtedy zdaje sobie sprawę z zimnej, okrągłej lufy przyłożonej do skroni.

- Idziemy - warczy Ferenc przez zaciśnięte zęby. Sari czuje jego oddech na policzku. Marco go nie rozumie, ale kiedy Ferenc wrzeszczy: - Ruszcie się! - znaczenie jego słów staje się jasne.

Jak niezdarne zwierzę na czterech łapach Sari i Ferenc przesuwiają się w stronę drzwi, Marco o krok przed nimi, rzucając rozpaczliwe spojrzenia w kierunku dziewczyny. Schodzą, potykając się, po schodach ganku na srebrzystą trawę pokrytą rosą, idą w kierunku lasu.

A więc to koniec, myśli Sari. Ze zdumieniem odkrywa, że się nie boi. Zastanawia się, skąd Ferenc wziął broń. Zastanawia się, czy śmierć będzie bolała i czy Ferenc zastrzeli najpierw ją czy Marca. Patrzy na księżyc, biały i czysty nad czubkami drzew i z dziwnym ukojeniem myśli, że inni ludzie też patrzą na ten księżyc, nieświadomi nędznego, małego dramatu, który rozgrywa się w jej zakątku świata.

- Stój - mówi rozkazującym głosem Ferenc. Zatrzymują się.

Są w lesie; nie dość głęboko, by z dala nie migały światła wioski, ale dość, by nikt nie stanął im na drodze. Sari zna tu każde drzewo, każdy sękaty pień i każdą kępę paproci, stapa więc dość pewnie, ale ilekroć zerka na Marca, widzi jego oczami plątaninę drzew i niewytłumaczalne plamy ciemności; czuje jego czuciem nierówny grunt pod nogami; słyszy dziwne odgłosy, które ich otaczają. Marco, myśli, jakie to straszne i obce miejsce do umierania.

Ferenc nadal trzyma ją za włosy przy sobie, ale kiedy rozluźnia uścisk, Sari odwraca głowę i widzi w przelocie jego twarz - kredowobiałą w świetle księżycy i umazaną krwią. Jego oczy są puste i bez wyrazu jak srebrne blaszki, a usta skręcone w dziwnym grymasie, jakby zapomniał zmasać uśmiech. Sari wie teraz, jaka była głupia, sądząc, że przemówi mu do rozsądku, wierząc, że dotrzyma jakiegokolwiek obietnicy. Nie ma już dawnego Ferenc; jego przemiana zaczęła się podczas wojny i dopełniła w ostatnich tygodniach, kiedy na pozór był cichy i zrezygnowany. Mimo całej grozy swego położenia, kuli się w odruchu współczucia.

- Gziłeś się z moją narzeczoną - mówi Ferenc do Marca, tonem niemal łagodnym i przyjacielskim.

Marco marszczy brwi, przenosząc nierozumiejący wzrok z Ferenc na Sari, która tłumii odruch, żeby mu to przetłumaczyć - bo i po co? Księżyc błyska w lufie, kiedy Ferenc przesuwa pistolet i celuje w Marca. Ręka nawet mu nie drgnie.

- Uciekaj - mówi.

Marco nie rozumie i patrzy błagalnie na Sari. Ferenc szarpie ją za włosy.

- Powiedz mu - nakazuje.

- Chce, żebyś uciekał - mówi Sari po włosku. Z jej ust wydobywa się tylko szept, usta ma zdrętwiałe.

Marco nawet teraz nie może uwierzyć, że to wszystko prawda. Nic w jego uporządkowanym, cywilizowanym świecie nie przygotowało go na ten gwałtowny bieg wydarzeń. Rozkłada ręce i robi krok w kierunku Ferenc, jakby chciał zażegnać nieporozumienie przy stoliku karcianym, które łatwo wyjaśnić w kilku słowach.

- Jak sobie chcesz. - Ferenc wzrusza ramionami i uśmiecha się, przez pokrzwawione usta prześwitują czarne szpary.

I Sari widzi, że Marco pada. Przez ułamek sekundy sądzi, że musiał się potknąć, i dopiero wtedy słyszy strzał - suchy trzask, jakby ktoś nadepnął na gałązkę, tylko nieco głośniejszy - i spostrzega ciemną plamę na czole Marca. Nie czuje nic; niejasno zdaje sobie sprawę, że oszalała, i dziękuje za to Bogu. Tym bardziej że Ferenc rzuca ją jednym

pchnięciem na ziemię, podciąga jej spódnicę i gwałci brutalnie, bez słowa; Sari czuje tylko mokry zapach oślizgłych liści pod plecami, chwilę później przytępiony ból i pieczenie, kiedy Ferenc bije ją w twarz raz i drugi, a jej głowa przetacza się bezwładnie z boku na bok. Potem Ferenc osiąga rozkosz i dysząc jak pies, leży na niej, a ona patrzy nieruchomym wzrokiem na jakiś nierozpoznawalny kształt, który po chwili okazuje się nogą martwego Marca.

Po jej ciele rozlewa się nagły chłód; Ferenc podnosi się, ona leży nieruchomo.

- Wstawaj - mówi Ferenc. Sari się nie rusza. - Wstawaj - powtarza Ferenc, wymierzając jej kopniaka w żebra.

Sari wstaje. Gdzieś w głębi targają nią różne uczucia (gniew? żal? upokorzenie?) - ale w tej chwili nie może się im poddawać.

- Chodź. - Ferenc ciągnie ją za rękę.

Odchodzą od ciała, nad którym zamyka się ciemność, ale Sari jest wszystko jedno; Marca już nie ma, została tylko jego cielesna powłoka. Zastanawia się apatycznie, dokąd ją Ferenc bierze i czemu nie zabije jej tutaj, przy Marcu; potem widzi, że wyprowadza ją z lasu - ale nie w kierunku wioski ani domu jej ojca, tylko na szeroką połąć puszczy. Idą w stronę obozu, w stronę jego rodzinnego domu.

Gunther stoi na straży przy bramie. Ledwo rzuca na nich okiem.

- Chciałbym zamienić słówko - mówi Ferenc po niemiecku; jego niemiecki jest bardzo dobry, lepszy niż jej, niechętnie przyznaje Sari.

Gunther podnosi głowę, znudzona mina znika, kiedy widzi krew, szaleńczy błysk w oczach Ferenc'a i białą, stężałą twarz Sari. Sięga po broń, ale Ferenc jest szybki i błyskawicznie go powstrzymuje, chwytając ręką za nadgarstek.

- Nie, nie - mówi z pobłażaniem, jak do dziecka. - Nie przejmuj się. Jestem Ferenc Gazdag, to miejsce należy do mojej rodziny.

Gunther szeroko otwiera oczy. Trudno uwierzyć, by ten zakrwawiony, na wpół obłąkany nieszczęśnik pochodził z najbogatszej rodziny w wiosce, ale z drugiej strony, jego bezbłędny niemiecki i uprzejme maniery zdają się to potwierdzać.

- Pomyślałem sobie, że powinienem dać wam znać - ciągnie Ferenc tym samym swobodnym, przyjacielskim tonem - że jeden z waszych jeńców leży martwy w lesie. Gził się z moją narzeczoną, rozumiesz. Trzeba tam pójść i zabrać ciało. Gdyby ktoś pytał, jak to się stało, powiedzcie, że został zastrzelony podczas próby ucieczki.

Gunther otwiera szeroko usta, zamyka je i znów otwiera.

- Ale...

Ferenc kręci głową z lekkim uśmiechem.

- Nic nie mów. Moja rodzina użyczyła wam gospodarstwa w dobrej wierze. Wątpię, żeby moi rodzice... albo twoi przełożeni... ucieszyli się na wieść, jak się tu spisujecie, pozwalając żołnierzom wrogich wojsk spacerować sobie po wiosce i napastować nasze kobiety. Nie byłiby tym chyba zachwyceni, nie?

Gunther milczy z głupią miną, potem kręci powoli głową.

- Zostaniemy przy tym, co powiedziałem, tak? Doskonale. Jestem dumnym człowiekiem i nie chcę, żeby ludzie wiedzieli, jak się ta dziwka - Ferenc traci na chwilę opanowanie i szarpie Sari za ramię - jak się zabawiała.

Kiedy docierają z powrotem do domu - idą okrężną drogą, żeby nikt ich nie zobaczył - widzą migoczące w lesie światełka; Gunther wysłał ludzi po ciało Marca. Ferenc przez cały czas nie powiedział ani słowa i nie puścił jej ramienia, na którym z pewnością zostaną sine odciski jego palców.

Ferenc zamyka cicho drzwi i Sari w głębi duszy wie, że jego pozorny spokój powinien wzbudzić jej czujność, ale po prostu nie ma siły się tym przejąć. Jakby uleciało z niej życie i została tylko pusta, bezbarwna skorupa. Ferenc odwraca się od drzwi, znów z tym dziwnym uśmiechem, podchodzi do niej, podnosi rękę i bije ją w twarz. Wkłada w ten cios całą swoją siłę. Sari upada. Bicie trwa i trwa, a potem jest pustka i cisza. Ma wrażenie, że leci w przestrzeń, jakby dalej spadała.

Kiedy odzyskuje przytomność, leży na łóżku. Ferenc siedzi obok, przecierając jej spuchniętą twarz mokrą ścierką. Umył się już i przebrał, wygląda zwodniczo normalnie. Dotyka ją delikatnie i kiedy Sari otwiera oczy, nie przestaje przykładać jej szmatki, zmywając teraz krew z kącika ust.

Potem patrzy na nią uważnie i obdarza przyjacielskim uśmiechem.

- Ależ jesteś posiniaczona, Sari! Przez następnych parę dni będziesz wyglądać fatalnie, głupia. - Odgarnia jej włosy z czoła i Sari krzywi się, kiedy przesuwając palcem po rozcięciu na skroni. - Jak się czujesz?

Jak się czuje? Nie umiałaby odpowiedzieć.

- Dobrze - mówi.

- Mądra jesteś. - Ferenc znów się uśmiecha, zaglądając jej w oczy. - Musimy porozmawiać, Sari. Twoje życie bardzo się teraz zmieni. Chyba rozumiesz, że sama jesteś temu winna?

Sari milczy, on jednak nie czeka na odpowiedź.

- Od tej pory będziesz mieszkać tu ze mną. Powiedziałem już o tym Judit, nie była zadowolona, ale to mnie nie obchodzi. Głupia stara kwoka. Nie wolno ci wychodzić bez mojego pozwolenia, a będę ci pozwalał tylko iść na targ albo zrobić pranie nad rzeką. Nie ma mowy o żadnym leczeniu chorych. Może zbyt wiele ci zakazuję, ale trudno; musisz przyznać, że od tego zaczęły się nasze kłopoty, prawda? A gdyby ci przyszło do głowy uciekać, to lepiej tego nie rób. Moja rodzina ma przyjaciół we wszystkich okolicznych wioskach. Jeśli odejdziesz, pomogą mi cię znaleźć. I znajdę cię, Sari, nie spocznę, póki cię nie znajdę, a wtedy cię zabiję. Rozumiesz?

Sari kiwa tępo głową, a on się uśmiecha, najwyraźniej zadowolony.

- Bardzo mądra jesteś. Taka właśnie masz być. Przykro mi, że muszę być surowy, ale rozumiesz, że nie zniosę takiego zachowania?

Wielu mężczyzn nie przebaczyłoby ci tak prędko, ale ja cię kocham, Sari, i jeśli będziesz się dobrze sprawować, nadal gotów jestem się z tobą ożenić, po tym wszystkim, co zrobiłaś. Sama wiesz, że mało kto postąpiłby tak szlachetnie. Naprawdę, powinnaś być mi wdzięczna. - Twarz nagle mu tężeje. - Podziękuj mi, Sari.

- Dziękuję - szepcze Sari ochryplym, łamiącym się głosem.

- Powiedz: dziękuję, Ferenc.

- Dziękuję, Ferenc.

Klaszcze w dłonie z rozbawieniem.

- Świetnie! Nie ma za co, Sari. A teraz... - Ziewa sztucznie. - Cóż, to był męczący dzień i pora iść spać, nie sądzisz?

Nie czekając na odpowiedź, wstaje, zdejmując koszulę i spodnie; na jego ciele widać ślady po razach, jakie zadał mu Marco - wydaje się, że to było sto lat temu. Sari zamyka oczy. Łóżko ugina się pod jego ciężarem, gaśnie zdmuchnięta lampa.

- Dobranoc, Sari.

Po chwili Ferenc już chrapie u jej boku. Sari patrzy w sufit, zastanawiając się, czy tak wygląda śmierć. W końcu nie jest tak daleko od Marca.

Sari przywyka do bicia zadziwiająco szybko. Co wieczór robi w myślach rachunek sumienia, czym tym razem rozgniewała Ferencę: przypaloną kolacją, odezwaniami się nie w porę, zbyt głośnym tupaniem - ale choćby zachowywała najwyższą ostrożność, dzień w dzień daje jakiś nowy powód, żeby go urazić, co wymaga kary. Ferenc tego nie chce, oczywiście, że nie; powtarza, że ją kocha, czemu więc miałby sprawiać jej ból? Ale musi - dla jej własnego dobra.

Sari ani w to wierzy, ani nie wierzy. Nic do niej nie dociera, nic jej nie dotyka. Ukryła przed światem wszystkie niebezpieczne i bolesne zakamarki duszy jak ktoś, kto gasi świeczkę; odesłała gdzieś ważne części siebie, zostawiając tylko te, które spełniają życiowe zadania. Nie myśli o przyszłości, zapomniała o przeszłości, żyje w wiecznej terażniejszości. Czasami zastanawia się, dlaczego Ferenc nie zabił jej wraz z Markiem tamtej nocy; a potem myśli, że w gruncie rzeczy to zrobił.

Raz spotyka Judit nad rzeką - i to jest przykre. Ferenc zwykle uważa, żeby nie bić jej w twarz w te dni, kiedy Sari wychodzi do ludzi, ale zeszłego wieczoru rozbił jej nos i jakimś sposobem krew opryskała stos świeżych prześcieradeł, które teraz trzeba uprać. Rozpuszczone włosy ukrywają obrażenia - głównie wielką śliwkę pod okiem - i szczęśliwie udaje jej się zrobić pranie, nie patrząc na nikogo. Właśnie zbiera się do odejścia, kiedy ktoś wołają po imieniu. Palce Judit jak szpony zaciskają się na jej nadgarstku.

Nigdy nie była bojaźliwa, tym razem jednak upuszcza tobolek, co uniemożliwia jej ucieczkę. Nie patrzy na Judit, przykłęka i zaczyna zbierać prześcieradła, lecz ku jej zgrozie Judit kuca obok niej, podnosi jej twarz. Sari patrzy z uporem w ziemię, ale czuje, jak oblewa ją rumieniec; wie, że Judit doświadczonej spojrzeniem ogarnia nowy, rozległy siniak, ciemne pozostałości starych, rozcięcia i zadrapania.

- Sari - wzdycha.

- Nic mi nie jest - oświadcza szybko Sari, wrywa jej resztę prześcieradeł i zrywa się na nogi.

Nie może znieść widoku jej twarzy. Nigdy nie widziała, żeby Judit była tak przybita i gdzieś, w głębi jej serca, zaczyna się tlić jakieś wzruszenie, na co nie może sobie pozwolić.

- W razie czego wiesz, gdzie mieszkam - mówi szorstko Judit, ale Sari już się odwróciła i stanowczym krokiem zmierza w stronę domu.

Rozdział 16

Pierwsze mdłości nie budzą jej podejrzeń. Ferenc kopnął ją w brzuch poprzedniego dnia i kiedy nazajutrz rano wymiotuje do miski, bierze to za wynik obrażeń.

Następnym razem trudniej nad tym przejść do porządku dziennego. Już świta jej prawda, ale odsuwają od siebie; nie może teraz o tym myśleć. Pilnuje się, by nie wymiotować przy Ferencu i trzymać się z dala od jedzenia, którego zapach ją mdli. Kiedy przychodzi czas miesiączki, obwiązuje się jak zwykle szmatami, a Ferenc o nic nie pyta - w końcu to nie on zajmuje się praniem, skąd więc ma wiedzieć, czy pod koniec dnia szmaty są czyste, czy zakrwawione. To tylko nerwy, mówi sobie Sari. Wielu kobietom spóźnia się miesiączka, kiedy mają zmartwienia albo mało jedzą - a u niej to i jedno, i drugie. Wkrótce wszystko wróci do normy.

Kilka nocy później leżą w łóżku. Ferenc właśnie skończył z nią współżyć i Sari jest naga, wyjątkowo - bo często Ferenc zadowala się tylko podciągnięciem koszuli. Kiedy schodzi z niej, patrzy na nią dziwnie.

- Wyglądasz inaczej - mówi ze zwięzonymi oczami, jakby ją oskarżał.

- Dlaczego? - pyta Sari, a on kładzie jej rękę na piersi.

- Tutaj.

Sari podciera się na łokciach i spogląda na siebie. Jej piersi są niewątpliwie większe, a sutki bardziej sterczące i ciemniejsze. Nie zapomniała o tym, czego się nauczyła przez cztery lata pracy z Judit i znów coś kołacze jej w głowie, ale nie jest gotowa przyjąć tej wiedzy.

- Chyba w końcu zaczęłam nabierać ciała - mówi.

Ferenc patrzy na nią z powątpiewaniem, ale nic nie odpowiada. Dopiero dwa tygodnie później wraca do sprawy. Sari stoi przed lustrem, szczotkując włosy przed snem; on podchodzi z tyłu i kładzie jej rękę na brzuchu, nieco zaokrąglonym pod wcięciem w pasie.

- Jesteś w ciąży - mówi.

- Tak - odpowiada Sari.

Odkłada szczotkę i odwraca się do niego; Ferenc gryzie dolną wargę, zaciska ręce w pięści.

- To moje? - pyta.

Sari wie, że powinna skłamać. Powinna powiedzieć mu to, co chce usłyszeć. Ferenc nie zna kobiet i to pozwoli mu uwierzyć, że Sari ma jakiś tajemny sposób, by wiedzieć, kto jest ojcem dziecka - uwierzyłby jej, bo chce wierzyć. Ale Sari mówi mu prawdę.

- Nie wiem - wyznaje szczerze.

Jest przygotowana na cios, który następuje i zwała ją na ziemię. Jest przygotowana na kopniaka w zębra, na kopniaka w żołądek.

Ale nie jest przygotowana na gwałtowną wściekłość, jaką budzi w niej ten kopniak. Przeszywa ją niczym błyskawica, z szybkością, od której kręci się w głowie. Od tygodni nie czuła nic i może teraz powinna przywykać stopniowo, zaczynając od jakichś łagodniejszych doznań, jak na przykład troska czy współczucie. W jej stanie apatii ta mordercza furia jest jak obfity posiłek podany człowiekowi zagłodzonemu. Ogarnia ją szal. Nie ma już Sari-ducha, wróciła dawna, pełnokrwista Sari, a wraz z nią pierwotny instynkt, by chronić to zwinięte w niej maleńkie życie, które Ferenc chce zniszczyć. Kiedy więc robi zamach nogą, by wymierzyć następnego kopniaka, Sari przetacza się po podłodze, poza jego zasięg, i Ferenc młóci komicznie puste powietrze. To daje jej czas, żeby się zerwać z podłogi. Mężczyzna chwieje się, próbuje złapać równowagę, a ona szybko rozgląda się za czymś, czym będzie się mogła bronić. Stoi między Ferencem a lustrem i niemal odruchowo rozbija je łokciem. Podnosi ostry, spiczasty kawałek i nie bacząc na to, że tnie jej palce, wyciąga przed siebie.

- Jeśli podejdziesz bliżej, zabiję cię - mówi. Jej głos jest chłodny i rzeczowy. - Możesz wyżywać się na mnie ile chcesz, ale nie skrzywdzisz dziecka.

Ferenc przenosi wzrok z jej twarzy na klin szkła i z powrotem. Sari wie, że zapewne bez trudu by ją pokonał. Najsilniejszą bronią jest teraz jego zdumienie, ale nie wiadomo, jak szybko Ferenc się otrząśnie. Robi krok w jego kierunku, a on się cofa, siadając na łóżku.

- Wynoś się - chrypi. - Wynoś. I Sari wychodzi.

Biegnie i z każdym krokiem odżywają w niej uczucia, które zdławiła w sobie parę tygodni temu: rozpacz z powodu śmierci Marca - biedny, dzielny, naiwny, głupi Marco - ból, upokorzenie, złość na samą siebie. Jak mogła do tego dopuścić? To przecież nie do pomyślenia. Ona, która zawsze obwiniała się raczej za nadmiar dumy niż za jej brak - jak mogła pozwolić komuś tak się traktować? Jakby jej prawdziwe „ja” wyjechało na wakacje i teraz z przerażeniem patrzyło na szkody, jakie zaszły podczas jego nieobecności. Wszystko już dobrze, mówi do swojego smutnego, skulonego cienia „ja”, które zostało na miejscu, już wróciłam. Teraz wszystko będzie dobrze.

Mimo późnej nocy Judit otwiera zdumiewająco szybko - może to nawyk wynikający z konieczności udzielania pomocy w nagłych przypadkach, a może oczekiwała tego pukania, odkąd spotkała Sari nad rzeką. Nie okazuje zdziwienia, tylko cofa się i wpuszcza ją do środka. Sari rozgląda się po znajomym wnętrzu, po cieplej, wytartej drewnianej podłodze, wygodnych sfatygowanych meblach i uderzają kontrast między tym, jaka była, stojąc w tym

miejscu po raz ostatni - zmartwiona, ale silna, inteligentna, niezależna - a tym, jak musi wyglądać teraz, w podartej koszuli nocnej, boso, potargana, posiniaczona, z kawałkiem lustra zaciśniętym w pokrzwawionych palcach.

Judit bez słowa wyciąga dłoń i kładzie ją na wypukłym brzuchu Sari - wie, nie na darmo opiekuje się od zawsze brzemiennymi kobietami - a Sari przenika lodowaty dreszcz, kiedy dopiero teraz czuje wilgoć między udami i zauważa złowrogą plamę na przodzie koszuli.

- Kopnął mnie - mówi. Jej głos jest ledwo słyszalny. - Chciał je zabić.

Zaczyna płakać. Nie pamięta, kiedy ostatni raz płakała - to bolesne, rozdzierające uczucie. Zakrywa rękami twarz i szlocha nad Markiem, nad dzieckiem, nad sobą, a nawet trochę nad człowiekiem, jakim Ferenc kiedyś był. Judit przytulają mocno, a Sari, nieprzyzwyczajona do podobnych gestów, przestaje płakać. Znow ogarnia ją przejmujący smutek i paląca się w głębi wściekłość.

W końcu podnosi głowę. Judit prowadzi ją do sypialni i Sari bezwolnie kładzie się na łóżku, podnosi koszulę i rozkłada nogi. Wiele razy widziała, jak Judit to robi, ale wciąż nie może się nadziwić delikatności, z jaką ją bada.

Po kilku pełnych niepokoju chwilach Judit wyjmuję rękę.

- Myślę, że wszystko będzie dobrze - mówi. - To był mocny kopniak, ale ty jesteś silna. Nadal jesteś w ciąży.

- A ta krew...?

- Kobiety w ciąży czasem krwawią, sama o tym wiesz, i często nic to nie znaczy. Musisz na siebie uważać przez kilka dni, ale wszystko powinno być dobrze.

Sari kiwa głową, zalewa ją uczucie ulgi. To dziwne, jak bardzo pragnie tego dziecka, jak szybko to pragnienie nią zawładnęło. Dziecko stało się rzeczywistością dopiero wtedy, gdy noga Ferenc'a sięgnęła jej brzucha - kiedy? pół godziny temu? Ale już ma decydujący wpływ na jej życie i staje się kimś najważniejszym na świecie.

- Wiesz, czyje to dziecko? - pyta Judit.

- Nie.

- A czy to ma jakieś znaczenie?

Sari po raz drugi kręci przecząco głową, zdumiona, że to prawda. Chroniłaby dziecko równie zaciekle, gdyby jego ojcem był Ferenc, podobnie zresztą kiedy wyobrażałaby sobie, że jest nim Marco. To jej dziecko - tylko to się liczy.

- A Ferenc? - pyta Judit.

Sari nie jest pewna, czego dotyczy to pytanie, ale odpowiedź i tak może być jedna.

- Zabiję go. Zrobię to, czy mi pomożesz, czy nie; ale jeśli mi pomożesz, spróbuję uniknąć kary.

Judit milczy przez chwilę, a potem kiwa głową.

- Oczywiście że ci pomogę, jeśli tylko będę mogła. Ale najpierw musisz się wyspać. Porozmawiamy rano.

- Nie myśl, że tak mówię, bo jestem zmęczona i zła, a po spaniu zmienię zdanie. Mylisz się. - Głos Sari jest chłodny i ostry.

Judit kręci głową.

- Wcale tak nie myślę. Ale jeśli mamy to zrobić jak należy, musisz wysłuchać mnie uważnie, a w tej chwili nie potrafiłabyś uważać, prawda?

Sari wie, że Judit ma rację, ale nie chce ustąpić.

- I tak nie zasnę. Jestem za bardzo roztrzęsiona.

- Spróbuj. Jeśli sen cię nie zmorzy w ciągu pół godziny, dam ci coś na uspokojenie. - Sari nadal nie wygląda na przekonaną i Judit dodaje: - Zrób to dla dziecka, potrzebuje wypoczynku.

To przesądza sprawę. Sari kładzie się i wierci pod kocami, a Judit przykręca lampę. Zostaje tylko cień światła migający na ścianach. Sari zamyka oczy, pewna, że nie zmruży oka, ale w ciągu paru minut zmęczenie bierze górę i Sari zapada w ciemność.

Kiedy się budzi, jest bardzo wcześnie. Noc jeszcze nie odeszła, ale za oknem widać różowy poblask. Nie spała długo, czuje się jednak wypoczęta i pełna energii. Właściwie była pogrążona we śnie przez kilka tygodni, nic więc dziwnego, że teraz wystarczyło jej parę godzin.

Nie zastanawia się, skąd się tu wzięła. Budzi się z pełną świadomością tego, co się wydarzyło wieczorem i z kojącą jasnością tego, co ma zrobić. Siada na łóżku i sprawdza szybko, czy wszystko w porządku; z ulgą widzi, że nie ma śladu krwi na udach. Co więcej, nachodzą ją poranne mdłości, co przyjmuje z wyjątkową radością. Przynajmniej nadal czuje się w ciąży.

Judit siedzi przy stole, ubrana w to samo ubranie, co wczoraj. Nie kładła się spać, ma poszarzałą twarz. Sari czuje się winna - w wieku Judit nikomu nie służą takie wydarzenia, jak zbiegła kobieta i planowanie zabójstwa - lecz ciotka mimo zmęczenia wita ją ożywionym uśmiechem, jak zawsze.

- Jak się czujesz?

- Lepiej - mówi Sari, siadając ostrożnie. - Krwawienie ustało i chyba wszystko jest w porządku... w każdym razie pod tym względem. Dziękuję.

- Dobrze już, dobrze. - Judit macha ręką. - Nie ma o czym mówić. A jeśli chodzi o tamto... Pamiętasz, co wczoraj powiedziałaś?

Sari kiwa głową.

- I nadal to podtrzymuję. Ale nie mam prawa prosić cię o pomoc. Zrozumiem, jeśli odmówisz.

Judit wzrusza ramionami.

- Masz rację, łatwiej się wywiniesz, jeśli ci pomogę. I chętnie to zrobię. Wiesz... - dodaje w zadumie - dziwna sprawa, kiedy człowiek się starzeje, coraz mniej go obchodzą takie rzeczy jak sumienie. - I Judit wydaje z siebie chichot czarownicy. - A może tylko mnie niewiele obchodzi. Nigdy nie przejmowałam się zbytnio nieśmiertelnością duszy, to i na starość się nie zmieniłam.

Wstaje i bierze miseczkę z kredensu, stawia ją na stole przed Sari. Sari zagląda do środka i widzi mały, równo usypany, okrągły stożek proszku.

- Co to jest? Judit podnosi rękę.

- Zanim do tego przejdziemy, muszę mieć pewność, że chcesz to zrobić.

- To jedyna rzecz, jaka mi pozostaje! - oświadcza stanowczo Sari, ale Judit kręci głową.

- Wiesz, że to do mnie nie przemawia. Pamiętasz, co ci powiedziałam o wyborze? Może to najlepszy wybór, ale muszę być pewna, że przynajmniej wzięłaś pod uwagę inne. Czy myślałaś o tym, żeby go porzucić?

- Tej nocy, kiedy zabił Marca... wiesz, że go zabił, prawda...?

- Wiem, że Marco nie żyje. W obozie opowiadają różne rzeczy, ale domyśliłam się, co się stało. To straszne.

- Tej nocy powiedział, że jeśli ucieknę, znajomi jego rodziny w okolicznych wioskach pomogą mnie szukać. Powiedział, że nie spocznie, póki mnie nie znajdzie, a wtedy mnie zabije. - Judit patrzy na nią bez słowa. - Wierzę mu, Judit. Gdyby nie dziecko, może bym spróbowała, ale teraz... Nie mogę ryzykować. Nie mogę.

Judit wzrusza ramionami.

- Dobrze. Wiem też, że nie rozmawiałybyśmy teraz, gdybyś postanowiła jednak z nim zostać, mam rację?

- Zabiłby dziecko - mówi Sari beznamiętnie. - Nie mogę mu na to pozwolić.

- No tak. Czyli zostaje nam tylko to. - Stuka palcami wymownie o miseczkę.

- A co to jest...?

- Arsenik. Dość łatwo go zdobyć. Trzeba tylko wygotować kilka tych pasków... - wskazuje na postrzępione, stare lepy na muchy powiewające smętnie w oknach - i już. Uważam, że to bardzo skuteczne. Przygotowałam to kilka tygodni temu... Miałam przeczucie, że może się przydać.

Sari mimo woli śmieje się.

- Oczekiwałam po tobie czegoś... bardziej tajemniczego. Judit też się śmieje.

- Nie byłabym tym, kim jestem, gdybym była subtelna i tajemnicza. Przecież chcemy zabić człowieka, a nie dać mu środków na wymioty. Ten proszek powinien załatwić sprawę. - Prycha ze złością. - Chyba nie spodziewałaś się, że rzucę jakąś prostą, przyjemną klątwę, która pozwoli ci zachować czyste ręce?

Sari czerwieni się. Nie chce przyznać, że trochę na to liczyła, a Judit, jak zawsze, przejrzała ją na wylot.

- Sari! Byłaś ze mną przez cztery lata! Myślałam, że masz więcej oleju w głowie. Nie jesteś zwykłą prostą dziewczuchą z okolicznej wioski...

Przy tych słowach pamięć Sari ożywa. Powraca do niej wspomnienie jednego z pierwszych wieczorów po przeprowadzce, kiedy w półświecie kuchni zobaczyła skurczoną twarz jakiejś kobiety rozmawiającej z Judit - i nagle wie z całkowitą pewnością, że dla Judit takie sprawy to nie pierwszorzędne.

Patrzają na siebie przez długą chwilę. Serce Sari bije jak szalone, ale Judit jest spokojna jak zawsze; obserwuje ją bystrymi, czujnymi oczami. Sari oddycha głęboko.

- Czy...

- Nie pytaj, jeśli nie chcesz znać prawdy - przerywa jej łagodnie Judit.

Znów zapada cisza.

- Dobrze - mówi Sari, patrząc na niewinnie wyglądającą miskę.

Czuje poniekąd ulgę - nie jest bojaźliwa, ale myśl, że ma zabić człowieka, trochę ją przeraża. Skoro żadna szybka i skuteczna klątwa nie wchodzi w rachubę, bo Judit najwyraźniej jej nie zna, trucizna jest o wiele łatwiejsza do przyjęcia niż inne nieprzyjemne i bezpośrednie sposoby, które, jak się obawiała, zaproponuje Judit. Miała przed oczami rozmaite okropne wizje, jak ćwiartuje Ferenc na kawałki i zakopuje w lesie albo spycha ze schodów. Trucizna dosypana do posiłku, po którym Ferenc zachoruje i umrze, zostawi krew na rękach tylko w jej duszy. Nic trudnego.

- Jak mam to zrobić? - pyta.

- Nie możesz uśmiercić go od razu. To musi wyglądać na śmierć naturalną, spowodowaną chorobą. Wiem, wiem... - widzi, że Sari zaczyna protestować - chcesz skończyć z nim jak najszybciej, boisz się, że znów cię uderzy, ale wierz mi, znam mężczyzn. Przy pierwszych objawach choroby położy się do łóżka i będzie wymagał opieki. Wystarczy, że będziesz miła, a zaręczam, nie podniesie na ciebie ręki. Poza tym masz szczęście. Pamiętasz, jak mówiłaś po jego powrocie, że Ferenc ma kłopoty z żołądkiem, może z nerwów albo gorączki, której się nabawił w okopach? Sari marszczy brwi.

- No tak! - wykrzykuje.

Przypomina sobie tę rozmowę. Mówiła to do Judit w kuchni, cicho i na boku, ale Matild Nagy, która siedziała przy stole, czekając na lekarstwo na ból głowy, pożegnała ją potem przymilnie: „Pozdrów ode mnie Ferenca. Mam nadzieję, że poczuje się lepiej”.

- Pamiętasz? - nalega Judit. - To dobrze. To powinno uspić podejrzenia. Dobrze się też złożyło, że Ferenc prawie nie wychodził z domu, odkąd wrócił. Możemy dać ludziom do zrozumienia, że był chory. A ty też się nie pokazywałaś, bo musiałaś się nim opiekować. - Wzrusza ramionami. - Czy w to uwierzą, nie wiem. Od śmierci Marca krążą różne plotki; wiesz, jak to jest. Rzecz w tym, że to tylko plotki i nikt naprawdę nic nie wie. Jeśli twoja opowieść będzie się trzymać kupy... może nie wszyscy ci uwierzą, ale nie będą się mieli do czego przyczepić, a tylko o to chodzi.

- To bardzo niebezpieczne - zauważa Sari.

- Bo to jest niebezpieczne! Chcesz zabić człowieka, a nie ma na to całkiem bezpiecznego sposobu. Nie obejdziesz się bez ryzyka, ale przy dużej ostrożności i dobrym planie możemy zmniejszyć niebezpieczeństwo. Kilka rzeczy działa na twoją korzyść. Pamiętaj o tym, co myślą tutejsze kobiety.

- Jak to?

- Po pierwsze, jesteś w ciąży, to wkrótce będzie widać. Która zdrowa na umyśle kobieta zabijałaby narzeczonego, będąc w ciąży? Będziesz musiała sama wychowywać dziecko, bo żaden inny mężczyzna nie zechce cię z cudzym dzieckiem, zwłaszcza że nie byłaś mężatką. Nie najlepiej to świadczy o twoim prowadzeniu się, Sari - dodaje Judit kpiąco. - Po drugie, jest jeszcze sprawa majątku. Ferenc jest bogaty, przynajmniej jego rodzina jest bogata, ale ty nie zostałam nawet jego żoną i nie będziesz miała prawa do spadku, kiedy on umrze. Każda rozsądna kobieta, nosząca się z zamiarem morderstwa, poczekalaby kilka miesięcy dłużej i zabiła go po ślubie, żeby dostać schedę. W oczach wioski po śmierci Ferenca znajdziesz się w wyjątkowo złej sytuacji: w ciąży, bez grosza i z zepsutą reputacją. Wszystko to będzie świadczyć na twoją korzyść.

Sari przyznaje, że te argumenty są rozsądne. W ich planie jest mnóstwo braków i nie każdy da się załatać, istnieje jednak nadzieja, że się im powiedzie. Będzie to wymagało nieco sprytu i odrobiny szczęścia, ale wszystko może się udać.

- Dobrze. To co mam robić?

- Dosypuj mu trochę proszku do każdego posiłku. Ferenc zacznie mieć kłopoty z żołądkiem. Musisz przychodzić do mnie częściej, najlepiej, kiedy ktoś tu będzie, i skarżyć się na to, że jego zdrowie się pogarsza. Będę ci dawać różne mikstury, które nic mu nie pomogą, ale ludzie zaczną plotkować. Będziesz też musiała napisać do jego rodziców... Ferenc pisze do nich?

- Od czasu do czasu. Za to oni często do niego piszą, chyba chcą, żeby przyjechał do Budapesztu i pomógł ojcu, ale on rzadko im odpisuje. Widziałam kiedyś jego list, nic w nim nie było, wieści o pogodzie i nic poza tym.

- Tym lepiej. Wobec tego będziesz musiała do nich napisać i powiadomić ich, że Ferenc jest chory, że pielęgnujesz go, jak umiesz, ale jest coraz gorzej.

Sari ma wątpliwości.

- Wiesz przecież, czym się to skończy? Zmuszą go, żeby pojechał do lekarza w Varos. Albo przyślą lekarza do nas. Stać ich na to, mają dość pieniędzy.

- Trzeba to zrećznie przeprowadzić. Kiedy twój list dotrze do Budapesztu i zaczną się zastanawiać, co robić, powinno być za późno. Ferenc musi już nie żyć i żaden lekarz nie będzie mu potrzebny.

Sari wzdryga się lekko. Judit mówi tak bez ogródek, że wszystko staje się przeraźliwie rzeczywiste. Chyba robi to specjalnie, żeby musiała spojrzeć prawdzie w oczy, żeby zrozumiała, co wyniknie z jej działań.

- Możliwe - ciągnie Judit z namysłem - że rodzice Ferencza zażądadają sekcji zwłok, nie zadowolą się aktem zgonu, który wystawiam jako akuszerka. Nie bardzo wiem, jak temu zaradzić. Jeśli lekarz go rozetnie, znajdzie prawdziwą przyczynę śmierci. Możemy się tylko postarać, żeby nie nabrali podejrzeń. Może nie myślą o tobie dobrze, ale nie mają cię przecież za zbrodniarkę. Nic nie będzie wskazywać na twoją winę, nie miałaś powodu. A teraz przesypię ci ten proszek do butelki. Wiesz, gdzie ją ukryć?

- Zakopię ją w lesie. Nikt niczego nie znajdzie.

- To niezły pomysł. Tylko jej nie zgub. Zawsze mogę ci zrobić następną porcję, ale wolałabym, żeby trucizna nie trafiła w niepowołane ręce. A teraz - Judit patrzy przez okno na złocące się niebo - idź już do domu. Powinnaś wrócić, zanim Ferenc wstanie. - Jej uśmiech budzi dreszcz. - Możesz przygotować mu smaczne, ciepłe śniadanie.

Rozdział 17

Sari wślizguje się do domu na palcach - Ferenc ma mocny sen, ale woli go nie budzić. Musi mieć trochę czasu, żeby pomyśleć.

Podobnie jak Judit, nigdy nie troszczyła się o nieśmiertelną duszę. Przykładem ojca, czuła wobec Kościoła tylko pewien szacunek - i to może bardziej dla władzy, jaką sprawuje nad wiernymi, niż wartości duchowych, jakie przekazuje. Cztery lata z Judit nie zmieniły jej podejścia. Judit gardzi Kościołem i głoszonymi przez niego zasadami.

- Nie szanuję niczego - powtarza przy każdej okazji - co ogranicza działania człowieka. Jesteśmy na tym świecie krótko i musimy wykorzystać wszystkie możliwości, jakie nam daje życie.

Sari zgadza się z nią, bo sama niewiele dba o religię, nie jest nawet pewna, czy wierzy w Boga, nie mówiąc już o piekle, które zawsze wydawało jej się zbyt łatwym wytłumaczeniem wszelkich nieprawości. Religia jest dla niej rzeczą nieistotną.

Jej praca polega jednak na sprowadzaniu życia na świat i na podtrzymywaniu życia; sama myśl, żeby je odbierać, jest świętokradztwem. Teraz mówi sobie, że jedyni ludzie, za których jest naprawdę odpowiedzialna, to ona i jej nienarodzone dziecko - nie jest jej rzeczą chronić Ferencę, musi tylko chronić siebie przed nim. On jest silniejszy, lecz ona też ma swoje sposoby. To równa walka, możliwe, że ją przegra, ale się nie podda - musi przynajmniej spróbować. Słyszała o przemożnym, ślepym instynkcie opiekuńczym, jaki budzi się w kobietach, które zostają matkami, chociaż do tej chwili w to nie wierzyła. Ale to coś więcej - nikt nie wie, jaki jest silny ani jaki samolubny, dopóki nie zostanie postawiony pod murem.

Godzinę później słyszy kroki Ferencę na schodach. Właśnie kończy mu przygotowywać śniadanie. Dodała już odrobinę tego, co z wisielczym humorem nazwała „specjalną przyprawą”. Niewielka ilość proszku, zawinięta w chusteczkę, spoczywa bezpiecznie w czubku buta. Reszta jest zakopana między korzeniami drzewa o kilka kroków od domu; nacięła znak na pniu, żeby trafić, gdy przyjdzie jej uzupełnić zapasy.

- A więc wróciłeś - odzywa się Ferenc, głosem szorstkim i zachrypniętym od snu.

Przemyślała starannie, jak się ma przy nim zachowywać. Nie może dać mu poznać, że się zmieniła i nie jest już tą zahukaną, potulną kobietą z ostatnich tygodni. Nie będzie jej łatwo wytłumaczyć się i usprawiedliwić swój postępek z poprzedniego wieczoru, ale nie zaszkodzi zdać się na jego łaskę; może mu to pochlebić i skłonić do wybaczenia.

- Przepraszam za to, co wczoraj zrobiłam - mówi; ciche mamrotanie wydaje jej się teraz jakimś obcym ciałem na języku. - Nie wiem, co mnie naszło. Obiecuję, to się nie powtórzy.

Ferenc patrzy na nią z namysłem, wyraźnie zastanawiając się, czy nie przydałoby się dać jej jakiejś nauczki na przyszłość. Sari widzi to i szybko dodaje:

- Możesz być na mnie zły. Nie wiem, czemu się tak zachowałam, ale czasem kobiety w... w tym stanie... robią różne rzeczy, nie myślą rozsądnie. To jedyny powód, jaki mi przychodzi do głowy.

Zapada chwila niepokojącej ciszy, potem jego twarz przełamuje rysa uśmiechu. Sari ogarnia poczucie ulgi. Wiedziała, że udawanie głupiej, skołowanej kobiety przyniesie dobry skutek.

- Przebaczam ci - oświadcza Ferenc wielkodusznie. - Poszłaś w nocy do Judit?

- Tak. Chciałam sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- No i co? Wszystko w porządku?

- Ze mną tak - odpowiada Sari.

Chce mu zasugerować, że dziecko nie żyje - przy pewnej dozie szczęścia Ferenc będzie już w ziemi (przestała się wzdrygać na tę myśl), kiedy jej ciąża stanie się widoczna.

- Aha... - Ferenc marszczy brwi, rozumie. - Szkoda, jeśli cię to zmartwiło, ale z pewnością mnie rozumiesz. Będziemy mieć własne dzieci, oczywiście, ale tamto dziecko - twarz wykrzywia mu grymas wstrętu - tamtego dziecka nie byłbym w stanie znieść pod swoim dachem. A poza tym - ciągnie niemal radośnie - nie jesteśmy po ślubie! Mamy mnóstwo czasu na dzieci w przyszłości.

Sari zmusza się do uśmiechu, wie, że to dla jej dobra, ale nienawidzi go z całego serca. To dziwne, że mógł ją obrażać i bić, ile wlezie, a dopiero gdy zagroził dziecku, jest gotowa rozerwać mu gardło gołymi rękami.

Nieświadomy wiszącego nad nim niebezpieczeństwa Ferenc siada przy stole. Sari stawia przed nim talerz.

- Proszę bardzo... - Stara się być przymilna. - Śniadanie!

Jest czwarta po południu, a Ferenc nadal chodzi sobie cały i zdrow po domu, silny jak byk. Sari zaczyna się denerwować. Judit nie umiała podać jej dokładnego dawkowania („Przecież nie rozdaję tego codziennie” - oświadczyła, choć Sari nie do końca wierzy, że jest tak niedoświadczona, za jaką chciałaby uchodzić). Powiedziała tylko, żeby zacząć od małej dawki i stopniowo ją zwiększać. Sari wyrzuca sobie, że była zbyt ostrożna. Do wieczornego

posiłku hojniej dosypuje „przyprawy”. Ferenc popłukuje wszystko butelką domowego wina i przed jedenastą smacznie chrapie. Stropiona tym głębokim i spokojnym snem, ale nie tracąc nadziei na pomyślniejszy rozwój wypadków, Sari kładzie się obok niego o północy.

Budzi się ze strachem. Dzieje się coś złego, co wymaga jej udziału. Dopiero po chwili przypomina sobie, że to, co słyszy, nie oznacza, że jest źle, przeciwnie: jest dobrze. Ferenc wierci się i jęczy na materacu.

- Co ci się stało?

Ferenc dygocze i charczy, Sari sięga po zapałki i zapala lampę przy łóżku. W przyćmionym świetle widać, że jest spocony i twarz ma zielonkawą, wygląda fatalnie, ale - jak Sari z zadowoleniem stwierdza - niczym się nie różni od innych chorych na żołądek. Bała się z jakiegoś powodu, że fakt podania mu trucizny będzie natychmiast widoczny, wypisany na czole. Czuje ulgę, że tak nie jest.

- Mój brzuch - jęczy Ferenc. - Znow mnie boli, a miałem nadzieję, że mi przeszło.

Opiekuj się nim, słyszy Sari głos Judit. Pochyliła się nad nim i kładzie mu rękę na chłodnym czole, przybierając wyraz współczucia.

- Masz gorączkę - kłamie jak z nut. - Na pewno wróciła choroba, której się nabawiłeś na froncie. Przyniosę ci coś, co ci ulży.

Wychodzi z pokoju i zbiega po schodach; W kuchni zgina się wpół, nie z bólu, lecz z radości; gryzie się w nadgarstki, żeby nie wybuchnąć histerycznym śmiechem. Trucizna działa! To przerażające i zarazem cudowne, teraz musi tylko być bardzo, bardzo ostrożna. Nachodzą ją tysiące wątpliwości, których dotąd nie brała pod uwagę. A jeśli Ferenc zechce pojechać do lekarza w Varos? Nie pomyślała o tym. To mało prawdopodobne, jest takim odludkiem, ale nie da się przecież wykluczyć, że ból go do tego skłoni. Niewiele może na to poradzić. Dobrze przynajmniej, że odgrodzienie się od świata ułatwia jej zadanie. Może dawkować wieści, które przychodzą i wychodzą z tego domu, i tylko od niej zależy, co z nimi zrobi.

Stuk z góry przypomina jej, po co tu jest. Sari wygrzebuje szybko z jednej z szafek jakąś miksturę i biegnie z nią do Ferenca. Jak się okazuje, złowieszczy odgłos nie krył w sobie jednak nic groźnego; po prostu Ferenc strącił kubek ze stolika. Leży w łóżku z wykrzywioną twarzą i Sari czuje dreszcz pogardy: tak łatwo zadaje ból i tak ciężko sam go znosi. Ściągnął kołdrę i wystawił brzuch - jest rozdęty, ale trudno powiedzieć, czy to od trucizny, czy ogromnej kolacji. Sari siada na brzegu łóżka, a Ferenc otwiera oczy.

- Boli - mówi żałośnie.

Tłumiąc złość, Sari przybiera swój najbardziej przymilny ton.

- Wiem - mówi, mając nadzieję, że Ferenc nie zauważy, jak nienaturalnie słodko brzmi jej głos. - Mam coś dla ciebie. Proszę... - Nalewa syrop do szklaneczki i podnosi mu do ust. To zwykły środek przeciwbólowy z domieszką środka nasennego; niewiele mu pomoże, ale ma tylko podtrzymać wrażenie, że Sari go leczy.

Ferenc łyka syrop grzecznie jak dziecko i Sari przypomina sobie, co Judit mówiła o chorobie i mężczyznach - dziwi się trafności jej słów.

- Podziała za parę minut - zapewnia, a jego skomlenie ustaje, gdy czeka na poprawę.

Kładzie rękę na wzdętym brzuchu i gładzi go delikatnie. Ferenc wydaje cichy jęk, ale na jego twarzy widać ulgę, nie ból.

- Masz rozstrojony żołądek, odkąd wróciłeś do domu - mówi Sari. - To właściwie moja wina. Nie powinnam ci dawać takich posiłków jak wczorajsza kolacja, to ci mogło zaszkodzić. Na przyszłość będę robić lżejsze potrawy, dobrze?

Kiwa głową z zamkniętymi oczami. Sari zdejmuje rękę z jego brzucha, chcąc się sama położyć, ale Ferenc prosi:

- Nie odchodź...

Nie odchodzi więc i drżąc w chłodnym, nocnym powietrzu, gładzi go, póki nie zapadnie w niespokojny sen.

Sari szybko przekonuje się, że zabicie człowieka nie wymaga siły, tylko uporu i sprytu. Nazajutrz rano Ferenc mówi, że czuje się o wiele lepiej. Nie ma już kłopotów żołądkowych, choć jest osłabiony, rozbity i narzeka na ból głowy, co przypisuje nadmiarowi czerwonego wina, wypitego poprzedniego wieczoru. Sari parzy mu rumianek i z ulgą stwierdza, że Ferenc nic nie podejrzewa. Na wszelki wypadek postanawia odegrać małe przedstawienie i co jakiś czas chwyta się za brzuch z grymasem bólu. Mija trochę czasu, zanim Ferenc to zauważy.

- Coś ci jest? - pyta w końcu wieczorem, a ona wzrusza ramionami.

- Nie czuję się najlepiej. Judit mówiła, że w wiosce zapanowała jakaś epidemia, wszyscy wymiotują i skarżą się na ból brzucha...

- Zaraziłaś się, kiedy u niej byłaś?

- Nie wiem. Boję się, że właśnie to cię dopadło wczoraj wieczorem.

- Może.

Nie jest do końca przekonany, ale też nie podejrzliwy. Gdyby udało mu się wmówić, że to objawy grypy, miałyby znacznie ułatwioną sprawę. Jest nadzieja, że kiedy Ferenc naprawdę się zaniepokoi, będzie już za późno.

Przyrządzając mu kolację tego wieczoru, ani chwili się nie waha: teraz, kiedy już wie, że proszek działa, będzie go dodawać nieco więcej.

Dzień czwarty, ranek. Ferenc ma za sobą kolejną bolesną noc, choć jak zawsze rano trochę to lekceważy. Pochłania ogromne śniadanie, mówi tylko, że epidemia jest dość nieprzyjemna i ma nadzieję, że wkrótce minie.

Tego dnia jest senny, ale to zrozumiałe, ból nie dał mu się porządnie wyspać w nocy i Sari zachęca go, żeby się zdrzemnął po południu. Idzie za jej radą. Zdecydowanie zmiękł w stosunku do niej w ciągu ostatnich dni. Judit miała rację: mężczyźni stają się łagodniejsi w chorobie, lgną do ludzi i to działa na jej korzyść. Po obiedzie każe mu iść do łóżka. Kiedy przynosi mu szklankę wody, Ferenc klepie ją czule po rękę i Sari zauważa niepokojące dziwne plamki na jego paznokciach. Przedtem ich nie było. Nie mówi ani słowa, ale kiedy Ferenc zapada wreszcie w sen, korzysta z okazji i wymyka się do Judit.

Judit jest sama. Z jednej strony, lepiej by było zastać tu kogoś, przy kim mogłaby ponarzekać na chorobę Ferenc'a i na swoje zmartwienie, z drugiej, dobrze, że może porozmawiać szczerze.

- On śpi - mówi, gdy tylko Judit otwiera drzwi. - Mam mało czasu.

Judit wciąga ją do środka i wciska jej kubek kawy, dopiero potem pyta:

- No i co? Jak idzie?

Sari jest zarazem podniecona i przerażona. Nadal nie może się otrząsnąć ze zdumienia, że ma takie mieszane uczucia - przeraża ją sama myśl o tym, że ma przyspieszyć czyjś zgon, ale bardziej jest pewna, że robi słusznie dla siebie i dla dziecka.

- To działa - mówi. - Daję mu większą dawkę wieczorem, i w nocy zwija się z bólu, ale opowiedziałam mu o grypie żołądkowej, na którą cierpi cała wioska, i chyba w to uwierzył.

- Ma jakieś inne objawy?

- Bóle głowy, czasami, i ogólnie jest dość zmęczony, ale to pewno dlatego, że nie przesypia dobrze nocy. Dziś po południu zauważyłam jakieś plamki na jego paznokciach. Co to jest?

Judit marszczy brwi.

- Niestety, nie wiem. Co mu dajesz?

- Dziką cykorię. Łagodzi bóle i... - szuka właściwych słów - wydaje mu się, że go leczy. Mam wrażenie, że nic nie podejrzewa. Miałaś rację, jest dla mnie o wiele miłszy, odkąd choruje.

- Ha! - prycha Judit. - Oczywiście. Potrzebuje cię teraz, prawda?

- Zawsze mnie potrzebował. To ja zajmuję się gotowaniem, praniem, chodzeniem na targ...

- Tak, ale jesteś kobietą i to należy do twoich obowiązków. Teraz potrzebuje cię w inny sposób. Mężczyźni są w głębi ducha jak dzieci, zawsze szukają cycka, żeby się przyssać. Najlepiej widać to w chorobie. - Zagląda Sari w oczy. - A ty jak się czujesz?

Zapada długa cisza, Sari próbuje zebrać myśli i odczucia.

- Mam złe sny - mówi w końcu bardzo powoli. - Wiem, że to... to, co robię... jest złe. Ale chyba przestałam się tym przejmować. Przestałam się przejmować czymkolwiek poza nim. - Zakreśla rękami łuk nad brzuchem, obejmujący ją i dziecko. - Myślę, że kiedy w grę wchodzi walka o życie, wszystko inne przestaje się liczyć.

Judit kiwa głową.

- Daj mi znać, co się dzieje, kiedy będziesz mogła. Dzień dziesiąty, południe. Ferenc coraz bardziej choruje, ale Sari nie wie, czy on sam to zauważa. Widziała takie odrętwienie u innych, kiedy ból staje się ciągły i trudno stwierdzić, czy jest gorzej, czy lepiej. Spytała go raz, podając mu nad ranem herbatę z cykorii, czy nie powinna sprowadzić Judit, ale ku jej wielkiej uldze odmówił. Judit nie sprawi żadnego kłopotu, naturalnie, ale jego niechęć do widywania podczas choroby kogokolwiek prócz niej powinna dotyczyć także lekarzy, w tym lekarza z Varos.

Tego dnia, gdy Sari na dole naprawia jedną z koszul Ferenc'a, słyszy z góry huk, a potem serię cichszych uderzeń i stuków, niemal jak dudnienie na bębnie. To jest tak dziwne, że Sari co tchu biegnie na górę, sprawdzić, co się dzieje.

Ferenc leży na podłodze przy łóżku. Sari wraca pamięcią do dnia sprzed czterech lat (całe wieki temu), kiedy znalazła ojca w prawie takiej samej pozycji. Ale na tym podobieństwo się kończy, bo ojciec leżał nieruchomy i martwy, a Ferencem wstrząsają gwałtowne drgawki i Sari zdaje sobie sprawę, że ma atak.

Nie wie, co robić, rozdarła sprzecznymi uczuciami. Powinna spróbować mu pomóc? Czy to już koniec? Jeśli tak, nie powinna mu pomagać, tylko zostawić sprawy własnemu biegowi. Ale jeśli to nie jest koniec, Ferenc odzyska przytomność i zobaczy ją stojącą obok bezczynnie. Waha się chwilę, robi krok w jego kierunku i odskakuje z powrotem, kiedy jego ramię wysuwa się ku niej gwałtownie. Nigdy dotąd nie widziała niczego podobnego. Ferenc

ma półprzymknięte oczy i wysunięty język; musiał się ugryźć, bo smużka krwi cieknie mu po brodzie - Sari czuje obrzydzenie, a jednocześnie przewrotne współczucie.

Jego pierś podnosi się i Ferenc wymiotuje, a ona nie może już na to patrzeć, nie może po prostu zostawić go, żeby się udusił własnymi wymiocinami na podłodze sypialni, klęka więc obok i kładzie sobie jego głowę na kolanach, odwraca ją na bok i wygarnia mu z ust wymiociny palcami. Teraz już się nie udusi, ale co dalej? Atak trwa i trwa; w końcu drgawki ustają i Sari przygląda mu się uważnie. Czy pierś unosi się i opada? Czy nadal oddycha? Tak, i otwiera oczy, toczy wzrokiem po pokoju i dopiero później patrzy na nią, z dołu do góry, ze swojej leżącej pozycji. Kaszle raz i odpluwa z trudem.

- Co się stało? - pyta.

- Miałeś... miałeś atak. Chyba powinnam pójść po Judit. Ferenc mruga, stara się zebrać myśli, potem kręci głową.

- Nie potrzebuję jej.

- Proszę, Ferenc. Nie wiem, co to jest, nie wiem, jak cię leczyć. Proszę, pozwól mi zawołać Judit, żeby cię obejrzała.

Przybiera błagalną minę i sama jest pod wrażeniem własnego talentu aktorskiego: w jej oczach pokazują się prawdziwe łzy. Ferenc zdaje się wzruszony jej troską i w końcu wyraża zgodę.

- Dobrze. Możesz ją sprowadzić.

Idąc po Judit, Sari zastanawia się, dlaczego właściwie tak na to nalegała. W oczach Ferenc zyskuje przez to, ale co to ma za znaczenie? Ferenc przed śmiercią nie wyjdzie już z domu ani nie będzie z nikim rozmawiać, cóż to więc za różnica, czy przez ostatnich kilka dni (albo - nie daj Boże tygodni!) będzie podejrzliwy czy ufny?

Ale ma szczęście - za zakrętem wyłania się dom Judit i Sari widzi z daleka wielki tyłek Jakovy Gersek, znikający w drzwiach. Świetna okazja do rozpuszczenia plotek o chorobie Ferenc i zapewnienia sobie alibi! Mimo wszystko się waha. Co innego planować rozmowę w obecności osób trzecich o czyichś przypadłościach, a co innego wtajemniczać Jakowę w rzeczywiste kłopoty Ferenc, choć oczywiście nie w ich przyczynę. To jakieś nieprzyzwoite, tak go obnażać przed ludźmi. Nie czas jednak przejmować się teraz dobrym wychowaniem i odczuciami Ferenc, mówi sobie Sari. W końcu popełnia o wiele cięższy grzech. Ta myśl działa na nią dziwnie ożywczo i bez dalszej zwłoki dąży pod drzwi Judit.

Wchodzi bez pukania i udaje zdziwienie na widok Jakovy za kuchennym stołem. Najwyraźniej cierpi na ból zęba, ma spuchnięty policzek i wykrzywione usta. Przyciska do twarzy jakiś okład, zrobiony przez Judit i mierzy Sari złym wzrokiem.

- Prze... przepraszam - jąka się Sari, patrząc na Jakovę. - Muszę porozmawiać z Judit.

- Oczywiście - odpowiada Jakova z wymuszoną uprzejmością.

- Przy okazji, jak się ma Ferenc?

- O, całkiem dobrze - kłamie Sari bez wahania.

Tak będzie najlepiej. W ten sposób nikt nie będzie mógł jej oskarżyć, że specjalnie rozpuszczała wieści o chorobie Ferenca. Jakova należy do osób, które nastawiają uszu, słysząc ściszone głosy. Wiadomość i tak rozejdzie się lotem błyskawicy.

- Serwus, Sari. - Judit wychyla głowę z kuchni. - Wszystko w porządku? - Podnosi znacząco brwi.

- Mhm... - mruczy Sari. - Mogę zamienić z tobą słówko? Judit zaprasza ją do kuchni, a Sari, schodząc z oczu Jakovy, wskazuje na nią kciukiem i mruga porozumiewawczo, na co Judit odpowiada krótkim skinieniem głowy.

- Chodzi o Ferenca - mówi Sari donośnym szeptem. - Wiesz, że ostatnio źle się czuje. Nie był zdrowy od powrotu z frontu, ale teraz mu się pogorszyło.

- Przykro mi to słyszeć - syczy Judit, uśmiechając się szeroko i wyraźnie czerpiąc przyjemność z przedstawienia.

- Nie chciał twojej rady ani niczyjej innej, ale dzisiaj po południu miał atak. Nie wiem, jak go leczyć, w końcu więc wymogłam, żebyś nas odwiedziła... - Urywa i dodaje: - No to co, przyjdiesz?

Judit rozważa najwłaściwszą odpowiedź.

- Czy to prawda? - pyta w końcu bezgłośnie, a kiedy Sari kiwa głową, mówi głośno: - Oczywiście. Skończę tylko z Jakovą i już biegnę. Idź z powrotem i sprawdź, czy wszystko z nim w porządku. Będę za piętnaście minut.

Kiedy Sari wraca, dom jest pogrążony w ciszy. Wchodzi na palcach po schodach, z duszą na ramieniu, nie wiedząc, co zastanie

- może Ferenc będzie w agonii? Zmusza się, żeby zajrzeć do sypialni. Ale jego czas jeszcze nie nadszedł; Ferenc śpi, a może jest nieprzytomny, ale z całą pewnością żywy. Widzi, jak kołdra wznosi się i opada na jego piersi. Ponieważ wygląda na to, że leży całkiem spokojnie, Sari zostawia go i schodzi na dół, by czekać na Judit, która przychodzi dwadzieścia minut później. Wtyka głowę przez drzwi, a Sari przykłada palec do ust.

- Śpi na górze - szepcze. - Jeśli będziemy mówić cicho, możemy porozmawiać, zanim pójdziesz go zobaczyć.

Judit wchodzi i siada; jest rozradowana, niemal podśpiewuje z podniecenia.

- Nawet gdybyś to zaplanowała, nie mogło wypaść lepiej - mówi ze stłumioną uciechą. - Kiedy wyszłaś, Jakova z fałszywą troską na tej jej płaskiej twarzy oświadczyła, że po prostu chcąc nie chcąc, wszystko słyszała - Judit naśladowuje boleściwy falset - i zastanawia się, co dolega Ferencowi. Niewiele jej powiedziała, tylko tyle, że źle się czuł, odkąd wrócił do domu, i dlatego tak mało wychodził, ale że jest pewna, iż z czasem wyzdrowieje. - Śmieje się, przewracając oczami. - Jeszcze przed wieczorem cała wioska będzie o tym mówić.

- Dzięki Bogu za plotki - mówi Sari tylko na wpół żartobliwie.

- Co się dzieje?

- Miał atak dzisiaj po południu, a potem wymiotował. Wymioty to nic nowego, ma je od początku. Nadal myśli, że to kłopoty żołądkowe, które nawiedziły wioskę, a jego nękają ze szczególną siłą z powodu tej gorączki, którą przywłókł z wojny. Ale ten atak... Nie wiedziałam, co robić.

- Chyba miałaś nic z tym nie robić - odpowiada Judit, spoglądając na Sari badawczo.

- Wiem, wiem. Tylko że... to nie takie łatwe. Odkąd zachorował, zachowuje się inaczej i czasem trudno mi przypomnieć sobie, czemu w ogóle to zaczęłam.

- Chcesz się wycofać?

- Nie! Skądże.

- Bo mogłabyś, gdybyś chciała. Powiemy mu, że miał jakiś rodzaj nieprzyjemnej choroby żołądkowej, ale teraz poczuje się lepiej. To jedna z zalet tego planu i jedna z pułapek. Możesz przestać w każdej chwili. Sari splata palce, wbijając wzrok w skomplikowany wzór, który tworzą. Nie wie, czy chce się wycofać. Nie przychodziło jej to do głowy, dopóki Judit o tym nie wspomniała. Dodawanie proszku do pożywienia Ferencowi weszło jej już w nawyk, stało się zwyczajowym kuchennym rytuałem. Widzi przed oczami jego twarz, ufny wzrok, jakim na nią patrzył, kiedy zaproponowała, że pójdzie po Judit - i przez chwilę ma ochotę darować mu życie. Może choroba sprawi, że złagodnieje, może potrafią znaleźć odrobinę wspólnego szczęścia. Może.

- Nigdy nie pozwoli żyć temu dziecku - mówi bezbarwnym głosem. - Mam obowiązki w stosunku do dziecka i siebie, nie do niego.

- Masz rację. - Judit kiwa głową z zadowoleniem, jakby dostała zwitek bezbłędnie podliczonych banknotów, a nie zgodę na zamordowanie człowieka. - Mam teraz do niego iść?

Sari wchodzi do sypialni i budzi Ferenc, który jest w półprzytomny, ale spokojny. Tłumaczy mu, że Judit przyszła go zobaczyć. On zdaje się nie rozumieć jej obecności, ale przyjmuje to bez sprzeciwu. Ta jego ufność, myśli Sari z dreszczem wstępu do samej siebie. Nie przejmuj się, mówi w duchu stanowczo. Gdyby był zdrowy, stłukłby cię na kwaśne jabłko, wykopał i wybił pięściami to dziecko z ciebie. Nie miej dla niego litości.

Zostawia Judit samą i czeka na dole. Ciotka pojawia się po kilku minutach.

- Dałam mu trochę hiszpańskiego czosnku - mówi. - To nic nie pomoże, chociaż może się mu wydawać, że działa.

- Dobrze. Judit...?

- Skończ z nim, Sari - przerywa Judit ostro, nie czekając na pytanie. - Napisz dziś do jego rodziców i skończ z nim w ciągu kilku dni. Możesz zacząć dawać mu podwójną dawkę. Teraz jest oszołomiony, powinnaś dopilnować, żeby nie wrócił do siebie przed końcem. Tak będzie najlepiej. Jeśli chcesz to zrobić, nadszedł czas.

Judit wychodzi i przez chwilę Sari stoi nieruchomo pośrodku pokoju. A więc tak, mówi do siebie. A więc tak. Czeka, aż uderzy ją potworność tego, co robi, ale nic takiego nie następuje i zaraz zdaje sobie sprawę, że rozmyśla o wieczornym posiłku, nie zastanawiając się nawet nad Ferencem i jego końcem. Jak nisko upadła! Czeka na przyływ wyrzutów sumienia i znów nic. To i lepiej. Idzie do komody i wyjmuje z szuflady papier listowy, potem siada do stołu, żeby napisać do rodziców Ferenc i powiadomić ich o chorobie syna.

Dzień czternasty. Południe. Już czas, myśli Sari. Najwyższy czas. Poszła za radą Judit i podwoiła dawkę we wszystkim, co mu daje do jedzenia i picia - z właściwym skutkiem. Ferenc jest teraz nieustannie zamroczony i odurzony, przebłyśki przytomności zdarzają się coraz rzadziej.

Judit przychodzi codziennie od dnia ataku, żeby zachować pozory - źle by to wyglądało, gdyby umarł, nie mając należytej opieki w ostatnich dniach - i Ferenc łyka posłusznie wszystkie mikstury, jakie mu wmusza. Te ziółka pomagają mu nie bardziej niż nieprzyjemnie smakująca woda, ale on tego nie zauważa. Jest nieprzytomny większość czasu, a w momentach, kiedy jest przytomny, zwija się z bólu. To zawsze ulga, gdy traci świadomość.

Sari stara się w ogóle o tym nie myśleć, zajmuje się codziennymi sprawami tak, jakby Ferenc nie był chory. Czasem uderza ją absurdalność tego, co robi, kiedy łapie się na starannym cerowaniu jego skarpetek czy naprawianiu koszul - nie może się od tego powstrzymać, ale za każdym razem, kiedy wychodzi z sypialni, ma nadzieję, że gdy wróci,

nie będzie już żył. Ale on wciąż żyje. Rozważała spanie na dole, żeby dać mu więcej miejsca i wygody w łóżku (i zapewnić sobie trochę snu, choć wie, że podrywałaby się co pięć minut i skradała na górę, sprawdzić, co się z nim dzieje), ale on wciąż szuka u niej pociechy - ślepej, dziecinnej pociechy, która nie jest związana z nią, lecz z jakimkolwiek ciepłym ciałem leżącym obok - i Sari nie umie go zostawić jęczącego w samotności. Spędza więc większość nocy przycupnięta na brzegu łóżka - nie może się zmusić, żeby położyć się przy nim pod kocami, choćby skamlał jak najżałośniej - a czasem siedzi na dole przy stole kuchennym, gdzie wypija kawę za kawą i wpatruje się w czarne okno, w którym białą plamą odbija się jej koszula nocna. Noc czternasta. W pokoju wisi śmierć i Sari jest pewna, że nadszedł czas. Ferenc czuje się gorzej niż kiedykolwiek, bredzi między jękami. Wymiotuje i ma biegunkę, a Sari sprząta po nim ze spokojem siostry miłosierdzia, ale przybija ją myśl, jak niegodnie wygląda umierający człowiek. Coś jeszcze brzydzi ją bardziej niż wszystkie cuchnące wydzieliny: to fakt, że włosy wychodzą mu garściami. Za każdym razem, kiedy przewraca głowę, zostawia na przeпоconej poduszce ciemne lepkie pasmo. Gdzieś między włosami prześwituje już biała skóra czaszki. Sari myje go, zmienia prześcieradła, jak często trzeba, i kładzie zimne kompresy na czole, modląc się, żeby umarł; błagając Boga, w którego nie wierzy, żeby już go zabrał. Chce tego, sama do tego doprowadziła, ale to takie ciężkie. Nie może zmusić się do płaczu; jest bliska łez tylko raz, kiedy rozpoznaje, że jedna ze szmatek, którymi ociera mu pot z czoła, to stara chusteczka, którą zaczęła dla niego haftować, zanim poszedł na wojnę - niedokończona i zapomniana przeleżała gdzieś w kącie przez cztery lata.

Około trzeciej nad ranem Ferenc milknie i Sari tężeje w oczekiwaniu. Czy to już...? Leży całkiem nieruchomo, ale nadal oddycha. Chyba wkrótce? Delikatnie, starając się nie poruszyć łóżka, nachyla się i zagląda mu w twarz. Jest biała i lepka od potu, z jego ust niemal odbiegła krew, ale gałki oczne nadal poruszają się pod pożyłkowanymi powiekami.

Sari dusi szloch wyczerpania, łączy ją pieką i dławią w gardle - chce, żeby już było po wszystkim. Ostry ból, który przeszywa jej dłonie, każe jej spojrzeć w dół. Zaciśnięta ręce tak mocno, że paznokcie wbiły się w skórę. Oddycha głęboko i zmusza się do spokoju. Już niedługo. Już niedługo. To nie może trwać wiecznie. A jeśli potrwa? List jest w drodze do jego rodziców; przypuścmy, że on pociągnie tak jeszcze całe tygodnie? Będą mieli czas; mogą tu przyjechać, sprowadzić lekarza z Varos. I co wtedy? Czy lekarz może odkryć, co robiła? To jest nie do zniesienia - nie do zniesienia.

Dwie godziny później podrywa się z drzemki. Jakimś cudem zapadła w sen mimo gonitwy myśli i obudził ją straszny, zły sen.

Patrzy na Ferenc - leży nieruchomo, ale jego pierś nadal wznosi się i opada, chociaż nierówno. Dopiero po chwili zauważa, co się zmieniło: oczy ma otwarte.

- Ferenc? - pyta miękko.

Nie rusza głową, ale oczy wędrują w jej stronę.

- Sari - szepcze i potem coś jeszcze, lecz słowa przywierają do suchych warg.

Nachyla się nad nim, żeby lepiej słyszeć. Jego usta ruszają się konwulsyjnie, układając w coś, co niemal poznaje, lecz brakuje mu oddechu i mówi bezgłośnie.

- Chcesz czegoś, Ferenc? Przynieść ci wody? A może coś innego?

Głowa przekręca się lekko z prawej na lewo: nie. Usta nadal się ruszają i Sari nachyla się niżej, uchem niemal dotyka jego warg. Najpierw nic, a potem na wydechu:

- ...któryś jest w niebie... On się modli.

Sari nie jest religijna, nigdy nie była, ale co ma robić? Jest też morderczynią, ale nie chce być niepotrzebnie okrutna i nie ma prawa odbierać mu jedynej pociechy, jaką jest w stanie dać. Bierze jego rękę, która jest tak zimna, że ją samą przenika chłód, między swoje dłonie i mówi głosem spokojnym i pewnym:

- Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...

Wyobraża to sobie czy przez jego twarz przebiega iskierka życia? Nadal nic nie słyhać, ale jego bezdźwięczne usta zaczynają się ruszać w rytm wypowiedzianych przez nią słów. Zamyka oczy, a ona nadal się modli, powtarzając jedyne słowa, jakie zna. Żałuje, że nie zna więcej modlitw, czegoś, co przyniosłoby mu ukojenie, pozwoliło zakończyć życie i w pokoju odejść ze świata - ale on wciąż oddycha. Okno przy łóżku zaczyna się żółcić: nadchodzi świt, jeszcze jeden dzień - i Sari czuje, że serce jej staje. Oby tylko nie jeszcze jeden dzień! Niech to się już skończy!

Jego usta wciąż się ruszają, pierś wznosi i opada. Sari recytuje w kółko te same słowa, które wkrótce tracą znaczenie; padają z ust jak grudki ziemi, bezsensowny strumień dźwięków. Jej głos staje się chrypliwy - nie przywykła tyle naraz mówić, całymi tygodniami rozmawiała tylko z Judit i Ferencem. A on ciągle oddycha. Ciągle.

Za oknem już dnieje, kiedy Ferenc nagle gwałtownie dygocze i krzyczy, wykrzywiony z bólu. Sari wzdryga się ze strachu po tak długim milczeniu. Z mocno bijącym sercem znów nachyla się nad nim, jego oczy trzepoczą i otwierają się. Rozmytym wzrokiem błądzi po pokoju i raptem skupia się na jej twarzy.

- Sari... - chrypi. - Proszę. Proszę.

O co prosi? Żeby mu pomogła wyzdrowieć? To niemożliwe i nawet on musi już to wiedzieć. Czy to nic nieznaczące błaganie spowodowane cierpieniem? A może prosi o coś

innego, o wyzwolenie? Nie wierząc temu, co robi, Sari wyciąga rękę i jej dłoń zastyga nad nim w powietrzu. Ferenc nie spuszcza z niej oczu. Sari kładzie mu delikatnie rękę na twarzy: jego wzrok nawet nie drgnie. Sari zaczyna znowu: „Ojcze nasz...” i Ferenc zamyka oczy. Dłonią zakrywa mu usta, tworząc zwartą pieczęć, a kciukiem i palcem wskazującym zaciska nozdrza. Ferenc nadal nie protestuje; klatka piersiowa przestaje się poruszać. Sari patrzy w okno; promienie słońca błyszczą na parapecie - modli się, wysyłając puste słowa w pusty wszechświat, podczas gdy Ferenc umiera pod jej ręką. Szarpie się raz przed końcem, lecz nie otwiera oczu i Sari bierze to za podświadomy sprzeciw wobec śmierci, nic więcej. Ranek jest piękny, niebo kolorowe, światło nasącza trawę soczystą, żywą zielenią. Ferenc już nie ma, wie o tym, ale mija długi czas, zanim cofa rękę. I wtedy ma wrażenie, że jej dusza ulatuje tak jak jego dusza. Czuje się lekko; nie dlatego że wypełniają ulgą, ale dlatego że przestał ją przygniatać ciężar. Jest po wszystkim. Stało się, co się miało stać. Jej dziecko jest bezpieczne.

Rozdział 18

Listopad to dla niej zawsze najbardziej ponury miesiąc, lecz w tym roku Sari wita go bez zwykłej niechęci - jest przede wszystkim szczęśliwa, że lato minęło. Upały nigdy dotąd jej nie męczyły, co innego teraz, kiedy jest w ciąży. Gotowała się i dusiła z gorąca przez cały lipiec i sierpień. Następnym razem, mówi sobie, lepiej to zaplanuję, i uśmiecha się do siebie na tę groteskową myśl, że może być jakiś następny raz. Nie czuje goryczy ani nawet zniechęcenia, tylko pewność, że to dziecko jest jej pierwszym i ostatnim.

Ma się urodzić w styczniu i Sari nie może się już jej doczekać. To dziewczynka - od razu wiedziała, a Judit to potwierdziła. Dziewczynki inaczej leżą w macicy niż chłopcy; każdy, kto opiekował się tyloma ciężarnymi kobietami co Judit, potrafi to wyczuć. To była trudna ciąża, i Sari z niecierpliwością wygląda końca. Dwa razy niemal straciła dziecko, raz po kopniaku Ferenca i drugi raz, z powodu choroby, chce więc, żeby już było bezpieczne na świecie, gdzie będzie mogła się nim lepiej zaopiekować, polegając bardziej na rozumie niż na swoim zdradzieckim ciele.

Judit ciągle ją napomina, żeby wypoczywała, bo ryzykuje przedwczesny poród, ale ona po prostu nie może usiedzieć w miejscu. Judit stara się dawać jej różne lekkie prace, żeby miała zajęcie: szycie, haftowanie, przygotowywanie lekarstw - ale często po powrocie zastaje pusty dom, bo Sari poszła ratować jakiegoś nieszczęśnika.

- Mogą poczekać! - łaje ją, kiedy zdarza się to po raz drugi. - Mogą poczekać, aż wrócę! Po tym, co zrobiliśmy dla tego dziecka, nie chcesz chyba narażać go niepotrzebnie tylko dlatego, że się nudzisz?

Sari wzrusza ramionami i uśmiecha się skromnie. Nie umie wytłumaczyć Judit, że dziecku z pewnością nic nie grozi, ale jest tego pewna - czuje, że donosiła je tak długo siłą woli i teraz wystarczy mocne postanowienie, żeby utrzymać je przy życiu trochę dłużej.

Dopiero niedawno uwierzyła, że jest bezpieczna, że wszystko uszło jej płazem, że nie zostanie obudzona w środku nocy przez policję, ogłoszona morderczynią i zawleczona pod szubienicę. Przez parę miesięcy po śmierci Ferenca budziła się regularnie, zrana potem i w dygocie, dręczona takimi obrazami, a potem leżała, nie śpiąc całe godziny, pogrążona w posępnych rozmyślaniach. Jeśli oskarżą ją o morderstwo i skazą na śmierć, co stanie się z dzieckiem? Chyba nie mogą skazać dziecka z powodu czynów matki? Ale co zrobią? Czy urodzi w więzieniu, a potem noworodek zostanie wysłany do sierocińca, gdy ona zawiśnie na stryczku? Czy też - Boże broń - wytną go z niej, żeby nie wieszać ciężarnej kobiety? Ale nikt nie zapukał i Sari w końcu zrozumiała, że się udało. Teraz już wszystko będzie dobrze.

W gruncie rzeczy to było zdumiewająco łatwe. Tego ranka, kiedy Ferenc umarł, poszła zawiadomić Judit - wioska właśnie budziła się do życia, ludzie już krzatali się w obejściach, ale nikt jej nie zaczepił, nikt do niej nie podszedł i dopiero gdy Judit otworzyła drzwi i wbiła w nią zdumiony wzrok, zdała sobie sprawę, że płacze, łzy lecą jej ciurkiem po twarzy. Kiedy teraz o tym myśli, chce jej się śmiać - jak sięga pamięcią, płakała w dorosłym życiu tylko dwa razy i to zawsze z powodu mężczyzny. Nigdy więcej, co to, to nie!

Kiedy wieść rozeszła się po wiosce, Sari przygotowała się na szept, a może nawet otwarte oskarżenia, ale ku jej zdumieniu nic takiego nie nastąpiło, ani tego dnia, ani później. Zamieszkała u Judit, która starała się podnieść ją na duchu: Sari była pewna, że niedługo zaczną wytykać ją palcami, lecz Judit przekonywała, że nikt nie ma powodu jej podejrzewać. Jakieś złe języki mogą się odezwać, owszem, ale Sari oddała sobie ogromną przysługę, płacząc tego ranka: to musiało zmiękczyć serce każdego, kto ją widział, i zniechęcić do dawania posłuchu złośliwym plotkom.

- Doskonale się złożyło - oświadczyła Judit radośnie. - Nie mogło być lepiej, nawet gdybyś udawała.

Teraz, kiedy - przynajmniej chwilowo - nie musi się bać opinii wioski, jej głównym zmartwieniem są rodzice Ferenc. Telegram, który do nich wysłała w dniu śmierci ich syna, pozostał bez odpowiedzi; pojawili się dopiero kilka dni później, w sam raz na pogrzeb. Wyglądali na zagubionych i zmartwionych, kiedy nieznany ksiądz, sprowadzony z sąsiedniej wioski, wygłaszał jakieś frazesy, i serce Sari mimo woli ścisnęło się współczuciem. To tragedia stracić najstarszego syna, tym bardziej że młodszy, teraz ich dziedzic, jest nadal na wojnie i jego życiu też zagraża niebezpieczeństwo. Spodziewała się, że zostanie potraktowana chłodno i ostrożnie, a może nawet z otwartą wrogością, ale to, co się zdarzyło, było jeszcze gorsze. Miesiące później Sari nadal się kurczy na wspomnienie matki Ferenc, która zarzuca jej ręce na szyję, łka na jej ramieniu i powtarza bez końca, jak Ferenc ją kochał i jakie to straszne, że go nie ma - i w końcu Sari zdała sobie sprawę, że nie tylko o nic jej nie podejrzewają, ale wręcz są wdzięczni za opiekę podczas jego ostatnich dni. Musiała siłą stłumić histeryczny wybuch śmiechu. Biedaczyska, pomyślała.

Ale ich podejrzania to tylko pierwsza przeszkoda, drugą było dziecko. Uznała, że za nic nie mogą się dowiedzieć, iż jest w ciąży. Gdyby się dowiedzieli, przyjęliby za pewne, że to dziecko Ferenc, a nie mogła znieść myśli, że będą się nim interesowali, próbowali wtrącać do wychowania albo - co najgorsze, ale jednak możliwe - dojdą do wniosku, że jako samotna kobieta w biednej, leżącej na odludziu wiosce nie jest w stanie mu zapewnić odpowiednich warunków i uprą się, by wziąć je do Budapesztu.

Mogła oczywiście powiedzieć im, że to nie jest dziecko Ferenca, ale naraziłaby się na ich potępienie i poddała motyw morderstwa - co też nie wchodziło w rachubę. Zdecydowała więc, że najlepiej ukryć ciążę - w końcu nie widzieli jej przez cztery lata i mogli uznać, że po prostu utyla. Cały czas, gdy byli w wiosce, Sari żyła w strachu, że się zdradzi i że odbiorą jej dziecko, ale oczy Gazdagów były zamglone łzami. Nie mieli głowy, by się jej przypatrywać.

Tak dobrze wszystko poszło, że wprost nie mogła uwierzyć, gdy wkroczyło przeznaczenie, czy jak to nazwać, i pomogło jej jeszcze bardziej, choć w dość dwuznaczny sposób. Zaraz po pogrzebie, gdy Gazdagowie wyjechali, Sari poczuła się dziwnie, szumiało jej w głowie i miała mdłości, ale inne, bardziej szarpiące niż we wczesnym okresie ciąży. Nazajutrz majaczyła już w gorączce. Prerażona Judit ocierała jej pot z czoła i wmuszała różne lekarstwa i mikstury, które coraz mniej działały.

- Nie po to się tak ciężko napracowałyśmy, żebyś tu teraz umarła - mówiła Judit przez zaciśnięte zęby z twarzą jak chmura gradowa, kiedy mijała kolejna godzina, a gorączka nie spadała, ale Sari nie pamięta wiele z tego okresu, tylko swój własny błagalny głos za każdym razem, kiedy Judit przytykała jej kubek do ust:

- Nic, co może zaszkodzić dziecku, Judit.

- Temu dziecku niewiele pomoże, jeśli umrzesz - odpowiadała Judit. Kiedy Sari wróciła do siebie, zrozumiała, że choroba, która zwała ją z nóg na cztery dni i noce, była na pewno bardziej niebezpieczna dla zdrowia dziecka niż którykolwiek z gorzkich napojów, jakie wlewała jej do gardła Judit.

Nic na to nie poradzi, toteż czerpie pociechę z tego, że ma jedno z najbardziej ruchliwych dzieci, o jakich słyszała: wierci się i kopie ją nieustannie do tego stopnia, że jest czasem wyczerpana i zmęczona, choć jednocześnie szczęśliwa: w każdym razie mała jest pełna energii. Żyje.

Kiedy Sari po raz pierwszy po chorobie wyszła z domu, blada i osłabiona, wzruszyło ją przyjęcie przez sąsiadów. Wszyscy niemal starali się powiedzieć jej kilka dobrych słów, i tak choroba na coś się przydała, zaświadczając jej ból po stracie Ferenca. Nadal nie jest pewna, gdy patrzy ludziom w oczy, czy nie mają podejrzeń, że coś z jego śmiercią było nie w porządku, ale nawet jeśli tak jest, chyba się zgadzają, że Sari dość już wycierpiała.

Właśnie wtedy zaczęła się wreszcie uspokajać, a widmo więzienia i egzekucji przestało nawiedzać ją we snach. Nieważne, czy w głębi serca jej wierzą, czy nie - wierzą jej na tyle, że nie ma się czego obawiać. Ani ona, ani Judit nie wiedzą, co spowodowało jej chorobę, Sari przypuszcza jednak, że to był rodzaj oczyszczenia. Nie jest z natury przesądna,

w każdym razie nie bardziej niż inni ludzie w wiosce, ale fakt, że spadło to na nią po tym, jak popełniła wielki grzech, wydaje się znamieny.

Czuje się teraz lekka, czasem niemal zbyt lekka, jakby nie trzymała się ziemi; wspomnienie Ferenca nie budzi w niej wyrzutów sumienia, najwyżej cień żalu. Mógł być porządnym człowiekiem, myśli czasami. Mógł być kimś o tyle lepszym, niż był. O Marcu stara się nie myśleć i przychodzi jej to bez większego trudu; już teraz wydarzenia sprzed miesięcy wydają się jej scenami z czyjś innego życia i w pewnym sensie tak jest. W chwili słabości po chorobie dała się ponieść fantazji, co by było, gdyby udało im się uciec, przejść przez pusztę - ale jest wystarczająco praktyczna, by wiedzieć, że raczej by się im nie ułożyło: w innym otoczeniu jej naiwność by go drażniła, podobnie jak jego uczoneść przestałaby jej imponować. Widzi jasno i wyraźnie, jak siedzą znudzeni w pokoju w jakimś obcym mieście bez nazwy i nie mają sobie nic do powiedzenia.

Rozlega się pukanie do drzwi. To pewnie Anna, myśli Sari, choć przychodzi wcześniej niż zwykle. Odkąd wróciła z wygnania, narzuconego jej przez Ferenca, Sari odnowiła niektóre przyjaźnie, a ponieważ podczas ostatnich tygodni ciąży jest w dużej mierze uwiązana do domu, Anna odwiedza ją niemal codziennie. Czasem wpada też Lilike, lecz z Lujzą, która zamknęła się ostatnio w czterech ścianach, zobaczy się zapewne dopiero po porodzie.

Sari nie jest do końca pewna, ile każda z nich wie. Anna nigdy nie powiedziała żadnego niewłaściwego słowa, nigdy nie ośmieliła się nawet pisać, że śmierć Ferenca mogła być spowodowana czym innym niż ciężką chorobą - ale czasem patrzy na nią w taki sposób, że daje to Sari do myślenia. Ma nadzieję, że Anna nic nie podejrzewa, choć możliwe, że ci, którzy znali jej sympatię do Marca, mają pewne wątpliwości. Ufa jednak Annie, że nigdy jej nie wyda.

Pozostaje jeszcze to, że w kątku oka Sari widnieje mała blizna po dobrze wymierzonym ciosie Ferenca; blizna, o której nikt nic nie powiedział, tylko Anna zapytała o nią, gdy zobaczyły się po jego śmierci. Sari wymyśliła jakiś gładki powód - otworzyła sobie okno prosto w twarz, cha, cha, jaka z niej niezdarą - ale zauważyła, że Annie drgnął policzek. Może kobiety, które są źle traktowane przez mężów czy narzeczonych, łączy milczące zrozumienie, rodzaj szyfru pozwalającego im wykrzyć kłamstwa, które przekonują innych.

Sari idzie do drzwi, z utęsknieniem wspominając czasy, kiedy robiła to lekko i szybko, a nie wlokła się jak ociężałe zwierzę. Nie ma pretensji do dziecka, że zawładnęło jej ciałem, brak jej tylko poprzedniej zwinności i swobody ruchów. Na progu rzeczywiście stoi Anna,

lecz gdy tylko Sari widzi jej twarz, uśmiech zamiera jej na ustach. Anna jest kredowobiała, z trudem chwyta oddech.

- Wejdz.

Sari wciąga ją do środka i Anna pada na jedno z rozchwierutanych krzeseł przy stole. Sari siada naprzeciwko, a przyjaciółka patrzy na nią wyczekująco.

- No? - pyta Sari, słysząc echo głosu Judit w swoim zniecierpliwionym tonie. - Co się dzieje?

- To już koniec - mówi Anna. Przez chwilę Sari nie rozumie.

- Koniec czego?

- Wojny. - Z ust Anny wyrывa się szloch. - Skończyła się.

- Kto...? - Sari wie, że to głupie pytanie; od miesięcy dochodziły do nich wieści o bliskiej klęsce...

- Przegraliśmy - rzuca Anna niedbale, jakby to była sprawa mniejszej wagi, niewiele znacząca wobec istoty rzeczy - i w jej przypadku tak jest.

Sari czuje ukłucie żalu, że Marca nie ma i nie może uczcić zwycięstwa swojego kraju i że Ferenc też tego nie dożył; nie umiał przegrywać, ale Sari ma wrażenie, że wojna była dla niego takim koszmarem, że cieszyłby się z jej końca bez względu na wynik.

- Wyjeżdżają - mówi Anna, wyraźnie nie mogąc się doczekać tego, co powie Sari. - Jeńcy wracają do Włoch. A nasi mężczyźni przyjeżdżają do domu. Chodzi mi o to, że Giovanni wraca do Włoch, a Karoly przyjeżdża tutaj. - Po tych słowach kładzie głowę na złożonych rękach i płacze.

Sari obejmuje ją ramieniem. To dziwne, ale ciąża nauczyła ją lepiej sobie radzić z okazywaniem uczuć. Osiągnęła najwyższy stopień zażyłości, istota ludzka spoczywa w jej ciele i w porównaniu z tym wszystko inne jest łatwe. Czeka cierpliwie, żeby Anna się uspokoiła. To nie trwa długo, Anna nigdy nie lubiła mazać się na oczach ludzi, teraz też szybko się prostuje, ma czerwoną i mokrą twarz, ale wyciera oczy z wielką godnością.

- Przepraszam - mówi zawstydzona.

- Nie ma za co.

Dla Sari to nie są obojętne wieści. Nie mają już bezpośredniego wpływu na jej życie, ale nadal w jakiś sposób jest jej bliski los wszystkich: Włochów, z których wielu było jej pacjentami, i tutejszych mężczyzn, z których wielu wróci okaleczonych i przybitych do wioski, gdzie nikt ich już nie potrzebuje.

- Rozmawiałas z Giovannim? - pyta. Anna kręci głową.

- Jeszcze nie. Wiem, czego on chce, mówiliśmy o tym, chce, żebym pojechała z nim do Włoch. Jak wiesz, nie ma żony i ma się ze mną ożenić. - Mimo przygnębienia Anna nie może ukryć dumy, kiedy to mówi: mężczyzna, cudzoziemiec, chce się z nią ożenić! - Ale przecież nie mogę zabrać się z nim teraz, wojsko by się z nami rozprawiło. Musiałabym wyjechać na własną rękę, a wiesz - wzrusza bezradnie ramionami - że nie mam pieniędzy. Nie mam nic, co by nie należało do Karolya. Wszystkie nasze cenniejsze rzeczy oddał na przechowanie kuzynowi w Varos, oto jak mi ufa.

- A kiedy...?

- Nikt nie wie. Musimy czekać, aż wojsko dostanie rozkazy. My nie jesteśmy ważne - dodaje z goryczą. - Nie jesteśmy ludźmi, którym należą się jakieś wieści.

W zwijającym się obozie panuje zamieszanie i radość pomieszana z żalem. Na ogół jeńcy, którzy przybyli tu najpóźniej, najbardziej się cieszą z powrotu do Włoch, starzy rezydenci przyjmują tę wieść z różnymi uczuciami, od niepokoju do nieskrywanej niechęci. Zapomnieli już, jak było w domu, nie wiedzą, jakie zmiany zaszły pod ich nieobecność; a tymczasem zdążyli się przyzwyczaić do tutejszego życia codziennego, które jest znajome i niezbyt męczące.

Ci bardziej myślący martwią się z innych przyczyn - widzieli, jaki wpływ miała wojna na zachowanie niektórych kobiet z wioski. Kto wie, czy ich własne żony i narzeczone nie postępowały tak samo? Czy po powrocie do domu nie zastaną tam niepożądanych gości, a w łóżkach plam po innych mężczyznach? Może najlepiej o tym nie myśleć i nie pytać.

Prawie wszyscy mężczyźni nawiązali tu jakieś przyjaźnie. Przez ostatnie dni obóz jest otoczony płaczącymi kobietami. Jedne są naprawdę zrozpaczone - jak Anna, która boi się powrotu Karolya i wtłoczenia w dawne ramy, ale nie może nic zrobić z braku pieniędzy - inne zaś chlipią tylko na wspomnienie dwóch lat, które stanowiły przyjemne oderwanie od codziennych trosk, ale nie trwały wiecznie.

Sari nie czuje ani jednego, ani drugiego, lecz wraz z grupą kobiet idzie do obozu się pożegnać. Lubi niektórych jeńców, zwłaszcza Bruna, który był dobrym przyjacielem Marca, i Umberta, mimo, a może właśnie z powodu jego głupiej beztroski. Nie dotyczy jej powszechny żal kobiet - miała swoje pięć minut i wykorzystwała je. Ale rozumie teraz zamiłowanie Judit do śledzenia życia innych i nie da się zaprzeczyć, że sama jest ciekawa, co będzie dalej.

Wydarzenia będą tak szybko. Wydaje się, że Włosi zniknęli w ciągu jednej nocy i wioska zamyka się w sobie, spuszczając zasłonę na ich nieobecność. Dom Gazdagów stoi

pusty i ta pustka zdaje się zmieniać cały jego charakter. Przycupnął złowrogo w dali i Sari nie może w nocy na niego patrzeć, czarne okna przypominają jej martwe oczy trupów. Zbyt wiele duchów, myśli, i to prawda - oba duchy, które najprędzej mogą ją nawiedzać, są związane z tym miejscem. A nie ma ochoty na kontakt z bezcielesną formą Marca czy Ferenca.

Jest już pewna, że Gazdagowie nie wrócą, uciekając od przykrych wspomnień, i zastanawia się, co zrobią: sprzedadzą dom czy wezmą zarządcę? Wolałaby to pierwsze, bo choć zawsze może unikać spotkania z zarządcą, lepiej by było, gdyby Gazdagowie zostawili ją i jej dziecko w spokoju.

Wioska jest spokojna i cicha, niemal martwa bez Włochów. Nawet ci, którzy nigdy nie spotykali się z jeńcami, wiedzą, że ich obecność wprowadzała ożywienie. Nie pozostaje nic innego, tylko czekać na powrót węgierskich żołnierzy.

I wracają. Najpierw strużką, potem strumieniem, mężczyźni wracają do domu. Sari i Judit patrzą na nich, Judit z lubieżnym rozbawieniem, Sari z chłodną ciekawością i odrobiną współczucia. Wioska oddycha głęboko i otwiera ramiona, żeby ich przyjąć; zmiana jest szybka i zadziwiająca. Są wszędzie, w pierwszy dzień targowy po ich powrocie rzuca się to Sari w oczy.

Nie była na targu od jakiegoś czasu, Judit każe jej siedzieć w domu i nie narażać dziecka, ale tym razem pozwoliła Sari sobie towarzyszyć, żeby mogła zaspokoić ciekawość. Zmiana jest widoczna od razu, bardziej jako coś wiszącego w powietrzu niż namacalnego i Sari robi się nieswojo. Ogarnia wzrokiem swój strój i widzi, że ona i inne kobiety przyzwyczyły się ubierać dość swobodnie, odkąd zostały same, toteż teraz czuje się skrepowana i obnażona.

Wokół nie ma prawie mężczyzn - targ to tradycyjnie miejsce kobiet - ale widać ich na gankach i za oknami. Główna zmiana dotyczy właśnie zachowania kobiet. Nie słychać śmiechu ani rubasznych żartów, które ostatnio były na porządku dziennym. Wszystkie zachowują się jak grzeczne dziewczynki. Wyczuwa się jakiś niepokój, jakby jedna drugą podpatrywała, jak sobie radzi w nowej sytuacji; jakby nie były jeszcze do końca pewne, co z tego wyniknie.

Sari kątem oka widzi Annę i robi jej się słabo. Twarz ma pokrytą fioletowymi sińcami, ale nie to jest najgorsze - najbardziej wstrząsająca jest zmiana, jaka w niej zaszła. Kiedy Sari widziała ją ostatnio, przyjaciółka była wysoka i wyprostowana jak struna, teraz zmaląła o dobrych kilka centymetrów, skulona ze strachu, jakby przepraszała, że żyje, jakby starała się zniknąć ludziom z oczu, unicestwić samą siebie. Włosy ma rozczochrane, a jej sukienka, choć czysta, jest brzydka, szara i staromodna - nie nosiła jej, odkąd Karoly

wyjechał. Oczy innych kobiet uciekają od niej, tak jak kiedyś uciekały od Sari. Sari nie ma zamiaru w tym uczestniczyć.

- Poczekaj - mówi do Judit, podchodzi do Anny i kładzie jej delikatnie rękę na ramieniu.

Anna podskakuje, co jest dla Sari smutnym przypomnieniem jej własnego zachowania na początku roku, ale ku jej zdumieniu nie spuszcza głowy i nie stara się uciec. Przeciwnie, podnosiwołno twarz i patrzy jej prosto w oczy. Teraz widać dokładnie rozmiar obrażeń: lewe oko ma nabiegłe krwią i półprzymknięte pod opuchlizną, wargę rozciętą, a kiedy otwiera usta, Sari zauważa przerwę w zębach, której przedtem nie było.

- Serwus, Sari - mówi Anna głosem zachrypniętym i Sari widzi nagle przed sobą nieprzyjemnie wyraźny obraz Karolya, który dusi ją za gardło.

- Potłukłaś się, Anno - mówi łagodnie. Anna kiwa głową z grymasem bólu.

- Weszłam na drzwi - odpowiada, wymawiając każde słowo nienaturalnie starannie przez obrzmiałe wargi.

Kiedy Sari podnosi z niedowierzaniem brwi, usta Anny wykrzywia pełen gorzycy uśmiech.

- Muszę wracać do domu.

- Poczekaj! Może pójdziesz ze mną do Judit? Obejrzę ci twarz, dam ci coś...

- Szkoda zachodu, Sari. - Karykatura uśmiechu znika z ust. - Nie wiem, co mam robić. Myślałam, że może wojna zmieni go na lepsze, ale jest gorszy niż dawniej. Nie zostawia mnie w spokoju.

- Anno...

- Dlaczego nie zginął? Przestałam wierzyć w Boga. Nie mogę w niego wierzyć, bo nie chcę wierzyć w istnienie kogoś, kto pozwala, żeby mąż Lujzy został zabity, a Karoly wrócił cały i zdrowy.

- Anno...

- Muszę iść - przerywa Anna.

Obraca się na pięcie i odchodzi, a Sari patrzy za nią, myśląc, że nigdy nie poznałaby Anny po tym niepewnym, nerwowym kroku. Uświadamia sobie, że cała drży, i wraca do Judit, która stoi podparta pod boki i patrzy na całe wydarzenie.

- Idę do domu - oświadcza Sari. Czuje, że ledwo trzyma się na nogach.

Przez następne noce Anna prześladowuje ją w snach - Anna martwa, bita przez Karolya, Anna bita przez Ferencą. Kiedy trzy dni później Karoly staje pod drzwiami Judit, Sari jest

zdezorientowana. Nie widziała go z bliska od czterech lat, ale tak realistycznie pojawia się w złych snach, że mogłaby narysować z zamkniętymi oczami każdą zmarszczkę, każde znamię na głupiej, tchórzliwej, odrażającej twarzy.

- Czego chcesz? - pyta.

Wie, że powinna być uprzejma, że może zaszkodzić Annie, jeśli źle potraktuje tego łotra, ale gotuje się w środku z wściekłości i nie potrafi nie dać jej choć odrobiny upustu.

- Gdzie jest Judit?

- Nie ma jej. Poszła do Zsófii Gyulai. Może ja pomogę?

Gdyby to był ktoś inny, zaprosiłaby go do środka, ale nie Karolya - nie tylko dlatego, że go nienawidzi, ale także dlatego, że mu nie ufa i nie chce zostać z nim sam na sam.

- Mogę wejść?

- Nie.

Karoly robi niepewną minę i rozgląda się, czy nikt go nie widzi. Sari ma nadzieję, że się obrazi i pójdzie sobie. Niech Judit się nim zajmie, myśli. Ale on nie idzie, tylko podsuwa jej pod nos prawą rękę.

- Chodzi o to. Boli i nie chce się goić.

Kłykcie są pokryte krwią i strupami, skóra wokół jest zaogniona.

- Poczekaj.

Zatrząskuje mu drzwi przed nosem i opiera się o nie ciężko. Musi zachować się jak należy, musi, choćby dla dobra Anny, ale jak on śmie przychodzić tu po lekarstwo na obrażenia od okładania żony pięściami, a Anna, choć posiniaczona i poraniona, boi się poprosić o pomoc! Ma ochotę napluć mu w twarz, przeorać mu paznokciami policzek, walnąć go, kopnąć tam, gdzie boli najbardziej.

Kiedy po paru chwilach znów otwiera drzwi, łudzi się, że już go nie będzie, ale on nadal stoi z tępym, zaciętym wyrazem twarzy.

- Masz. - Podaje mu szorstko butelkę, zawierającą miksturę z utartego, zagotowanego korzenia anemonu. - Przemyj tym rękę. Powinno pomóc. - Milknie, zbierając się na odwagę. - I zaproponuj to przy okazji Annie - mówi w końcu. Sprawia jej uciechę, gdy cień zakłopotania przemyka mu po twarzy.

Rozdział 19

Pod koniec ciąży Sari lubi się zdrzemnąć po południu. Złości ją, że energia gdzieś się ulotniła, ale nie może opanować ogarniającego ją czasem znużenia, i dlatego z utęsknieniem czeka na poród. Właśnie ucina sobie jedną z takich drzemek, kiedy przychodzi Anna, i Judit budzi ją, potrząsając delikatnie za ramię.

- Co się stało?

- Anna tu jest. Chce się z tobą zobaczyć. Mówi, że to pilne. Sari jest tak wygodnie w łóżku... Ostatnio zaczęły ją boleć nogi i myśl, że ma znów wstać, wcale jej nie nęci.

- Nie mogłabyś się nią zająć? Judit kręci głową.

- Niestety, powiedziała, że ja nic na to nie poradzę i musi zobaczyć się z tobą. I to na osobności. Nie wiem, o co chodzi, ale wygląda na pobitą. Z drugiej strony, ostatnio zawsze tak wygląda.

Zmarszczka na czole Judit przy tych słowach każe Sari pomyśleć, że ona nie miałyby skrupułów, by napluć Karolyowi w twarz.

Pięć minut później jest już na nogach i doprowadzona do porządku. Wciąż się zżyma, że ją obudzono, ale mówi sobie, że musi być miła dla Anny. W końcu nie jest jej łatwo i z pewnością nie przychodziłaby bez potrzeby, narażając się na niezadowolenie męża. Należy się jej wsparcie.

- Przepraszam, że cię obudziłam - mówi Anna siedząca przy stole.

Sari szybko lustruje ją wzrokiem. Poprzednie siniaki zbladły i są teraz żółtosine, ale ma nowe na prawym policzku i brzydko wyglądające ślady na gardle, które przenikają Sari dreszczem. Anna trzyma lewe ramię w nienaturalny sposób, jakby było wykręcone. Wygląda źle, ale nie gorzej niż ostatnio, nie ma chyba innych powodów, dla których szuka teraz jej pomocy. Może to coś niewidocznego na pierwszy rzut oka, może gwałt, o którym wstydy się mówić przy Judit?

- No to... - odzywa się Judit z udanym ożywieniem - pójdę nakarmić gęsi... - Wzrusza lekko jednym ramieniem i nic już nie mówiąc, wychodzi szybko do zielnego ogródka.

- Chcesz coś do picia? - pyta Sari.

Anna ma dziwny wyraz twarzy, jakby zbierała się na odwagę, żeby coś powiedzieć i Sari czuje, że przyda się jej trochę zachęty.

- Może być kawa. Siadaj, sama zrobię.

Sari nie protestuje i sadowi się za stołem, tłumiąc jęk. To jeszcze jeden objaw ciąży, który ją złości, te wszystkie nieuzasadnione jęki, steki i piski, które same cisną się na usta!

Anna stawia przed nią kubek kawy i obchodzi stół, żeby usiąść naprzeciwko. Sari zauważa, że lekko utyka, rusza się ostrożnie, a siadając, krzywi.

- Muszę zaraz wracać - mówi. - Karoly poszedł z wizytą do Zsigmonda Kissa, ale muszę być w domu przed nim.

- Rozumiem. Co ci zrobił tym razem? Anna prychnęła gorzkim śmiechem.

- To co zwykle. Jest coraz gorszy. Pije bez przerwy. Myślę, że ma z wojny złe wspomnienia i pije, żeby zapomnieć, ale tylko robi się smutny i zły, a potem wpada we wściekłość. To jest... to jest nie do wytrzymania.

- Co ci się stało w rękę?

- Trzymał mnie... trzymał mnie pod sobą. Wykręcił mi ramię za plecy, żeby... wiesz, co mam na myśli. - Anna czerwieni się i Sari przypomina sobie, jak otwarcie mówiła o miłości z Giovannim; to zażenowanie najlepiej świadczy o jej upokorzeniu. - Chyba lubi to bardziej... sprawia mu to większą przyjemność, kiedy jednocześnie zadaje mi ból.

- Łajdak.

Anna potakuje ze znużonym uśmiechem. Czy chce tylko porozmawiać? - zastanawia się Sari. Bardzo dobrze. Pamięta, jaka czuła się samotna, kiedy mieszkała z Ferencem i miała wrażenie, że jest jedyną kobietą na świecie, która przechodzi takie piekło. Chce powiedzieć Annie, że rozumie, ale właśnie wtedy ona podnosi głowę i po raz pierwszy patrząc jej prosto w oczy, mówi:

- Potrzebuję twojej pomocy, Sari. Sari jest zmieszana.

- No oczywiście, że ci pomogę! O co ci chodzi? Mam mnóstwo środków na twoje rany...

Anna kręci przecząco głową.

- Nie rozumiesz. Potrzebuję twojej pomocy, żeby rozprawić się z Karolyem w taki sam sposób, jak ty rozprawiłaś się z Ferencem.

Sari robi się ciemno przed oczami i przez jedną chwilę jest pewna, że zemdleje. Kiedy dochodzi do siebie, ma nadzieję, że się przesłyszała, że to jakieś nieporozumienie, że źle zrozumiała i że Anna miała na myśli coś zupełnie innego, niż jej się wydało. Ale kiedy patrzy na Annę, widzi tę samą upartą, zaciętą minę i wie, że Anna wie, i Boże, jest cały świat, cały wszechświat między obawą, że Anna coś podejrzewa, a pewnością, że wie.

- O czym ty mówisz? - pyta słabym głosem, chcąc zyskać na czasie.

- Nie musisz mnie okłamywać, Sari. Nie winię cię. Nikt cię nie wini.

- Kto...? Czy wszyscy wiedzą?

Anna jest zdumiona poruszeniem Sari.

- Nie, nie wszyscy, jasne, że nie. Wiele osób wierzy w to, że zachorował i umarł. Ale my... Nie winimy cię, Sari; domyśliłyśmy się prawdy tylko dlatego, że wiedziałyśmy, jak cię traktował i co się stało z Markiem. Każdy zrobiłby to samo na twoim miejscu, każdy.

- Skąd...?

- To się czuje, Sari. Kiedy cię samą spotkało coś takiego, wyczuwasz, gdy spotyka to inną kobietę. Ta historyjka, że Marco został zabity podczas próby ucieczki... większość uwierzyła. Ukrywaliście się i myślę, że nie wszyscy wiedzieli, że jesteście kochankami. Ale mnie zawsze jego śmierć wydawała się podejrzana. I to w tym samym czasie, kiedy zamieszkałaś z Ferencem i przestałaś się pokazywać... to było jeszcze bardziej podejrzane. A te kilka razy, kiedy wyszłaś z domu... ukrywałaś się dobrze, trzeba przyznać, ale jeśli się wie, na co patrzeć, jak ja, nietrudno było zgadnąć, że cię bije. Najpierw nie mogłam w to uwierzyć. Zawsze go lubiłam i szanowałam; myślałam, że to niemożliwe, żeby ktoś taki jak on tak się zachowywał. Ale wojna zmienia ludzi.

Sari walczy z sobą, by nie położyć twarzy na rękach; zmusza się, by patrzeć na Annę, której usta się nie zamykają. Teraz, kiedy zaczęła mówić, nie może powstrzymać potoku słów.

- Usłyszałam potem, że znowu choruje; na pewno mnóstwo ludzi w to uwierzyło, bo i ja prawie uwierzyłam, ale nie do końca. Wiedziałam, że masz powód - z jej głosu bije gorycz - że takie kobiety jak my nie mogą liczyć na pomoc Boga, losu czy czegokolwiek. Kiedy umarł, byłam już pewna, że musiałaś się do tego przyczynić.

Sari ma wyschnięte usta. Upija duży łyk kawy, która ją parzy.

- Boże - mówi drżącym głosem. Dziecko w jej brzuchu podskakuje nagle, jakby dzielając jej przerażenie.

Anna chwyta ją za rękę przez stół.

- Nie rozumiesz? Nie musisz się martwić. Jestem po twojej stronie. Wiem, czemu musiałaś tak postąpić i nie mam zamiaru nic nikomu mówić. Obiecuję. - Parska wymuszonym śmiechem. - W tym, co zrobiłaś, nie ma niczego niezwykłego. Kobiety radziły sobie tak od wieków. Spytaj Judit, ona ci powie.

- Kto jeszcze wie? - szepcze Sari.

- Tylko my. Ja, Luj za, Lilike i kilka innych dziewczyn, które pracowały z nami w obozie. Same kobiety, które cię znają i lubią. Możesz nam zaufać. Możesz zaufać mnie. Nikt nie piśnie słowa.

- Dobrze - mówi Sari. - Dobrze.

Oddycha głęboko. Nie jest tak źle, myśli. Mogło być gorzej. Anna nie pobiegnie na policję, ani żadna z jej przyjaciółek. Nie jest tak źle, jak mogło być.

- Pomożesz mi? - pyta Anna.

Sari przypomina sobie - o nie, jednak jest bardzo źle.

- Anno - mówi błagalnie - ty jesteś w innej sytuacji. Nie jesteś w ciąży. Rodzina Ferencza zna ludzi we wszystkich okolicznych wioskach. Ty możesz uciec, ale gdybym ja uciekła, znalazłby mnie i zabił. Zabiłby też moje dziecko.

Anna nachyla się nad stołem.

- Myślisz, że Karoly nie mówi tego samego? Ze jeśli odejdę, to nie spocznie, póki mnie nie znajdzie i nie zakatrupi? Pewnie by tego nie zrobił. Nie jest tak sprytny jak Ferenc ani tak bogaty. Może mogłabym uciec. Tylko skąd wziąć pieniądze? Karoly nie ma takich możliwości, jakie miał Ferenc, ale ja nie mam takich, jakie masz ty. Nic nie jest moje, nic, i nie mam twojej wiedzy o okolicy, o tych wszystkich roślinach, zwierzętach i miejscach, gdzie się można ukryć, o rzeczach, jakich nauczyłaś się od ojca i Judit. Nie przetrwałabym nawet doby sama na równinie; umarłabym albo została zabita, albo znaleziona przez policję i to byłby mój koniec.

Milknie na chwilę, zbierając myśli.

- Posłuchaj - ciągnie. - Kiedy Giovanni wyjeżdżał, poprosił, żebym do niego przyjechała. Wiem, gdzie mieszka i gdybym miała za co, mogłabym tam dotrzeć. Nie stać go, żeby przysłać mi pieniądze, w każdym razie aż tyle, ile bym potrzebowała, a mogę zdobyć odpowiednie środki dopiero po śmierci Karolya. Mam biżuterię po babce, ale Karoly ją zamknął i trzyma klucze cały czas przy sobie. Nie dostanę ich do rąk, póki on żyje.

- Jeśli stanowczo chcesz go zabić - mówi Sari powoli - to nie rozumiem, do czego jestem ci potrzebna. Tym bardziej że masz zamiar zaraz potem uciec.

- Ale ty to zrobiłaś tak, że wyglądało, jakby Ferenc rozchorował się i umarł. Może niektóre z nas miały swoje podejrzenia, ale nie było dowodów. Z przyjemnością rozwalilibym Karolyowi łeb siekierą i uciekła, ale wtedy uznano by mnie za wariatkę i zarządzono poszukiwania. Jeśli zrobię to twoim sposobem... wszyscy tu wiedzą, jaki jest Karoly. Choć to moje nieszczęście, teraz mogłoby to obrócić się na moją korzyść. Gdyby to był ktoś inny, ludzie pewnie zaczęliby coś podejrzewać, ale jeśli zachoruje i umrze, ktoś będzie się dziwił, że wzięłam, co mogłam, i jak najszybciej wyjechałam? Wszyscy wiedzą, że jest złym mężem, nie ma też najbliższej rodziny, która robiłaby szum wokół jego śmierci. Dokładnie to przemyślałam, Sari. Mogę to zrobić. Musi się udać. Ale potrzebuję twojej pomocy.

Sari słucha Anny i niemal daje się przekonać. Niemal. Biedna Anna, jest w takiej samej biedzie jak ona sama kilka miesięcy temu, a cóż by zrobiła, gdyby Judit jej nie pomogła? Ale nie. Wykluczone. Nie może tego zrobić.

- Mam już dwie śmierci na sumieniu, Anno. Nie mogę dodać trzeciej. Wybacz.

Anna gryzie wargę, jakby następne słowa nie chciały jej przejść przez usta.

- Będziesz mieć trzy śmierci na sumieniu, tak czy tak. Jeśli mi nie pomożesz, Karoly prędzej czy później mnie zabije albo ja sama popełnię samobójstwo. Dobrze wiesz, że tak się to skończy. Nie mogę z nim zostać.

- Nie powinnaś tak do mnie mówić. To nie jest w porządku.

- Nic nie jest w porządku. Sari, do licha, próbuję tylko uratować życie. To wszystko.

Zapada cisza. Anna wie, że wyczerpała swoje możliwości: jeśli to nie zmiękczy Sari, nic jej nie przekona. Sari jest zdruzgotana, wstrząśnięta, przerażona i załamana, ale myśli: co byś zrobiła, gdyby Judit ci nie pomogła? Co byś zrobiła? Nie może pozbyć się tej myśli.

- Nie rzuciłam na niego klątwy, jeśli tak to sobie wyobrażasz - mówi nagle. - To nie takie łatwe. Otrułam go. Będziesz musiała sama to zrobić, dodając mu truciznę do jedzenia. Może to nie takie straszne jak... bo ja wiem, jak zarąbać go siekierą, ale musisz to zrobić własnymi rękami. Niemiło jest na to patrzeć. Musisz być pewna, że potrafisz to znieść.

- Sari... - Anna rozjaśnia się, jej oczy błyszczą niepokojącą mieszaniną zawziętości i uciechy. - To będzie czysta przyjemność. Każdy krok.

- Jeszcze nic nie postanowiłam - dodaje szybko Sari. - Nie mówię, że na pewno ci pomogę. Ale... przyjdź jutro. O tej samej porze, jeśli możesz. Muszę nad tym pomyśleć.

Anna patrzy na nią przez chwilę, jakby coś jeszcze miała na końcu języka, ale tylko kiwa głową i wstaje.

- Dobrze. Spróbuję przyjść jutro. Teraz muszę już wracać.

- Wybacz, że nie odprowadzę cię do drzwi. - Sari wskazuje na swój rozdęty brzuch. - Ciężko mi się ruszać.

Anna uśmiecha się - to pierwszy prawdziwy uśmiech, jaki Sari widzi na jej twarzy od dawna.

- Oczywiście. - Idzie do drzwi i przystaje z ręką na klamce. - Chcę tylko, żebyś wiedziała - mówi, odwracając się do Sari - że cię nie szantażuję. Jeśli mi nie pomożesz, będę zrozpaczona, ale nie powiem nikomu o Ferencu. Nie chcę, żebyś sądziła, że mogłabym zrobić coś takiego tobie albo twojemu dziecku.

- Dziękuję - mówi Sari i jest jej naprawdę głęboko wdzięczna. Dobroć Anny to najsilniejsza broń w jej rynsztunku; słusznie zostawiła ją sobie na sam koniec.

Rozdział 20

To zadziwiające, myśli Sari, jak łatwo zostać morderczynią. Pomoże Annie. Mimo wątpliwości wiedziała to od samego początku, ale to całkiem co innego niż przy Ferencu. Karoly, choć jest nikczemnikiem, nigdy jej samej nic złego nie zrobił. Teraz Sari nie może twierdzić, że walczy o własne życie. To rodzaj morderstwa na odległość, nie ona będzie zabijać i nie ona została skrzywdzona. W myślach porównuje to do wojny. Wolno tam zabijać ludzi, których się nigdy nie spotkało, w obronie ojczyzny i bliskich. W tej wojnie Sari i Anna są zdecydowanie po jednej stronie.

Po wyjściu przyjaciółki omawia wszystko z Judit, która - jak się należało spodziewać - podchodzi do sprawy beznamiętnie.

- Wiesz, że sumienie niewiele mnie obchodzi - mówi. - A nawet gdybym chciała być moralna, zapewne zrobiłabym wyjątek dla tego drania Karolya. On z pewnością nie zasługuje na to, by żyć. Jeśli chcesz pomóc Annie, pomóż jej. Ma rację, takie rzeczy dzieją się nie od dziś. To nic nowego. Boję się tylko, żebyś ty nie wpadła w tarapaty. Jedna tajemnicza choroba w wiosce da się wytłumaczyć, ale druga, zwłaszcza jeśli zachoruje mąż kogoś tak z tobą związanego jak Anna, może budzić podejrzenia. Nie martwię się o siebie; żyłam już dość długo, mogę bez żalu umrzeć choćby jutro. Boję się tylko, żebyś ty nie ściągnęła sobie na głowę kłopotów.

Sari też się tego obawia. Wie, że to igranie z ogniem, ale im więcej myśli, tym bardziej czuje, że nie może zostawić Anny jej losowi. Ryzyko nie jest zresztą aż tak duże; Anna ma rację: Karolya nie lubią w wiosce. Wszyscy szanują Annę, i widzą, jak ją traktuje mąż; nie ma bliskiej rodziny, która darzyłaby go uczuciem mimo rażących wad. Na swój sposób będzie to o wiele bezpieczniejsze niż zgładzenie Ferencu, a tamto się przecież udało...

- Postanowiłam jej pomóc - oświadcza, a Judit uśmiecha się tylko i wzrusza nieznacznie ramionami.

- Tak przypuszczałam. No, to bierzmy się do roboty.

- Zostało mi jeszcze trochę proszku po Ferencu...

- Trzeba przygotować więcej. Kto wie, może jeszcze ktoś będzie go potrzebował?

Możemy rozkręcić niezły interes, Sari!

Chociaż Judit żartuje (przynajmniej tak się wydaje), Sari nie może przestać myśleć o jej słowach. Wciąż przekracza jakieś granice. Zabijając Ferencu, przekroczyła tę, której nie waży się przejść większość ludzi, i wraz z tym straciła resztki wiary w zbawienie, co ułatwiło

jej przekroczenie następnej. Czy tak będzie bez końca? Nie sądzi, ale gdzieś w głębi duszy zadaje sobie pytanie, czy to ma właściwie jakieś znaczenie.

Anna nie przychodzi następnego dnia. Sari wie, że jest zdana na łaskę Karolya. Nie może do nich przyjść bez jego wiedzy lub bez jakiegoś poważnego pretekstu, boi się jednak, że Karoly jakimś cudem dowiedział się o ich wczorajszej rozmowie i uprzedził wydarzenia. Ta myśl rozwiewa jej ostatnie wątpliwości. Skoro ma mieć na sumieniu jeszcze jedną śmierć, zdecydowanie woli, by to była jego śmierć, nie Anny.

Anna zjawia się nazajutrz rano, krzywi się, przechodząc wysoki próg.

- Nie przyszłam wczoraj, bo on...

- Nie szkodzi. Najważniejsze, że jesteś.

Sari rzuca znaczące spojrzenie na Judit, która wzdycha ciężko, podnosi się z krzesła i wychodzi do ogrodu. Anna z pewnością domyśla się, że Judit wie o wszystkim, ale nie czuje się swobodnie w jej obecności - jak zresztą większość ludzi, zważywszy na cięty język Judit. Łatwiej jej omawiać tak delikatną sprawę jak zabójstwo męża sam na sam z przyjaciółką.

Sari myśli, że mimo woli naśladuje Judit, gdy stawia przed Anną miseczkę z proszkiem. Z przerażeniem łapie się na tym, że jest dziwnie podniecona, udzielając jej pomocy; ostrożnie bada swoje sumienie, ale nie znajduje nigdzie poczucia winy. Nie będzie się teraz o to martwić; jeśli piekło istnieje, już jest na nie skazana. Brak skruchy po dwóch morderstwach nie może być znacznie bardziej godny potępienia od braku skruchy po jednym.

Tłumaczy Annie, jak działa niewinnie wyglądający proszek. Przez cały czas Anna milczy, z szeroko otwartymi oczami, jakby dopiero teraz docierało do niej, co naprawdę chce zrobić. Sari kończy szczegółową instrukcję, taką samą jak ta, którą otrzymała od Judit, opiera się o krzesło i mierzy Annę krytycznym wzrokiem. Przyjaciółka nie patrzy na nią, tylko nadal jak zafascynowana wpatruje się w spłaszczoną górkę proszku.

- Chcesz mojej rady? - pyta Sari i Anna kiwa głową bez słowa.

- Daj mu od razu sporą porcję. Nie jest taki jak Ferenc; Ferenc był ufny, a Karoly jest z natury podejrzliwy. Musisz od razu zwalić go z nóg, żeby nie mógł nic zrobić, pobić cię ani poskarżyć się nikomu. Rozumiesz?

- Dlaczego nie dać mu od razu tyle, żeby... no wiesz, z miejsca padł?

- Daj spokój, Anno. Słusznie mówisz, że nikt stąd nie przepada za Karolyem i nikt nie będzie się troszczył o przyczynę jego śmierci, jeśli sama nie będziesz się o to prosić. Gdybyś go zabiła z dnia na dzień, sama byś ściągnęła na siebie karę. To by było równie podejrzane jak siekiera w głowie. Chyba rozumiesz?

- No tak.

Anna znów patrzy na proszek i Sari przez chwilę zastanawia się, czy nie zmieni zdania i nie odstąpi od swego zamiaru, taka jest zdenerwowana i niepewna. Nagle jednak podnosi oczy z niespodziewanie wesołym uśmiechem.

- Idę do domu i zabieram się do roboty. Sari odwzajemnia ten uśmiech, ale ze smutkiem. Zawsze podziwiała dobroć Anny i myśl, że pomaga w uczynku, który splami jej nieśmiertelną duszę - a Anna w nią wierzy, w przeciwieństwie do niej - napawa ją smutkiem.

- Zanim pójdziesz, powtórz, co masz zrobić.

I Anna powtarza, jak dziecko klepie wyuczoną lekcję:

- Dać mu dużą porcję dziś wieczorem. Przyjść tu jutro i powiedzieć, że jest chory i nie wiem, co mu jest. Ty albo Judit pójdziecie udzielić mu pomocy. Trzeba z nim skończyć w ciągu paru dni... A potem wyjeżdżam - dodaje wyzywającym tonem.

Sari próbowała ją namówić, żeby została choćby do pogrzebu, by uniknąć podejrzeń, lecz Anna zdecydowanie odmówiła i Sari dała za wygraną. To zresztą i tak nie ma chyba większego znaczenia.

- Dobrze. Tylko... tylko bądź ostrożna, Anno. Mam nadzieję, że zobaczę cię jutro.

Nazajutrz, punktualnie jak w zegarku, Anna wali głośno w drzwi o wpół do jedenastej. Sari uśmiecha się pod nosem: wybrała doskonałą porę. Jest środek dnia i uliczki są zatłoczone świadkami, którzy na własne oczy zobaczą, jak sprowadza Sari i Judit do chorego męża. Całe szczęście, że nie ma nikogo obcego, bo Anna nie umie ukryć podniecenia.

- To działa, Sari! - mówi radosnym szeptem. - Jest w agonii, bydlak!

Obie z Judit idą wraz z nią do jej domu. Sari musi co chwilę trącać ją łokciem, bo Anna wygląda, jakby doskonale się bawiła, a nie martwiła o zdrowie męża.

Kiedy docierają na miejsce, Anna przestaje udawać i gdy tylko zamykają za sobą drzwi, obwieszcza na cały głos:

- Ten łajdak jest w pokoju. Nie ma sensu do niego wchodzić; wykończę go w ciągu paru dni. Nie dawajcie mu nic na ból. Chcę, żeby cierpiał.

Sari czuje jednocześnie zgrozę i uciechę, Judit nie ma takich kłopotów. Chichocze jak to ona.

- Dzielna dziewczyna! Nastaw wodę, napijemy się kawy i posiedzimy tu chwilę, żeby wyglądało, że udzielamy mu pomocy.

Zostają niemal godzinę, przez cały czas Anna nie może usiedzieć w miejscu. Wiedzioną nerwowym podnieceniem, co rusz podrywa się i patrzy przez drzwi sypialni na Karolya, ale nie podchodzi do niego. Nawet nie próbuje udawać, że się nim zajmuje.

- Chcę, żeby wiedział, że to ja mu to robię - mówi do Sari, gdy obie z Judit zbierają się do wyjścia. - To ostatnia okazja pokazać bydlakowi, co o nim myślę.

- Rozpowiemy we wsi, że jest chory. Chociaż i tak wszyscy, których spotkałyśmy po drodze, już zaczną gadać. Daj mu jeszcze parę dni, a potem z nim skończ.

Anna kiwa głową.

- Zabrałam mu już klucz, mam biżuterię i pieniądze. Strasznie mnie kusi, żeby od razu się wynieść, ale poczekam, obiecuję.

- Musisz poczekać, Anno. Nie możesz ściągać na siebie podejrzeń. Nadal chcesz wyjechać zaraz po jego śmierci?

- Zdecydowanie. Gdy tylko umrze.

- Dobrze. Ale daj mi znać. Zostaw coś... nie wiem... gałązkę czereśni na stopniach naszego domu. Wtedy będę wiedziała, że trzeba tu przyjść i się nim zająć. Ale poczekam cały dzień, żebyś miała czas się oddalić, gdyby ktoś chciał cię ścigać.

Anna ma łzy w oczach.

- Nie wiem, jak ci dziękować, tobie, Sari... i Judit, wam obu.

Sari przygarniają do siebie i mocno przytula. Nie jest przyzwyczajona do okazywania takiej serdeczności, toteż uścisk ciała Anny jest dla niej zarówno krepujący, jak i przyjemny.

- Powodzenia, Anno. Jeśli zdołasz przesłać mi jakoś wiadomość, że wszystko poszło dobrze, że jesteś bezpieczna...

- Przyrzekam.

Drzwi zamykają się za nimi z hukiem.

Przez następne dwa dni Sari nie może przestać myśleć o Annie, trawiona niepokojem, a zarazem ożywiona podnieceniem. Zadręcza się, że jeśli coś źle pójdzie, Anna zostanie powieszona lub skończy w więzieniu. Ale jeśli się uda, droga ucieczki stanie przed nią otworem, o czym nawet nie śmiała marzyć. Sari nigdy nie była wzorem cierpliwości i czuje teraz wielką pokusę, żeby zajść do niej i dowiedzieć się, co się dzieje. Po południu drugiego dnia wkłada już płaszcz, gdy Judit pytają, dokąd się wybiera.

- Do Anny - odpowiada buńczucznie. Judit kręci głową.

- Nigdzie nie pójdziesz. Pomogłaś jej tyle, ile mogłaś. Reszta należy do niej. To bystra dziewczyna, da sobie radę.

- Ale czy to nie będzie wyglądać podejrzanie, jeśli do niej nie zajrzemy? Skoro Karoly jest tak chory, że może umrzeć, czy nie powinniśmy go teraz leczyć?

- No cóż, zależy jak na to spojrzeć. Jesteś wprawdzie kobietą, która udziela pomocy chorym, z drugiej strony jednak jesteś też kobietą, której narzeczony zmarł nagle nie tak dawno temu. Nie da się wykluczyć, że twoja wizyta przed śmiercią Karolya raczej wzbudzi podejrzenia, niż je oddali.

Sari nie pomyślała o tym i zastyga z jedną ręką w rękawie płaszcza.

- Nic tam po tobie, moja miła. Zostaw ją w spokoju. Chyba możesz poskromić ciekawość przez parę dni?

Ale Sari nie musi poskramiać jej aż tak długo. Kiedy budzi się nazajutrz, czuje różnicę w powietrzu. Coś się zdarzyło. I kiedy otwiera drzwi frontowe i znajduje małą, niepozorną gałązkę czereśni leżącą spokojnie na schodkach, niespodziewanie przesywa ją głęboki smutek. Anna wyjechała - jedyna osoba w wiosce oprócz Judit, której przyjaźni mogła być całkowicie pewna. A pod smutkiem uparcie pulsuje zazdrość. Jeszcze kilka dni temu nie wyobrażała sobie, że Anna wyrwie się z wioski w świat, a teraz to ona, Sari, tu zostanie. Przez chwilę przeklina pogrążoną w błocie i nędzy wieś, potem wraca do domu z gałązką w ręce i zamyka drzwi.

Judit patrzy na gałązkę i jej pomarszczona twarz rozjaśnia się szerokim uśmiechem.

- Dzielna kobieta!

Odczekują cały dzień, a potem idą do domu Anny, gdzie jej nieobecność aż bije w oczy. Łoże śmierci Karolya nie wygląda estetycznie; widać, że Anna niezbyt się przykładala do opieki nad nim podczas jego krótkiej i gwałtownej choroby, ale Sari nie czuje współczucia. Razem z Judit doprowadzają wszystko do jakiegoś takiego porządku, zanim powiadomią wioskę o jego śmierci.

Jak przewidywały, nikt we wsi go nie oplakuje. Nawet mężczyźni, których mógłby nazwać przyjaciółmi, ci, z którymi pił i grał w karty, nie lubili go; paskudny charakter Karolya dał się we znaki nie tylko Annie i nie zaskarbił mu niczyjej sympatii. Zostaje pogrzebany bez wielkich ceregieli, Sari jak zwykle wypisuje akt zgonu dla odpowiednich władz w Varos i nikt nawet nie proponuje, żeby wezwać księdza z sąsiedniej wioski. Zniknięcie Anny wywiera na ludziach większe wrażenie, jako że była powszechnie lubiana, bardziej niż Sari sądziła, bo nawet plotki są dla niej łaskawe.

- Kto by ją winił za to, że wyjechała, gdy tylko umarł? - mówi Matild Nagy na placu targowym fałszywie poufałym szeptem. - Wiemy, jak ją traktował. Dla niej to dobrze, że tak się stało. Zasługuje na lepsze życie.

Wioska żyje nagłą śmiercią Karolya i zniknięciem Anny przez kilka dni, a potem sprawa cichnie i Sari zostaje z uczuciem słodkiej ulgi i bolesnej tęsknoty. Często myśli o Annie, stara się podążać w myślach jej śladem - jak bardzo odczuwa jej nieobecność!

Tydzień później Anna powinna już być w Budapeszcie. Sari próbuje ją tam sobie wyobrazić, co nieco utrudnia fakt, że musi wyobrazić sobie także Budapeszt. Rozlega się pukanie do drzwi, Sari pospiesznie żegna się z obrazem przyjaciółki i wstaje ciężko z krzesła, dopijając stygnącą kawę, ale ubiega ją Judit, która porusza się niezwykle szybko jak na kobietę w jej wieku.

- Siedź! - rzuca w przelocie. - Odpoczywaj! Ja otworzę.

W drzwiach stoi Orsolya Kiss, a za nią Jakova Gersek i Matild Nagy. Judit cofa się ze zdumieniem. Kobiety wzajemnie się nie znoszą i zwykle Orsolya i jej gwardia przyboczna przyszłyby tu tylko w ogromnej potrzebie; na pierwszy rzut oka nie widać, żeby którejś z nich coś dolegało. Przeciwnie, Orsolya wygląda wyjątkowo dobrze, na pyzatej twarzy rozkwita pewny siebie uśmiech.

- Orsolya, Jakova, Matild - mówi Judit, szybko odzyskując rezon. - Co za niespodzianka! Czym możemy służyć?

Orsolya uśmiecha się jeszcze szerzej.

- To delikatna sprawa. Porozmawiajmy przy kawie. Możesz wstawić wodę, Sari?

- Ja wstawię - wtrąca Judit szybko i idzie do kuchni, a Orsolya i jej przyjaciółki bez zaproszenia siadają przy stole naprzeciwko Sari.

Sari ma nerwy napięte jak struny; nie ufa całej trójce i wietrzy kłopoty. Przyjaciółki Orsolyi są zakłopotane, kręcą się nerwowo, jakby ciągnęło je do wyjścia, ona jednak jest wcieleniem spokoju i siedzi przy stole, jakby była u siebie w domu. Mówi do Sari z obłudnym uśmiechem:

- Dobrze wyglądasz mimo wszystko.

Sari stara się odwzajemnić uśmiech - nie zaszkodzi wykazać się dobrą wolą - ale usta nie chcą jej słuchać i słowa z trudem przechodzą przez gardło.

- Dziękuję, ty też wyglądasz doskonale.

Orsolya nie zwraca uwagi na niewypowiedziane pytanie zawarte w tym komplemente: co wobec tego tutaj robisz?

- I czuję się doskonale. Naprawdę doskonale.

Na tym rozmowa się urywa i aż do powrotu Judit Sari przeżywa męki, przerażona i skrepowana; Orsolya natomiast wygląda, jakby nigdy nie czuła się swobodniej.

- No - zaczyna Judit, rozstawiając filiżanki kawy i siadając obok nich przy stole - co możemy dla was zrobić?

- Cóż... - odpowiada Orsolya z jeszcze jednym słodziutkim uśmiechem - miałyśmy nadzieję, że podzielicie się z nami swoim... doświadczeniem.

Sari zastyga. A więc stało się, myśli, ale Judit wydaje się nie rozumieć.

- Oczywiście - mówi, marszcząc lekko brwi. - Po to tu jesteśmy. Kto jest chory?

- Nie, nie - Orsolya starannie dobiera słowa. - Źle mnie zrozumiałaś. Nie potrzebujemy pomocy w leczeniu. Całkiem przeciwnie, w gruncie rzeczy.

Następuje krótka, pełna napięcia cisza. Potem Judit oświadcza sztywno:

- Nie wiem, o czym mówisz. Orsolya śmieje się nieszczerze.

- Daj spokój! Nie musicie przed nami udawać. Nie mamy za złe Annie tego, co zrobiła z Karolyem ani wam, że jej pomogliście. Wprawdzie nie bardzo rozumiem, czemu uznałaś za słuszne zabić Ferencę, Sari, uważałam go za miłego chłopca, a ciebie za szczęściarę, że go złapałaś; ale w końcu kimże jestem, żeby cię osądzać?

- Czego chcesz? - pyta Sari.

- Myślałam, że wyrażam się jasno. Nie powinnaś być samolubna i zgarniać wszystkiego dla siebie, dzieląc się tylko z najlepszymi przyjaciółkami. Dużo się tu zmieniło po wojnie, odkąd mężczyźni wrócili, i nie bardzo się nam to podoba. Przyzwyczailiśmy się do poprzednich porządków i teraz... teraz chciałobyśmy się pozbyć pewnych... uciążliwości. Myślimy, że możecie nam w tym pomóc.

- A jeśli nie pomożemy? - pyta Judit. Zachowuje imponujący spokój, choć jej policzki płoną purpurową czerwienią.

- Nie myślcie, że wam grozę czy coś takiego. Ale mam kuzyna, który jest policjantem w Varos, i daję głowę, że bardzo by go zainteresowała historia dwóch podejrzanych śmierci, które tu niedawno nastąpiły.

- Nie masz dowodów - mówi Sari; serce wali jej jak młotem, dziecko wykonuje oszalały skok w jej brzuchu.

- Może i nie mam. Ale co to ma za znaczenie? Wystarczy, że do rodziców Ferencę dotrą pogłoski, dlaczego umarł. Nie chcę być niemila, ale jego rodzina ma nieco większe wpływy w okolicy niż wy. Nikt nie będzie podawał w wątpliwość ich oskarżeń, prawda?

- A jeśli wam pomożemy? - pyta Judit.

- Wtedy nie będzie w naszym interesie rozpowiadać, co się tu dzieje.

Zgadniają się - jakie mają wyjście? Umawiają się zwięźle, rzeczowo. Orsolya i jej przyjaciółki mają wrócić za dwa dni, żeby dać Judit i Sari czas na przygotowanie tego, co im

będzie potrzebne. Sari dźwięczą w głowie słowa Judit sprzed tygodnia o rozkręcaniu interesu. Handlujemy teraz śmiercią, myśli i musi siłą opanować histeryczny śmiech.

Kiedy Orsołya wychodzi, Sari nie może się powstrzymać, żeby nie zapytać:

- Skąd wiedziałaś? Skąd miałaś taką pewność? Orsołya znów się śmieje i kładzie jej rękę na ramieniu.

- Moja droga, nie miałam pewności. Ale prawda ma w tym wypadku znaczenie drugorzędne; dość jest ludzi gotowych uwierzyć raczej mnie niż tobie. Zapominasz, Sari - nachyla się, jakby powierzała jej ważny sekret - że tak naprawdę u nas się nie liczysz. Żadna z was się nie liczy. Nic a nic.

1920

Rozdział 21

Lilike nie chciała wyjeżdżać z Falucski. Mieszkała tu całe życie. Jej świat ograniczał się do płaskiego krajobrazu puszczy i bezkresnego nieba, i chociaż odwiedzała czasem Varos, nigdy nie była w stanie uwierzyć, że to miasto jest równie rzeczywiste jak wioska, że ulice wypełnione pojazdami konnymi mogą istnieć w tym samym świecie co rzeka, las i placyk targowy, przy których wyrosła.

Jednak zadomowiła się w mieście. Kiedy rok temu matka powiedziała jej, że przeprowadzają się do Varos, do ciotki, Lilike płakała całymi dniami, ale teraz patrzy na tę rozpaczającą dziewczynę z wyższością i współczuciem. Początkowo martwiła się, że kuzynki, światowe panny, będą zadzierać nosa i kpić z jej prowincjonalności, przez pierwszych parę tygodni bała się do nich odezwać. Ale okazały się bardzo miłe. Jej garderoba powiększyła się o ofiarowane przez nie stroje i kiedy rano wkłada elegancką muślinową suknię, myśli sobie, że już wcale nie tęskni za wioską. Rozwiały się nawet obawy, że przez romans z Umbertem straci szanse na znalezienie w Varos męża - kiedy z zakłopotaniem przyznała się do wszystkiego kuzynkom, były raczej skłonne do gratulacji niż potępienia. Jak widać, od czasów wojny takie rzeczy zyskały jeśli już nie powszechne przyzwolenie, to przynajmniej zrozumienie.

Ona i jej matka nigdy nie prowadziły szczerzej rozmowy o przyczynie wyjazdu, ale Lilike wie swoje. Najpierw starała się zachować spotkania z Umbertem w sekrecie przed matką, z czasem jednak stała się mniej ostrożna. Gdy nadeszła wiadomość o śmierci jej brata, matka przestała zajmować się czymkolwiek prócz układania i przekładania jego ubrań w skrzyni przy łóżku. Lilike wychodziła coraz częściej i wracała coraz później. W rzadkich chwilach spędzanych z matką zauważyła, że jej przygnębienie mija, ale przypisywała to wyłącznie upływowi czasu aż do dnia, gdy idąc z Umbertem w głąb lasu, natknęła się na matkę w objęciach starszego włoskiego oficera, którego znała z widzenia.

Z oczami rozszerzonymi zdumieniem pociągnęła Umberta za rękę, kładąc palec na ustach. Oddalili się na palcach. Później odkryła, że jej to nie porusza ani nie gorszy. Pamiętała, jak matka, z rękami czerwonymi i spierzchniętymi od prania, opiekowała się ojcem podczas jego śmiertelnej choroby; pamiętała, jak chodziła od ściany do ściany i płakała w sąsiednim pokoju, podczas gdy Lilike i jej brat tulili się do siebie w łóżku. Uznała, że należy jej się trochę szczęścia.

Matka powinna jednak wziąć pod uwagę, że to nie potrwa długo. Lilike przeżyła wyjazd Włochów bez większego wstrząsu. Zawsze wiedziała, że wyjadą, poza tym niewiele ją łączyło z Umbertem poza seksem, nie roiła sobie, że kiedyś będą żyć razem długo i szczęśliwie. Matka zniosła to gorzej i wróciła do przekładania ubrań. Lilike zaczęła się budzić w nocy, słysząc, jak krzyczy przez sen i rzuca się na łóżku, nękana snami, których rano nie umiała opisać.

Śmierć męża Orsolii Kiss przepełniła miarę. Był ich dalekim kuzynem i w ciągu jego krótkiej obłożnej choroby (o której wiele mówiono w wiosce) matka robiła się coraz bardziej niespokojna. W dniu, gdy dowiedziały się, że umarł, zaczęła się pakować i po paru dniach wyjechały. Ilekroć potem Lilike wspominała wioskę, matka zmieniała temat i w końcu Lilike przestała mówić o Falucse.

Toteż gdy dociera do nich wieść o śmierci Tomasa Gerseka, Lilike spodziewa się, że matka znów dostanie ataku nerwowego, tymczasem ona prostuje się stanowczo. Gersekowie byli ich sąsiadami. Kiedy ojciec chorował, Jakova pomagała matce w kuchni, a Tomas rąbał drewno na opał, naprawiał płot i wykonywał różne męskie prace, których ojciec nie był już w stanie robić.

- Powinnyśmy pojechać na pogrzeb - oznajmia matka i Lilike czuje dreszcz emocji. Zastanawia się, która z jej nowych sukien zrobi największe wrażenie.

Ale nic nie jest tak, jak sobie wymarzyła. Podróż przez pusztę rozklekotaną starą bryczką wydaje jej się poniżej godności, wioska, spowita listopadową mgłą, jest skurczona i cicha, jakże inna od gwarneho Varos. Wyboista droga na cmentarz tonie w błocie i chociaż Jakova zadała sobie trud, by wezwać księdza z sąsiedniej wioski, ceremonia pogrzebowa sprawia wrażenie wymuszonej i niemal złowroziej uroczystości.

Jakova w czarnym welonie stoi z pochyloną głową przy grobie, dziwnie nieruchomo; ksiądz, który wyraźnie nie ma nic do powiedzenia, zamiast milczeć, uznaje, że powinien zalać ich potokiem nieważkich słów, które mu przychodzą do głowy w nadziei, że trafi na te właściwe. Lilike przenika chłód; jest ubrana w obowiązkową czerń, lecz modny krój jej sukni i eleganckie dodatki wyglądają niemal nieprzyzwoicie na tle szarej jesiennej Falucski, Czuje, że serce podchodzi jej do gardła, z coraz większym niepokojem rozgląda się w poszukiwaniu przyjaznej twarzy. Wypatruje w tłumie Lujzę i jej rodzinę, lecz oczy Lujzy są puste i nieruchome - jakby wcale nie widziała Lilike.

Gdzieś z boku błyska plama koloru, Lilike odwraca głowę i widzi Sari, trzyma w ramionach dziecko o najczerwieńszych włosach, jakie widziała. Dziewczynka była niemowlakiem, kiedy Lilike wyjeżdżała do Varos, a teraz jest milczącą, spokojną dwulatką,

długonogą i szczupłą, którą Sari unosi z równą łatwością jak kota. A Sari... Lilike chwytając jej spojrzenie i Sari uśmiecha się uśmiechem, który nie sięga oczu, uśmiechem, który tylko odsłania zęby, i nagle Lilike rozumie: Sari się boi, jest przerażona jej obecnością - coś się tutaj dzieje, coś, co Lilike ślepo przeczuwała, ale co dopiero teraz do niej dociera, przygniatając ją swoim ciężarem.

Z trudem próbuje wystać cicho i nieruchomo do końca pogrzebu. Matka ścisną ją za rękę mocno, musi czuć się tak samo. Kiedy jest już po wszystkim, spuszcza głowy i idą do wynajętej bryczki tak szybko, jak pozwala przyzwoitość. Nie rozmawiają z nikim. Lilike czuje, że lód w jej piersi rozpuszcza się, gdy wioska ginie jej z oczu, i wie, że nigdy tu nie wróci.

1922

Rozdział 22

Keled Imanci jest głodny. Już od trzech dni siedząc w swoim fotelu, słyszy, jak mu kiszki marsza grają. Nie wie, jak długo wytrzyma, choć pamięta, że kiedyś na froncie ktoś, kto przed pójściem do wojska był lekarzem, powiedział, że jeśli się ma dość płynów, można przetrwać bez jedzenia bardzo długo. „Jak długo?” - spytał jeden z młodszych żołnierzy. „Całe tygodnie”, odpowiedział tamten.

Tygodnie, myśli teraz Keled. Ile tygodni - dwa? trzy? Może więcej? Jego organizm z pewnością nie potrzebuje wielkiej ilości pożywienia. Nie można powiedzieć, żeby go dużo spalał - trudno zażywać ruchu na jednej nodze. Przedtem kuśtykał po domu, ale Francziska dawno zabrała mu kulę; powiedziała, że jej stukanie doprowadza ją do szału. I szarpie jej nerwy ciągle zastanawianie się, co straci tym razem: dzbanek z mlekiem czy może świeżo upieczony placek, stygnący na parapecie?

Jest teraz czerwiec i Francziska posadziła go w fotelu przed oknem wychodzącym na ganek; jeśli się wychyli, może dojrzeć swoją kulę opartą o frontowe stopnie. Wie, że i tak jej nie dosięgnie. Noga, która ocalała, jest słaba i zwiotczała z powodu braku ruchu. Choćby stoczył się na podłogę i próbował podczołgać, nie da rady, bo Francziska zaraz to usłyszy. A gdyby nawet udało mu się złapać kulę, to co z tego? I tak by ją znów zabrała.

W środku nocy budzi go ból nogi, którą stracił. Keled siedzi w ciemności, słuchając swojego burczącego żołądka. Zegar w kuchni wybija trzecią, ale spod drzwi sypialni sączy się światło - Francziska jeszcze nie śpi. Jeden z pośladków mu zdrętwiał i Keled kiwa się tam i z powrotem na fotelu. Przestała mu pomagać kłaść się do łóżka, kiedy on przestał jeść. Nigdy tego nie powiedziała, ale pierwszego wieczoru, gdy w milczeniu wpatrywał się w *gulyas*, stojący przed nim ciepły, dymiący i nietknięty, o dziesiątej w porze spania, a potem o dziesiątej trzydzięści, po prostu zamknęła za sobą drzwi sypialni i zanim się obejrzał, siedział sam w ciemności.

Cztery lata opieki nad kimś to długo - Keled zdaje sobie z tego sprawę, zwłaszcza jeśli przez te cztery lata ów ktoś tak bardzo się zmienia. Przy rzadkich okazjach, kiedy dostrzeżga w lustrze swoje odbicie, ledwie wierzy własnym oczom: posiwiałe potargane włosy, obwisła twarz, tłusty brzuch - trudno rozpoznać w nim wysportowanego, przystojnego chłopca, jakim był w wieku dwudziestu paru lat. W pewien sposób nawet rozumie Francziskę. Ma dopiero trzydziestkę i nadal jest ładną kobietą - może oczekiwać od życia znacznie więcej. A jednak...

Keled ma niewytłumaczalną pewność, że wie, co robi Francziska. Od lat dręczyła go świadomość, że coś niedobrego dzieje się w wiosce. Kiedy jeszcze odwiedzali go przyjaciele, rzadko padały z ich ust bezpośrednie oskarżenia, ale rozumiał, co się kryje za niewypowiedzianymi słowami. Teraz widzi, że to ich duma przyczyniła się do tylu zgonów; mężczyźnie trudno jest uwierzyć, że własna żona może podnieść na niego rękę.

Keled nigdy się pod tym względem nie łudził, nawet przed wojną - Francziska zawsze miała temperament, nie wahała się krzyknąć na niego ani nawet go uderzyć, gdy się zdenerwowała. Szybko wpadała w gniew, jednak nawet kiedy patrzył przez okno na kolejne pogrzeby, mimo że zaczął się domyślać tego, co dzieje się w Falucsce, czuł się bezpieczny. Charakter Francziski po prostu nie pasował do tych historii.

Była złą kucharką, głównie dlatego, że gotowanie ją nudziło i szkoda jej było poświęcać więcej niż piętnaście minut na przygotowanie posiłku. Keledowi to nie przeszkadzało, kiedy więc pięć dni temu spędziła ponad godzinę, przyrządzając wymyślny *gulyas*, zaczął coś podejrzewać. A gdy usiadła naprzeciwko niego przy stole i pochyliła jasną główkę, nie patrząc mu w oczy, już wiedział. Keled nie chce umierać, ale nadal kocha Francziskę i nie potrafi się na nią gniewać. Więc tylko odkłada w milczeniu łyżkę, a namowy Francziski po chwili zamierają jej na ustach.

Keled mruży oczy i odwraca głowę, z raptownie otwartych drzwi sypialni pada blask. W progu stoi Francziska, przez nocną koszulkę prześwieca światło i Keled czuje przypływ czułości, patrząc na zarys jej zaokrąglających się ud.

- Jeszcze nie śpisz? - pyta Francziska; to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała do niego od dawna. - Może dać ci coś na sen? Ciepłe mleko?

Keled kiwa głową.

Pięć minut później trzyma kubek w ręku. Od pięciu dni nie pił nic prócz wody - teraz w nozdrza uderza go smakowity śmietankowy zapach i ślinka napływa mu do ust. Podnosi kubek do warg i widzi, że ona płacze; łzy płyną bezgłośnie po policzkach, jakby niemal bez jej woli. Keled pije duszkiem, czuje coś gorzkiego na języku, przełyka i wypija do dna. Kubek jest pusty. Przez długą chwilę żadne z nich się nie odzywa; potem Francziska wyciera szorstko łzy wierzchem dłoni.

- No dobrze - mówi zachrypniętym głosem. - Pójdziemy do łóżka?

1925

Rozdział 23

Lujza wie, co o niej myślą i czasem się z nimi zgadza. Już kiedy była dzieckiem, czuła, że jest przypadkowym zbiorem myśli, uczuć i części ciała związanych drutem, a śmierć Petera napięła ten drut do granic wytrzymałości. Nie jest szalona. Zna kilku szaleńców; w każdej wiosce musi być chociaż jeden, ale Lujza jeszcze nie przyjęła tej roli. Nadal wie, kim jest i gdzie jest; nadal wie, jak się zachowywać. Tylko różne rzeczy jej się czasem mieszają.

Ostatnio to się trochę uspokoiło, co ją cieszy. Przez pierwsze dwa lata po śmierci Petera huczało jej w głowie i nie chciało przestać, jedyne, co mogła zrobić, to zamknąć się w domu, z dala od zewnętrznych hałasów, żeby wytrzymać z hałasem w środku. Rodzina była dla niej dobra, choć niepokoił się jej zachowaniem - w końcu to nic niezwykłego stracić męża; kobiety od wieków nosły swój ciężar i jakoś sobie radziły. Ale Lujza zawsze była trochę dziwna.

Zaczęła widywać Petera, dopiero kiedy mężczyźni z wioski wrócili z frontu. Teraz rozumie, że to normalne, nie mógł wrócić z pola bitwy, póki wojna się nie skończyła; zawsze był sumienny i nawet śmierć nie mogła mu przeszkodzić w spełnieniu obowiązku. Był koniec 1918 roku, kiedy po raz pierwszy ujrzała jego twarz za oknem; z szybkością, z jaką nie poruszała się od miesiący, skoczyła je otworzyć i wbiła wzrok w ciemność, wyteżając oczy, jakby chciała je zmusić, żeby zobaczyły to, co chciała zobaczyć. Nikogo tam nie było, ale gdy zamknęła okno i zaciągnęła zasłony, poczuła, że huk w głowie ustał.

Potem zaczęła widzieć go wszędzie - kątem oka chwyta jego profil; chodząc po domu, słyszy za sobą kroki, lecz on zawsze znika, gdy Lujza się odwraca. Wie, że nie jest prawdziwy, ale przecież nie mógłby być dla niej prawdziwszy; w końcu przestaje się odwracać, czując go obok siebie, tylko zamyka oczy i wdycha jego obecność. I rozmawia z nim. Najpierw w myślach, lecz wkrótce zapomina się pilnować.

Sari odwiedzała ją niemal codziennie, kiedy Lujza nie chciała wychodzić z domu, ale ostatnio przychodzi coraz rzadziej. Ma swoje powody, takie same jak wszyscy, którzy trzymają się z daleka: nawet najrozsądniejsi czują się nieswojo z osobą, która żyje na granicy fantazji i rzeczywistości. Ale jest też inny powód. Odkąd Peter wrócił, Lujza widzi więcej niż inni. Teraz, kiedy Sari przychodzi z wizytą, dzwoni jej w głowie dzwoneczek alarmowy, każe się mieć na baczności, i ze sposobu, w jaki Sari na nią patrzy, widzi, że przyjaciółka o tym wie. Sari zawsze różniła się od otoczenia - to właśnie Lujza lubiła w niej najbardziej - ale coś

się zmieniło; w Sari jest teraz jakaś inna nuta, nuta, która sprawia, że Lujzie szczękają zęby. Pewnego dnia po jej wyjściu Lujza, obierając kartofle na obiad, decyduje się spytać Petera: wiesz? I przychodzi odpowiedź: tak - wraz z wyraźnym obrazem pogrzebu Ferencza - podobnie jak ty.

Coraz rzadsze wizyty Sari przyjęła z mieszaniną smutku i ulgi. Z jednej strony brakuje jej przyjaciółki, z drugiej jej obecność ostatnio jeżyła Lujzie włosy na głowie. Jeszcze bardziej niż za Sari tęskni za jej córką, rudowłosą dziewczynką, która siedziała w milczeniu na podłodze, gdy one prowadziły jakąś niezręcznie podtrzymywaną rozmowę. W oczach małej, szeroko otwartych i odrobinę szalonych, widziała siebie. Któregoś dnia, kiedy budzi się nagle z drzemki, przy jej nogach siedzi córka Sari z kawałkiem papieru w jednej ręce i ołówkiem w drugiej, pochłonięta rysowaniem. Lujza wstrzymuje oddech, nie chcąc jej płoszyć, ale nie może się powstrzymać i wyciąga rękę, żeby dotknąć płomiennych włosów. Dziewczynka podnosi na nią wzrok i wtedy Lujza widzi, co narysowała - to twarz Petera.

1928

Rozdział 24

Wyłowili jeszcze jedno ciało z rzeki.

- No nie, naprawdę. Ciągłe im powtarzam: nie wrzucajcie ciał do rzeki. Zwłaszcza o tej porze roku; rzeka jest wysoka i nie wiadomo, dokąd je poniesie...

- Jedno popłynęło aż do następnej wioski; całe szczęście, że uznali je za topielca. Ale jeśli zacznie tam spływać więcej trupów, to będzie mocno podejrzane, no nie?

- Kto to był tym razem?

Sari siada przy stole i ściąga buty.

- Mój Boże, to ta biedna Krisztina, kuzynka Orsolyi. Słyszałam, że się pokłóciły w zeszłym tygodniu, podobno o jakąś biżuterię po babce. To naprawdę głupio z jej strony, nikt przy zdrowych zmysłach nie zadziera teraz z Orsolyą, nic dziwnego, że tak się to skończyło. To podobne do Orsolyi, wrzucić ciało do rzeki. Była taka zadowolona i dumna z siebie, kiedy stwierdzono urzędowo, że jej teściowa się utopiła! Teraz jej się wydaje, że takie rzeczy zawsze ujdą jej płazem.

Judit kręci głową i prychna pogardliwie.

- Głupia baba! Naprawdę myśli, że wszystko jej wolno? Trzeba je surowo ostrzec na przyszłość. Żadnych więcej ciał w rzece. Tylko tego brakowało, żeby ktoś spoza wioski zainteresował się całą sprawą.

- Właśnie. - Sari odwraca się do kąta, gdzie siedzi Rozsa pochylona nad rysunkiem. - Rozsi, skarbie, chodź, daj mi buzi.

Dziewczynka posłusznie spełnia prośbę. Ma dziewięć lat, jest wysoka i chuda, ma jasną przezroczystą cerę matki, płomiennorude włosy - i te niepokojące zielone oczy; cóż, niepokojące oczy to cecha rodzinna, myśli Sari, ale jej oczy są niepokojące, bo zdają się przenikać ludzi na wylot, a oczy Rozsi zdają się widzieć inny świat. Sari nigdy nie doszła do tego, czym jest dzieckiem. W pewnym oświetleniu cień rzucany przez jej podbródek przypomina kształt mocno zarysowanej szczęki Ferenca, w innych okolicznościach uniesione brwi przywołują bolesne wspomnienie Marca. No cóż, córka jest tylko jej, ojciec nie ma znaczenia.

Rozsi ma dziewięć lat i nigdy nie wypowiedziała ani słowa. Patrzy szeroko otwartymi, dziwnymi oczami i milczy. Sari już przywykła do osobliwości swojego dziecka, ale nie zawsze tak było. Przede wszystkim przestała winić za to siebie, choć czasem zimny dreszcz

przebiega jej po krzyżu i budzi się w nocy ze ściśniętym gardłem. Czy z mózgiem Rozsi na pewno wszystko jest w porządku? Może został uszkodzony przez kopniak Ferenc'a albo jej chorobę podczas ciąży, albo przez gwałtowność, z jaką Rozsi wyslizgnęła się na świat, w środku nocy, gdy Sari, sparaliżowana bólem, nie była nawet w stanie wezwać Judit na pomoc? Ale przecież Rozsi jest inteligentna; umie czytać i pisać, wykonuje polecenia, zapewne więc słyszy i rozumie, co się do niej mówi. Nie może tylko albo nie chce mówić.

Judit uwielbia ją tak bardzo, że Sari czuje czasem ukłucie zazdrości: na jej punkcie nigdy nie miała takiego bzika. Ale Judit to prawdziwe błogosławieństwo - jest dla Rozsi i wspaniałą babcią, i zastępczym ojcem; pielęgnuje jej zainteresowania i nie pozwala Sari nigdy narzekać na córkę.

- Kiedy ja byłam w jej wieku... - zaczęła raz Sari trochę po szóstych urodzinach Rozsi, kiedy patrząc na swoje delikatne ciche dziecko, przypomniała sobie siebie jako sześciolatkę: buntowniczą, samodzielną i nieustraszoną.

Judit nie dała jej dokończyć.

- Ona nie jest tobą - powiedziała. - I ma własne zalety.

Sari zawsze tak uważała, ale gnębiło ją podejrzenie, że może to wypływać ze złe pojętej matczynej dumy, toteż wsparcie Judit wiele znaczy.

Co Rozsi potrafi robić? Choćby to, że świetnie gotuje, co rozśmiesza Judit i Sari - taki zwykły kobiecy talent u kogoś w ich domu! Judit jest beznadziejną kucharką, a Sari gotuje znośnie, lecz bez polotu. Tymczasem pewnego ranka zastały Rozsi w kuchni - miała wtedy siedem lat - mieszającą składniki na coś, co okazało się najlepszym gulaszem, jaki w życiu jadły.

Skąd jej się to wzięło? Któż to może wiedzieć? Wprawdzie przez pierwszych kilka lat życia nie puszczała spódnicy Sari albo Judit, chodząc z nimi wszędzie, na targ i do kuchni, ale nie przypuszczały, że zwraca uwagę na to, co robią, obserwuje uważnie i uczy się. Teraz, nieproszona, przejęła na siebie prawie całe gotowanie - po prostu idzie do wioski i kupuje, gdzie może, różne produkty, z których przygotowuje potrawy tak wymyślne i subtelnie przyprawione, że Sari i Judit mają wrażenie, iż ich języki dopiero teraz poznają prawdziwy smak.

Rozsi jest wszędzie mile widziana, co zdumiewa Sari, bo pamięta nieufność i lęk, z jakim podchodzono do niej, gdy była dzieckiem. Rozsi zaprzyjaźniła się nawet z Lujzą Tabori. Ona sama coraz rzadziej ma ochotę ją odwiedzać, odkąd stała się taka dziwna, ale jej córka kocha Lujzę i chodzi tam sama.

Potrafi także rysować. Nawet gdy była malutka, wyczarowywała obrazki z wszystkiego, co znalazła pod ręką. Już w pierwszych szkicach, krzywych i nieporadnych, z wypaczoną perspektywą i nieziemskimi stworami, było coś zapadającego w serce. Po obejrzeniu jej rysunków to reszta świata wydaje się dziwna, przekrzywiona na osi. Rozsi z biegiem lat rysuje coraz lepiej. Sari i Judit mają stopy jej szkiców, a drewniane ściany domu są nimi wprost wytapetowane. Nie potrafią ich wyrzucić.

Rozsi jest teraz w centrum życia Sari; stanowi barierę z krwi i kości między nią a tym, co się dzieje w wiosce. Orsolya była pierwsza. Jej mąż (miły, niekłopotliwy człowiek, uważała Sari, ale trudno) odszedł po krótkiej bolesnej chorobie i kiedy już było po wszystkim, poczuła ulgę podszytą strachem. Ulgę, bo Orsolya nie mogła już donieść na nią kuzynowi z policji, a strach, bo przeczuwała, że to tylko początek, drzenie trawy na wietrze, które zwiastuje nadciągającą burzę.

Miała rację. Rozeszło się - jakżeby inaczej - że Sari i Judit rozdają śmierć ze swojego małego drewnianego domku i z wolna zaczęły przychodzić inne kobiety. Niektóre z nich Sari rozumiała

- wioska wprawdzie była mała, ale nie brakowało w niej złych mężów, chorych mężów, uciążliwych mężów - a ona nigdy nie winiła bitych, wykorzystywanych, źle traktowanych kobiet za poszukiwanie drogi wyjścia. Przecież sama to zrobiła i pomogła zrobić to Annie. Jednak w niektórych wypadkach...

Kiedy trzecią dobę nie podnosiła się z łóżka i nie mogła nic przełknąć na myśl o jakimś niewinnym biedaku, który umierał, jeśli nie bezpośrednio z jej ręki, to przy jej milczącej zgodzie, Judit siadła obok, żeby z nią porozmawiać.

- Masz wybór, jak zawsze - powiedziała. - Nie musisz tego robić. Możesz odmówić. Możesz wyjechać.

- Ale...

Odmowa oznaczała śmierć. Każda kobieta rozżłoszczona brakiem pomocy mogła sprowadzić na wszystkich katastrofę. A wyjazd też nie wchodził w rachubę. Rozsi miała zaledwie trzy miesiące i ucieczka z maleńkim dzieckiem w mrok puszczy, w środku zimy, kiedy Sari sama jeszcze nie całkiem odzyskała siły po porodzie, też równała się śmierci.

Judit wzruszyła ramionami.

- Nie ma dobrego rozwiązania, przyznaję. Jesteśmy w ślepych zaułku. Ale mogłaś przedłożyć życie innych ponad własne. Dokonałaś innego wyboru. Pogódź się z tym, Sari, i rób tak dalej albo nie. Tylko nie dręcz się swoim wyborem, bo to nie prowadzi do niczego dobrego.

Dziwne, te szorstkie słowa odniosły skutek. Jaka jest różnica - zadaje sobie Sari pytanie - między śmiercią jednego człowieka a dziesięciu czy stu ludzi? Jaka jest różnica między śmiercią okrutnego męża a przykutej do łóżka teściowej? Jaka różnica między chęcią przeżycia a żądzą objęcia spadku? Świat właśnie wyszedł z wojny, która pochłonęła miliony istnień ludzkich bez żadnego sensu. Po roku Sari przestaje się tym przejmować (albo przestaje o tym myśleć - wszystko jedno, najważniejsze, że zyskuje spokój), a po dwóch jest w stanie żartować z Judit na temat ich ubocznej działalności, która stała się głównym zajęciem: jedną ręką dają, drugą odbierają życie. Zawsze do pewnego stopnia handlowały śmiercią; Judit nigdy nie ukrywała, że przerywa ciężę, czyli że jest *angyalcsinalo*: „fabrykantką aniołków”.

- Teraz fabrykujemy po prostu trochę większe anioły - mówi do Sari ze swoim jadowitym uśmiechem, a Sari potrafi się już z tego śmiać.

Tylko Rozsi stanowi problem. Co ma powiedzieć córce o swoim sposobie życia, zastanawia się Sari. Czy pozwolić jej wzrastać w poczuciu, że wszystko jest normalne i dzięki temu uniknąć oskarżeń o współudział w zbrodni, czy też przyznać, że nie wszędzie jest tak samo, narażając się na pytania, które godzą w serce? Sari opowiada Rozsi szeptem, kiedy mała śpi, jak sobie wyobraża świat Gdzieś Indziej, choć sama w to Gdzieś Indziej nie bardzo wierzy. Czasem jest wdzięczna losowi, że dziecko, które nie mówi, jest też dzieckiem, które nie zadaje niewygodnych pytań.

Sari nie chce myśleć o tym, co by ojciec powiedział na to, w jaki sposób użytkuje się ich dom. Sari i Rozsi mieszkają z Judit, ale odkąd zaczęły sprzedawać śmierć, dodatkowy lokal bardzo się przydaje. W domu Judit żaden niespodziewany gość nie mógłby dopatrzeć się niczego, co by zakłócało ich obraz samotnych, ciężko pracujących akuserek. Wszystkie dowody ich ubocznej działalności są zamknięte w domu Sari, który stoi z dala od zabudowań wioski i mało kto się tam zapuszcza. A nawet gdyby jakiś ciekawski włóczęga zajrzał przez okno na parterze, dojrzałby tylko opuszczony, ale dobrze utrzymany stary dom.

Na górze jednak jest inaczej. Łóżko zostało przesunięte pod ścianę, żeby zrobić miejsce na miski, które zastawiają podłogę, ukazując różne stopnie „procesu produkcyjnego”: od moczących się zwojów lepu na muchy po małe, równe stosiki niewinnie wyglądającego proszku. Sari przychodzi tu co drugi dzień, niby posprzątać i zmieść liście z ganku, a w rzeczywistości wziąć następne porcje dla niekończącego się pochodu przyszłych morderczyń. Zastanawia się czasem, po co udaje, że sprząta; przecież z pewnością wszyscy w wiosce już wiedzą, co się naprawdę dzieje, nawet jeśli nie mówią o tym głośno? Ale nie zaszkodzi dbać

o pozory: chociaż to mało prawdopodobne, do wioski może się zabłąkać ktoś obcy i lepiej, żeby wszystko wyglądało całkiem niewinnie.

Sari zawsze wiedziała, że to nie będzie trwało wiecznie. W lepszych chwilach ma nadzieję, że skończy się samo z siebie, że zabraknie ludzi, których ktoś chce zabić albo że trucicielki same się wytrują - zostawiając ją i Judit w spokoju. Nieczęsto jednak jest dobrej myśli, a kiedy nie jest, zdaje sobie sprawę, że prędzej czy później zostaną zdemaskowane. Bez względu na to, jak daleko od świata leży wioska, i jak bardzo wszyscy trzymają się tu w szachu, coś tak złowrogiego i dziwnego musi kiedyś wypłynąć jak groźny gaz uciekający z butli i zatruwający powietrze. Któregoś dnia jakiś urzędnik zauważy niezwykle wysoką śmiertelność w Falucse albo wyłowią gdzieś ciało i zbyt wścibski lekarz zrobi sekcję zwłok, odkrywając prawdę. Do tej pory miały szczęście, ale to szczęście nie będzie im sprzyjać w nieskończoność. Nie ma tak dobrze.

W końcu jej obawy stają się faktem, choć z innych przyczyn, niż przewidywała. Pewnego dnia zjawia się u nich w domu zapłakana Francziska Imanci. Przez dłuższą chwilę muszą ją uspokajać, ale gdy zaczyna mówić urywanym głosem, serce podchodzi Sari do gardła i tkwi tam uparcie, niczym twardy kawałek mięsa, którego nie może przełknąć. Sześć lat temu Francziska otruła swojego męża, co było dość łatwe: stracił nogę na wojnie i nie ruszał się z domu, nie mógł więc narobić hałasu. Wtedy Sari myślała, że na tym się skończy. Zawsze uważała Francziskę za sympatyczną, bezpośrednią kobietę, która nie będzie chciała mordować więcej członków rodziny niż to konieczne. Ale Francziska po śmierci męża zaprzyjaźniła się z Orsolyą (której rodzina pomniejszyła się już o sześć osób) i najwyraźniej została przekonana, że ma otruć również teściową, niedołączną i do niczego nieprzydatną, za to majątną. Tydzień temu Francziska dostała od nich, co chciała - choć Sari słuchała jej z niechęcią; nie lubi wspomagać kobiet, które zabijają kobiety. A teraz Francziska, krztusząc się, szlochając i pociągając nosem, mówi, że zabrała się już do teściowej i dała jej parę dawek, a kiedy jak zwykle zaszła do niej rano, okazało się, że starucha zniknęła.

Sari widzi, jak Judit zmęczonym gestem przeciera oczy, ale jak zwykle szybko bierze się w garść i przesyła Sari posępny pół-uśmiezek.

- No trudno - mówi ze wzruszeniem ramion - kiedyś to się musiało stać.

- Sądzisz, że domyśliła się, co robisz? - pyta Sari Francziskę, która kiwa głową.

- Chyba tak. Myślałam, że dobrze sobie radzę, nie zachowywałam się inaczej niż zwykle, ale nigdy nie byłam dobrą aktorką. Poszłam do niej wczoraj, żeby zrobić jej obiad, a

ona cały czas na mnie patrzyła. Tylko... tylko patrzyła. Czułam jej oczy na sobie, nawet kiedy stałam odwrócona plecami.

- Czy ona... - Sari krzywi się. Trudno to ująć delikatnie. - Wiedziała o swoim synu?

Francziska rozumie, co Sari ma na myśli.

- Nie wiem. Może się domyślała, ale nigdy nic nie powiedziała. Nie wspomniała o niczym ani słowem. Wiesz, jak to jest.

Sari wie. Ludzie zamknęli się w sobie; troska o innych stała się ciężarem, każdy dbał tylko o siebie. Czuje nagły przypływ pogardy do starej pani Imanci. Jak można siedzieć cicho, kiedy się podejrzewa, że coś złego stało się własnemu dziecku? Patrzy mimowolnie na Rozsi. Dziewczynka, na pozór pochłonięta bez reszty rysowaniem, pochyla się w kącie nad kartką papieru z ołówkiem zaciśniętym w ręce. Może jest inaczej, kiedy dzieci dorosną, kiedy wiadomo, że powinny same dawać sobie radę. Może jest inaczej, kiedy zawierają związek małżeński. Chociaż Sari sobie tego nie wyobraża, po prostu nie umie wyobrazić sobie, by kiedykolwiek w sytuacji zagrożenia nie rzuciła się do gardła każdemu, kto próbowałby skrzywdzić jej dziecko.

- Jak się czuła, gdy ją widziałaś ostatnim razem? - pyta Judit. Chce wybadać, jak daleko kobieta mogła odejść, czy jest jakaś nadzieja, że leży martwa w wysokiej trawie poza wioską.

- Niezbyt dobrze, oczywiście, ale jeszcze się trzyma. Staralam się robić to powoli. Żeby nie nabrała podejrzeń.

Francziska wydaje szloch podszyty histerycznym śmiechem i głośno pociąga nosem. Sari odruchowo podaje jej chusteczkę - jak zawsze podawała Rozsi - i Francziska wyciera oczy.

- Ma rodzinę w sąsiedniej wiosce - ciągnie. - Kuzynkę. Pewno wybrała się właśnie do niej.

Sari kalkuluje: sama doszłaby tam w dwie godziny, stara Imanci, nawet biorąc pod uwagę jej wiek i zły stan zdrowia, dotrze tam najprawdopodobniej przed wieczorem, w zależności od tego, kiedy ruszyła w drogę. Czy zawiadomi odpowiednie władze, nie wiadomo, lecz z pewnością nie ma nic do stracenia, skoro jej syn i mąż już nie żyją (przynajmniej ten ostatni zmarł z przyczyn naturalnych), a jedyna bliska osoba w Falucse próbowała ją zabić.

- Tak mi przykro - mówi Francziska. Ma czerwone, załzawione oczy i chyba dobrze rozumie, czym się to może skończyć.

Judit zbywa jej przeprosiny szyderczym prychnięciem, ale Sari wykazuje więcej współczucia. To się mogło przydarzyć każdej z nas, myśli. Błąd Francziski nie wypłynął z jej arogancji czy głupoty, jak w wypadku kobiet, które próbowały wmawiać ludziom, że ktoś utonął. Francziska z pewnością nie wierzy w to, że jest nietykalna, i nie zachowuje się nonszalancko, w każdym razie nie bardziej niż reszta.

- Nie martw się - mówi Sari głosem znużonym, choć stanowczym. - Może nic złego z tego nie wyniknie. Ale musimy być teraz bardzo ostrożne. - Zastanawia się przez chwilę. - Dobrze. Przeprowadź tu przede wszystkim Orsolę. I jeszcze... - Wylicza pięć kobiet, wszystkie rezolutne, zamożne i mające na sumieniu co najmniej jedną śmierć. One najlepiej rozniosą wieści.

Przychodzą w ciągu godziny i kiedy Sari patrzy na pobladłe, przestraszone twarze, nie umie się oprzeć pewnej mściwej uciechy. Chociaż ona też może położyć głowę pod topór, czuje, że tym babom wszystko poszło za łatwo. Niech się choć raz trochę pomartwią, myśli.

Francziska najwyraźniej powiedziała im, co się zdarzyło, ale Sari mówi to jeszcze raz dla jasności sprawy, i ledwo kończy, Zsafia Gyulai wybucha:

- Musimy ją znaleźć, nie? Może jeszcze nie doszła do tamtej wioski. Jak się pospieszymy, zadbamy, żeby nigdy tam nie dotarła.

- A jak? - pyta Sari.

Zsafia czerwienieje. Sari zawsze uważała za osobliwe, że wiele z tych kobiet łatwo i szybko podaje truciznę najbliższym, ale niech Bóg broni, żeby miało im to przejść przez usta.

- Sprowadzimy ją z powrotem? - pyta Zsafia zbита z tropu, choć jasne, że nie to miała na myśli.

Sari widzi przed sobą wyraźny, choć na szczęście przelotny obraz tej gromadki, jak dobija starą kobietę na równinie - rozwalają jej głowę gałęzią? Nie.

- Nie - mówi. - Ściganie jej byłoby głupie. Ma nad nami parę godzin przewagi. Mogła już tam dojść, a nawet jeśli nie doszła, sześć kobiet przemierzających pusztę musi zwrócić uwagę. Mam nadzieję, że jeśli nawet zaczniesz opowiadać, co się tu zdarzyło, ludzie uznają ją za wariatkę, której się pokręciło w głowie.

Wszystkie pięć - sześć, łącznie z Judit - patrzą na nią z powątpiewaniem. Sari też w to wątpi, ale ciągnie dalej:

- To mało prawdopodobne, wiem, ale pomyślcie, o ile łatwiej będzie jej uwierzyć, jeśli ktoś się dowie, że próbowałyśmy ją zatrzymać.

Kobiety nadal nie wyglądają na przekonane, ale kiwają niechętnie głowami. Sari tłumnie uśmiech triumfu, kiedy widzi, że Orsolę patrzy na nią z oczekiwaniem, czekając na

wskazówki. Wolałaby w inny sposób zdobyć jej szacunek, lecz musiałaby być z kamienia, żeby nie odczuć drobnej przyjemności.

- Co mamy robić? - pyta Matild Nagy ponuro. Sari nigdy za nią nie przepadała, to jedna z przyjaciółek Orsolii. - Czekać, aż nas aresztują?

Sari wzdycha, nieco na pokaz.

- Nie mogą nas aresztować na podstawie samego gadania Ilony Imanci. Cała sprawa może się skończyć na niczym, w najgorszym wypadku będą musieli wszcząć urzędowe śledztwo. Musimy się spodziewać, że w ciągu paru tygodni przyjadą tu inspektorzy. Będziemy sobie z nimi radzić, jak przyjdzie co do czego. Tymczasem pora położyć wszystkiemu kres. To miejsce musi wyglądać jak najnormalniejsza wioska pod słońcem. Kiedy przyjadą, nikt nie może na nic podejrzanego chorować; nie wolno im dać żadnych dowodów na to, co się tu działo. Szepnijcie słowo komu trzeba. I niech nikt nie przychodzi prosić o wyjątkową przysługę, bo się nie doprosi. Od dziś koniec z tym.

Rozdział 25

Nie wie, czego się spodziewał, ale z pewnością nie tego. Geza Forgacs spędził niemal całe swoje dziewiętnastoletnie życie w Budapeszcie, a w mieście wieś jawi się jako oaza piękna i prostoty, wcielenie sielanki. Chociaż zdawał sobie sprawę, że to fałszywy obraz, że życie na wsi może być surowe i ciężkie, nie sądził, że to będzie tak wyraźnie widoczne już na pierwszy rzut oka. Brązowe drewniane domy stłoczone nad rzeką jak obóz warowny, dusząca czern pobliskich lasów, nagi fakt istnienia wioski w środku bezkresnej puszy - wszystko to budzi w nim niepokój. Spycha niejasne obawy gdzieś na dno serca, uważając je za czysty zabobon.

Jego starszy kolega czuje się jeszcze bardziej nieswojo. Bela ma dwadzieścia cztery lata. W jego domu była kucharka pochodząca z wioski na równinie, pewno bardzo podobnej do tej. Ona sama była niczym śmieszny słodko-kwaśny przekładaniec, raz podsuwała mu obrzynki z ciasta, innym razem straszyla śmiertelnie jakąś opowieścią. Była młoda i bezmyślnie okrutna, jak okrutne potrafią być tylko dziewczęta ledwo rozkwitłe z podlotka, a Bela uwielbiał ją całym dziecięcym serduszkim. Znała mnóstwo bajek o wrózkach, demonach i wiedźmach, ale największy strach budziły w nim historie prawdziwe, snute przez nią zawsze ku przestrodze, o kobietach ze wsi, które brały do siebie niechciane dzieci od bogatych mieszczek.

- Nazywają je fabrykantkami aniołków - mówiła i jeszcze teraz, siedemnaście lat później, Bela widzi jej pobielające kostki u rąk, kiedy gnioła ciasto na chleb. Siedmioletni Bela wiedział, co to są anioły, wiedział, że ludzie zostają aniołami po śmierci, ale nie potrafił zrozumieć, jak ktoś mógłby sam zrobić anioła. Zaczął ją ciągnąć za język, nie umiając powściągnąć ciekawości, choć gorzkie doświadczenie mówiło, że lepiej nie pytać.

- No cóż, bogate kobiety, które nie chcą dzieci - wyjaśniła kucharka - oddają je na wychowanie biednym kobietom na wsi, którym za to płacą, a potem wracają sobie do miasta zadowolone, że ich dzieci są pod opieką. Ale fabrykantki aniołków wiedzą, że matki już się więcej nie pokażą, i nie mają najmniejszego zamiaru marnować tych pieniędzy na karmienie i ubieranie dziecka, które nie jest ich i które nic ich nie obchodzi. Zabijają więc dzieci i zatrzymują pieniądze. - Zabrała się z powrotem do chleba z iskierką triumfu w oczach na widok jego przerażonej miny.

- Ale jak? - spytał Bela. Musiał to wiedzieć, nie mógł zostać w niepewności.

Kucharka wzruszyła ramionami.

- Jak się da. Zależy, w jakim są wieku. Jeśli są małe, to je duszą. - Widząc, że Bela nie rozumie, zarzuciła mu ścierkę kuchenną na twarz i przytrzymała, naciskając delikatnie. Stał jak przymurowany, bojąc się ruszyć. - Właśnie tak - oświadczyła rzeczowo, odwracając się znów do stolnicy. - Albo zostawiają je na mrozie. A starsze po prostu przestają karmić. I to właśnie - dodała z naciskiem - spotyka dzieci, kiedy rodzice już ich nie chcą.

Groźba kryjąca się w tych słowach była jasna i później Belę przez lata prześladowały w snach fabrykantki aniołków. Jeśli ma być szczery, prześladowają go nadal. Śni mu się, że się budzi, ale jeszcze przed otwarciem oczu wie, że nie leży w swoim ciepłym wygodnym łóżku: rodzice uznali, że już go nie chcą i oddali fabrykantkom aniołków. Te sny są zawsze boleśnie wyraźne. Czuje szorstkie, wełniane koce na skórze; powietrze, które wdycha, jest ostre i lodowate, a w głowie ma obraz ponurej, nędznej osady, przycupniętej na równinie. A potem słyszy kroki i wie, że Ona nadchodzi, nadchodzi ze ścierką w rękę, nadchodzi, żeby go zabić - i budzi się, tym razem naprawdę, zlany potem i roztrzęsiony, nie mogąc uwierzyć, że to tylko sen i że jest bezpieczny.

Z pewną ironią i bez większego zdziwienia stwierdza, że wioska, którą widzi przed sobą, jest podobna do wioski z jego snów, i chociaż wie, że to podobieństwo wynika z podświadomego naginania zapamiętanych obrazów do rzeczywistości, wcale nie czuje się przez to pewniej. Chciałby, nie po raz pierwszy, znaleźć się już z powrotem w Varos, z dala stąd.

- To bzdura - mówi do siebie, zapominając, że siedzi przy nim Geza, aż nagle widzi, kątem oka, że chłopak wzdryga się.

Po raz pierwszy się cieszy, że z nim jest. Bela uparcie nazywa go w myślach „chłopakiem”, choć Geza jest zaledwie pięć lat od niego młodszy. Na początku w ogóle nie chciał go ze sobą zabierać, przekonany, że cała sprawa jest wyssana z palca i lepiej, żeby Geza został w Varos, gdzie jest dość innej roboty.

Rzecz jasna, kiedy po raz pierwszy usłyszeli opowieści o wiosce, zbyli je lekceważącym uśmiechem jako majaczenie starej kobiety. Owszem, może synowa próbowała ją otruć. Tego się nie da wykluczyć, choć nie warto robić zbędnego szumu. Morderstwa w rodzinie nie należały od czasu wojny do rzadkości. Co nie znaczy, że nie były sprawą poważną, ale doświadczenie mówiło, że kiedy niedoszła ofiara schodziła mordercy czy morderczyni z oczu, nikt nie miał powodu czuć się zagrożony. Poza tym panią Imanci trudno było uznać za wiarygodną informatorkę: kiedy przyszła z kuzynką na policję, usta się jej nie zamykały przez niemal godzinę; zalała ich potokiem dziwacznych oskarżeń, zarzucając

synowej próbę zabójstwa, a reszcie wioski uprawianie czarów. Po jej wyjściu nieźle się uśmieiali.

Ale coś zwróciło uwagę jego przełożonego, który wykazał się owym osławionym instynktem, bez jakiego - jak wciąż słyszy Bela - nie można być dobrym inspektorem. On sam wciąż stara się go w sobie rozwinąć. Nazajutrz po przyjeździe na posterunek zastał Emila nad stosem papierów.

- Popatrz na to - powiedział.

Była to lista osób, które zmarły w Falucsce w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Zgonów rzeczywiście było dużo, ale...

- Może to grypa? Zebrała żniwo w wielu wioskach - zapytał.

- Może - zgodził się Emil bez przekonania.

Bela sam nie był do końca przekonany, choć nie widział powodów do zaniepokojenia. We wsiach zawsze szerzyły się różne choroby; takie jest życie.

Powiedział coś w tym sensie Emilowi i ten znów kiwnął głową, w ten szczególny, irytujący sposób, jakby zgadzał się tylko przez grzeczność.

- To prawda. Ale to mała wioska. Zauważyłeś coś jeszcze? Bela popatrzył na listę.

- Spójrz na imiona - podsunął Emil.

- Mężczyźni - stwierdził nagle Bela. - To niemal sami mężczyźni. Spojrzał ze zdumieniem na Emila, który kiwnął głową, tym razem z aprobatą.

- Właśnie. Wbrew temu, czego można by się spodziewać. Zwykle choroba czy epidemia zabiera więcej kobiet. Mężczyźni są silniejsi, bardziej odporni. A tu... - Znów wskazał na kartkę papieru. - Oczywiście, to może nic nie znaczyć. A może jednak coś znaczy.

- I co...?

- Chcę, żebyś tam pojechał, rozejrzył się, zadał kilka pytań. Zwłaszcza o tę Imanci. - Przerzucił papiery. - Odszukaj Sari Arany. Jest tam akuszerką i to ona wypełnia karty zgonu. Porozmawiaj z nią, zapytaj, co myśli o tym wszystkim.

Bela przyjął to zadanie z zadowoleniem, z góry ciesząc się na kilka spokojnych dni na wsi. W mieście i w dzień łatwo było nie pamiętać o posępnej złowrogiej wiosce z jego snów. Jednak jest niemiłe zaskoczony poleceniem, żeby zabrał ze sobą Gezę.

- Przecież on chyba ma tu co robić? Emil kręci głową.

- Nie mogę cię tam wysłać samego. Może nic w tym nie ma, a może coś jest. Na wszelki wypadek lepiej, żebyście byli we dwóch.

Bela osobiście nie ma nic przeciwko chłopakowi i nawet mu pochlebia, że mimo młodego wieku cieszy się wystarczającym zaufaniem, by dostać pod komendę nowicjusza. Z

drugiej strony, te pytania Gezy, na które trzeba odpowiadać! Wolałby skupić się na własnej robocie i nie mieć nikogo na głowie. Przez całą drogę zżymał się w duchu, ale teraz, gdy idą do wioski z miejsca, gdzie wysiedli z bryczki, niespodziewanie czuje ulgę, że ma towarzysza.

- Gdzie będziemy nocować? - Geza przerywa ciszę. - W oberży? Bela prychnął śmiechem.

- Wątpię, by w takiej dziurze była oberża. Wszystkie drogi prowadzą stąd donikąd, po co mieliby się tu zatrzymywać przejezdni? Oberżysta szybko by zbankrutował.

- To gdzie znajdziemy kwaterę? - dopytuje się Geza. Jest mu nieswojo, wyczuwa niepokój Beli i jego niechęć.

Bela ma pomysł, żeby spytać księdza, i tu czeka ich pierwsza niespodzianka. Na skraju wioski spotykają kobietę w średnim wieku, której oczy rozszerzają się ze strachu. Pewno nie przywykli do obcych, myśli Bela i przyobleka twarz w przyjazny uśmiech.

- Dobry wieczór - mówi, bo zapadł już zmierzch. - Musimy się tu zatrzymać na kilka dni. Czy mogłaby nam pani wskazać drogę na plebanię? Mamy nadzieję, że znajdziemy u księdza nocleg.

Kobieta robi wrażenie przerażonej, że nieznajomy mówi do niej. Przez chwilę Bela obawia się, że ucieknie, a w każdym razie nie otworzy ust, ona jednak po chwili bierze się w garść. Ma wiejski akcent i niektóre jej słowa brzmią w uszach Beli dziwnie, ale przypisuje to oddaleniowi wioski od świata.

- U nas księdza nie ma - odpowiada.

- Jak to? - Bela unosi brwi.

- Kiedyś był. Ojciec Istvan. Ale lata temu wyjechał. Nie miał tu rodziny. Nikt nie wie, dokąd się zabrał. Czekaliśmy, że przyślą kogoś na jego miejsce, ale nikt się nie zjawiał. - Zdumienie Beli bierze chyba za wyraz niechęci dla ich bezbożności. - Bywa, że niektórzy idą do kościoła do najbliższej wioski - dodaje nieśmiało - ale to dziesięć kilometrów, za duża mitręga, żeby co tydzień...

- Nieważne - przerywa Bela. - Czy jest tu ktoś, kto mógłby wynająć nam pokój?

Kobieta przygryza wargę i po chwili podejmuje decyzję.

- Zaprowadzę was do Sari.

- Sari Arany? - wtrąca Geza z nagłym ożywieniem, pamiętając to imię i nazwisko z rozmowy, jaką odbyli z Emilem przed wyjazdem z Varos. Gryzie się w język, kiedy Bela przygważdża go wzrokiem.

- Znacie ją?

- Wiemy, że tu mieszka - odpowiada Bela tonem, który nie zachęca do dalszych pytań.

Kobieta kiwa głową i prowadzi ich do drewnianego domu pośrodku wioski, nad rzeką. Puka do drzwi - otwiera młoda, ciemnowłosa kobieta i patrzy na nich chłodno niezwykle, niebieskimi oczami. A Bela czuje, że serce mu staje w piersiach.

Sari wie, kim są, gdy tylko otwiera drzwi i widzi Kornelię Gyulai, śmiertelnie przerażoną, stojącą przed dwoma elegancko ubranymi mężczyznami. Wzdycha w duchu. Przez ostatnie dwa tygodnie panowały cisza i spokój; miała już nadzieję, że wszystko rozeszło się po kościach, a niebezpieczeństwo minęło. Teraz rozwój wypadków zależy od niej; właściwie od nich wszystkich, ale z gorzkiego doświadczenia wie, że jeśli chce, żeby coś było zrobione jak należy, musi zrobić to sama. Są bardzo młodzi, co jest pocieszające - gdyby sprawę potraktowano poważnie, przysłaliby chyba kogoś starszego?

- Ci panowie... - zaczyna Kornelia. - Poszukują noclegu i myślałam, że może ty...

Sari wita ich skinieniem głowy, najwdzięczniej jak umie.

- Oczywiście. Dobry wieczór, panowie. Jestem Sari Arany. Zapraszam do środka.

Wchodzą po schodach, wycierając po drodze buty; Kornelia ociąga się i patrzy na nią z wahaniem.

- Sari, czy mam wejść...?

- Nie, nie, zostaw to mnie.

Kornelia z aż nazbyt widoczną ulgą znika w gęstniejącym mroku, a Sari podchodzi do przybyszów, którzy stoją grzecznie przy stole. Tutejsi mężczyźni - tych niewielu, którzy jeszcze zostali - już dawno by siedzieli; upłynęły całe wieki, odkąd Sari spotkała dobrze wychowanego mężczyznę.

- Panno Arany - mówi ten wyższy. - Nazywam się Bela Illyes, a to mój asystent, Geza Forgacs. - Geza skłania głowę gestem, który ma być elegancki i męski; usta Sari mimowoli drgają śmiechem. - Jesteśmy z posterunku policji w Varos i przyjechaliśmy przeprowadzić śledztwo w związku z oskarżeniem, jakie złożono przeciwko jednej z mieszkanek tej wioski.

Sari marszczy brwi, udając zaskoczenie.

- Przeciwno komuś stąd? Ale... proszę mi wybaczyć, to nie moja sprawa.

- Wręcz przeciwnie, panno Arany, liczymy na to, że zechce pani z nami porozmawiać. Nie w tej chwili, oczywiście. Zostaniemy tu przez kilka dni i mamy nadzieję, że pomoże nam pani znaleźć odpowiednią kwaterę.

- Oczywiście, oczywiście! Muszą być panowie zmęczeni po podróży z Varos. Dobrze, że Kornelia przyprowadziła was do mnie. Dom mojego ojca stoi na skraju wioski i jest pusty.

Niezbyt duży, ale czysty i bezpieczny. Możecie tam zostać, jak długo chcecie. Wolicie panowie iść od razu, czy może macie ochotę coś zjeść?

Ku rozczarowaniu Gezy, Bela kręci głową.

- Dziękujemy, ale nie. Jesteśmy po obiedzie i nie śmielibyśmy robić pani kłopotu.

- Dobrze. Proszę chwilę poczekać...

Sari idzie do kuchni, gdzie Rozsi przygotowuje kolację w towarzystwie Judit. Ciotka krzywi się, łapiąc wzrok Sari, która odpowiada podobnym grymasem, a głośno mówi:

- Zaprowadzę tylko tych dwóch panów do domu ojca. Zaraz wracam. - Nie może się powstrzymać, żeby nie dotknąć włosów Rozsi; mimo pozornego spokoju trzęsie się w środku ze strachu. Rozsi patrzy na nią i uśmiecha się promiennie, jak zawsze, co dodaje Sari siły i podnosi ją na duchu. Zastanawia się czasem, czy nie potrzebuje córki bardziej niż córka jej.

Kiedy wraca dwadzieścia minut później, przy stole kuchennym siedzi Francziska, dygocząc na całym ciele, a Judit raczy ją *szilwą*; jej cierpliwość jest wyraźnie na wyczerpaniu.

- Jak rozumiem, słyszałaś już o naszych gościach - mówi Sari sucho.

Francziska kiwa głową.

- I co teraz zrobimy?

- Będziemy wszystkiemu zaprzeczać, do upadłego. Cokolwiek powiedzą, zaprzeczaj. Myślę, że wszystko może się dobrze skończyć. Obaj są bardzo młodzi; gdyby policja miała poważne podejrzenia, przysłaliby tu kogoś starszego. Możemy jeszcze wyjść z tego cało.

Francziska rusza bezgłośnie ustami, w jej oczach jest strach, i Sari przeczuwa, co zaraz powie.

- Nie mogłybyśmy po prostu... po prostu skończyć z nimi? Judit kładzie głowę na rękach, a Sari wzdycha głęboko.

- Na miłość boską, Franczisko, to najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam.

- Ale...

- Zastanów się. Jeszcze możemy się uratować. Ale co zrobią w Varos, jeśli chłopcy, których tu przysłali, nie wrócą? Zjawią się tu wszyscy, przeczesując wioskę. Same ściągniemy na siebie najgorsze podejrzenia. Rozumiesz?

- Chyba... chyba tak. Sari wzdycha.

- W tym cały kłopot - mówi, do nikogo w szczególności, bo Judit i tak zawsze rozumie, a Francziska nigdy. - Właśnie dlatego wpakowałyśmy się w tę kabałę. Wszyscy zaczęli myśleć, że wysyłanie ludzi na tamten świat to najlepszy sposób na kłopoty, a wcale tak nie jest. To załatwia sprawę na krótko, ale potem wpada się tylko w jeszcze gorsze tarapaty.

Bela siedzi przy stole kuchennym, słuchając odgłosów z góry, gdzie Geza kładzie się spać. Przynajmniej ma chwilę czasu dla siebie i może pomyśleć. Jest zaniepokojony urokiem, jaki rzuciła na niego Sari, ale teraz, gdy już wyszła, umie to sobie wytłumaczyć. Przyjechał właściwie sam (Geza się nie liczy) do jakiejś upiornej, małej wioski pośrodku puszczy - wioski, w której nie ma nawet księdza, co poruszyło go bardziej, niż chciałby przed sobą przyznać - a pierwsza osoba, jaką napotkał, była zdecydowanie dziwaczna. Biorąc to wszystko pod uwagę, nic dziwnego, że Sari zrobiła na nim takie wrażenie - po prostu odczuł ulgę, że znalazł kobietę inteligentną, normalną i... iw pewnym sensie wytworną, mimo wiejskiej sukienki i włosów byle jak spiętych na głowie. Ulgę i zdumienie.

Ale jest coś jeszcze, co go niepokoi: fakt, że kiedy zamyka oczy, wciąż widzi pod powiekami jej twarz; fakt, że serce uspokoiło mu się dopiero dłuższą chwilę po jej wyjściu; fakt, że znów bije w przyspieszonym, urywanym rytmie, kiedy Bela myśli o jej powrocie nazajutrz rano. Nie jest piękna, mówi sobie. Wcale nie. Musi być co najmniej dziesięć lat starsza od niego. Jest za chuda, niemal koścista, ma bruzdy na twarzy i kilka pasemek siwych włosów. Tylko jej oczy są niezwykle, i już. Bela jest człowiekiem rozsądnym; teraz po prostu czuje się zmęczony i wytracony z równowagi, rano wszystko będzie wyglądać inaczej. Na pewno.

Sari zauważyła, jakie wrażenie zrobiła na Beli. Starał się to ukryć, ale nie umknęły jej uwagi króciutki moment zdumionej ciszy, kiedy otworzyła drzwi, jego oczy i to, że śledził ją wzrokiem, ilekroć sądził, że nie patrzy. No cóż, myśli. To się może przydać. Przez chwilę żałuje, że nie jest podobna do Lilike, Lujzy czy niemal każdej innej kobiety. W końcu tylko kilka razy była z mężczyzną, co było bardziej dziełem przypadku niż jej zaplanowanych działań i trudno powiedzieć, by skończyło się szczęśliwie. Szkoda, że brak jej wprawy, by z całym rozmysłem obrócić sytuację na swoją korzyść - swoją i innych.

Bela wygląda na miłego chłopca, jest młody i uprzejmy; Sari dość niespodziewanie dla siebie samej łapie się na tym, że chce, aby przybyszom było wygodnie, stara się ich zadowolić. Po przyjeździe do domu ojca zostawiła ich na dole, a sama poszła na górę przygotować łóżka i sprawdzić dokładnie, czy nigdzie nie został żaden podejrzany ślad, chociaż robiła to już kilka razy, odkąd zniknęła teściowa Francziski. Kiedy wróciła na dół, ten młodszy - Geza? - siedział z posępną miną przy stole, Bela stał przy półce z książkami, przebiegając palcami po grzbietach. Odwrócił się do niej.

- Przeczytała pani to wszystko? - spytał. Wzruszyła nieznacznie ramionami.

- Wszystko, kilka razy. - Uśmiechnęła się. - Bardzo tu trudno o książki. Mogłabym pewno wyrecytować każdą z nich na pamięć. Od tyłu.

Roześmiał się.

- Może kiedy wrócę do Varos... - Urwał niepewnie. - Może pozwoli pani, żebym przysłał jej parę książek. W podziękowaniu... - rozpostarł ręce - za to wszystko.

Wolałaby, żeby nie zbudził jej sympatii. Byłoby łatwiej.

Rozdział 26

Bela miał złą noc, ale kiedy schodzi nazajutrz na dół, przekonuje się z pewnym zdziwieniem, że rano przyniósł jednak zmiany na lepsze. Słońce świeci przez kuchenne okna, z zewnątrz dobiegają odgłosy normalnej krzątaniny i doprawdy byłoby niemądre przypisywać jakieś znaczenie niespokojnym snom; wynikały po prostu ze spania w nieznanym łóżku.

Geza jest już na nogach i siedzi przy stole, przeglądając notatki, które musiał czytać ze sto razy. Bela widzi, że chłopak ma na twarzy spokój; najwyraźniej jego wczorajsze złowrogie przecucia rozwiały się w obliczu niegroźnej rzeczywistości. Bela siada obok i uśmiecha się zachęcająco. Wszystko jest w najlepszym porządku. Wioska jest dziwna, oczywiście, ale tylko dlatego, że leży w takim oddaleniu i że on patrzy na nią oczami mieszczucha. Są tu, ponieważ Emil jest zbyt skrupulatny, i z pewnością nie znajdą nic nadzwyczajnego. Bela szczeni się swoim zdrowym rozsądkiem i trochę współczuje pełnemu obaw i niepokoju mężczyźnie, jakim się stał zeszłego wieczoru. Nie poświęca mu głębszej uwagi. Pora zabrać się do roboty.

Rozlega się pukanie, Sari wsuwa głowę przez drzwi.

- Dzień dobry! Przyniosłam śniadanie. Przyszłabym wcześniej, ale nie chciałam panów budzić. Musicie być zmęczeni po podróży.

Wnosi ze sobą światło, jej głowę otacza aureola. Bela na chwilę wstrzymuje oddech.

- Bardzo dziękujemy. Zje pani z nami?

Policzki Sari różowieją. Jak mogłem myśleć, że jest dziesięć lat starsza ode mnie? - dziwi się Bela. Wygląda teraz na nastolatkę.

- Dziękuję, jestem już po śniadaniu - odpowiada uprzejmie. Bela kiwa głową. Geza obserwuje tę wymianę zdań nieco zdumiony, przenosi wzrok z jednego na drugie.

- Wspomniał pan wczoraj, że chce ze mną porozmawiać o... - zawiesza głos - o przyczynie, dla której tu przyjechaliście. Chce pan to zrobić dzisiaj?

- Bardzo chętnie. Ale najpierw musimy się spotkać z... - Wyciąga rękę do Gezy, który podaje mu dokumenty. - Z niejaką Francziską Imanci. Zna ją pani?

- Naturalnie. To mała wioska. Wszyscy się tu znają. Zaprowadzę panów do niej, jeśli sobie życzyacie.

- To bardzo miło z pani strony, będziemy wdzięczni.

- Pamiętajcie, gdzie mieszkam? Doskonale. Proszę do mnie zajść po śniadaniu i pójdziemy tam razem. - Otwiera drzwi. - Do zobaczenia wkrótce.

Po jej wyjściu Geza patrzy na Belę z namysłem.

- Nie wykazała zbytnej ciekawości, czemu tu jesteśmy, co? Bela prycha z dezaprobatą.

- Chciała po prostu być uprzejma. - Instynktownie patrzy na miejsce, gdzie przed chwilą stała Sari, ale szybko otrząsa się i wstaje. - Chodź, Gezo. Śniadanie.

Kiedy Francziska wpuszcza Sari, widać, że jest ledwo żywa ze strachu.

- Dzięki Bogu, że to tylko ty. Myślałam...

- Wiem, co myślałaś - ucina Sari. - Oni też zaraz tu będą, najdalej za godzinę, kiedy zjedzą śniadanie. Nie mogę zostać długo.

- O Boże! - Francziska wygląda, jakby zaraz miała zwymiotować, choć na szczęście się powstrzymuje. - Co mam robić? Co mam robić?

- Przede wszystkim musisz się uspokoić - nakazuje Sari stanowczo. - A potem odpowiadaj na ich pytania tak przekonująco, jak tylko potrafisz, żeby nie wpakować nas wszystkich w tarapaty. Poczekaj... - Zastanawia się chwilę. - W jakim stanie była twoja teściowa, kiedy uciekła?

- Narzekała na bóle głowy i brzucha, ale nic więcej jej nie dolegało. - Francziska czerwienieje ze złości. - Nie mogła być znów tak ciężko chora, skoro dała radę przejść taki kawał drogi przez pusztę!

- Racja. Wobec tego masz szczęście. Wątpię, aby miała wyraźne objawy wskazujące na to, że była truta. Wszystko, co mają przeciwko tobie, to jej podejrzenia. Oczywiście mogła cię też oskarżyć o śmierć syna.

- O Jezu! - jęczy Francziska.

- Przestań wreszcie! - irytuje się Sari. - Wystarczy, że będziesz wszystkiemu zaprzeczać. Kiedy cię spytają o teściową, powiedz, że nigdy się między wami nie układało, że na stare lata trochę się jej pokręciło w głowie i pewno dlatego zrobiła się nadmiernie podejrzliwa. Gdybyś mogła udąć gniew, tym lepiej. Krzycz: jak ona śmie o coś takiego mnie oskarżać, po wszystkich tych latach, kiedy się nią opiekowałam! Myślisz, że umiałabyś to zrobić?

Francziska kiwa głową z entuzjazmem.

- O tak, z pewnością potrafię wykrzesać z siebie gniew!

- Dobrze. A jak spytają o twojego męża, powiedz, że był bardzo osłabiony po obrażeniach, jakie odniósł podczas wojny, i umarł na gripę. Postaraj się wycisnąć parę łez, jeśli zdołasz.

- No, nie wiem... - Głos Francziski drży.

- Zresztą to nie ma większego znaczenia. Trzymaj się tych odpowiedzi. Nie staraj się wymyślać jakiejś zgrabnej historyjki. Niech twoje wyjaśnienia będą jak najprostsze.

Francziska kiwa głową.

- Dobrze. Ale... - Urywa, speszona.

- Ale co?

- A jeśli spytają mnie o... o innych? Przecież muszą wiedzieć, że... że umarło tu więcej ludzi niż gdzie indziej...?

Sari wzdycha. Niełatwo jest znaleźć wiarygodne wytłumaczenie, choć łamała sobie nad tym głowę.

- Powiedz, że na wioskę spadło pasmo nieszczęść. Mów, że wielu mężczyzn wróciło z wojny ledwo żywych i ciągle gnębiły ich choroby. - Krzywi się ironicznie. - Nie zaszkodzi, jeśli bąkniesz coś o klątwie albo czymś takim.

- Ale...

- Posłuchaj, oni są z miasta, a my jesteśmy kobietami ze wsi. Chętnie uwierzą, że tak myślimy. Nie zdziwię się, jeśli sami to podpowiedzą.

Geza nie wie, co myśleć. Nie chodzi o to, że Francziska zachowywała się mało przekonywająco, ile o to, że sam nie wie dobrze, jakiego zachowania należało oczekiwać. Czy to normalne, że kobieta oskarżona przez teściową o morderstwo krzyczy, na przemian szlochając z rozpacz i miotając się z wściekłości? Wszystko razem wzięwszy, była to jedna z najtrudniejszych godzin, jakie przeżył w życiu, i rzadko kiedy czuł taką ulgę, jak opuszczając jej dom. Powietrze wydaje mu się świeższe, a słońce jaśniejsze niż zwykle. Z twarzy Beli jak zawsze nie można nic wyczytać i Geza pozwala sobie na mały przypływ uwielbienia dla swojego bohatera. Pewnego dnia, myśli, pewnego dnia...

Tymczasem Francziska parzy kawę i gratuluje sobie dobrze wykonanej roboty.

Bela wie, że nie powinien tak otwarcie rozmawiać z Sari, zdaje się jednak na tak opiewany przez Emila instynkt, który mówi mu ponad wszelką wątpliwość, że jeśli coś dziwnego dzieje się w tej wiosce, Sari nie ma z tym nic wspólnego.

- Wiedziała, że jej teściowa zniknęła - przyznaje Sari. - Francziska bardzo się o nią martwiła, bo stara Imanci nie czuła się dobrze. Podobno w ostatnich dniach zachowywała się dziwnie.

Idą przez wioskę w kierunku domu Sari. Bela i Geza spotkali ją przypadkiem, kiedy wyszli z domu Francziski, a ona zaprosiła ich do siebie na obiad.

- Skoro i tak mamy porozmawiać - powiedziała z tym swoim uśmiechem, który rozjaśniał twarz - możecie równie dobrze coś zjeść.

Oczarowany tym uśmiechem Bela - właściwie najbardziej podziwia w niej inteligencję, powtarza sobie - opowiada jej o rozmowie, jaką przeprowadzili z Francziską, nie zwracając uwagi na zdumienie widoczne na twarzy Gezy.

Sari jest zdziwiona i zaniepokojona, i ten niepokój trudno mu sobie wytłumaczyć. Wie co nieco o naturze damskiej przyjaźni, głównie z książek, i sądził, że Sari jest ponad to, że nie będzie skłonna chronić Francziski z powodu jakiejś tajemniczej kobiecej więzi.

- Witam w domu - mówi Sari na progu. - Judit? Rozsi? - woła. W drzwiach pojawia się wysoka, rudowłosa dziewczynka; jej oczy, zauważa Bela, są równie niezwykle jak oczy Sari, ale bardziej zielone.

- To moja córka, Rozsa. Nazywamy ją Rozsi. Bela jest zaskoczony.

- Nie przypuszczałem... nie wiedziałem, że jest pani mężatką.

- Nie jestem. - Sari uśmiecha się lekko.

Bela nie wie, co powiedzieć. Czy to znaczy, że jest wdową, czy też...

Sari odpowiada sama na niezadane pytanie.

- Nigdy nie wyszłam za mąż; przykro mi, jeśli to pana gorszy. Byłam kiedyś zaręczona z ojcem Rozsi, ale zmarł, zanim zdążyliśmy wziąć ślub. - Wzrusza ramionami. - Wiem, że może to niewłaściwe postępowanie, ale ludzie tutaj nie przywiązują wielkiej wagi do takich spraw.

- No tak, cóż... - bąka Bela, starając się odzyskać równowagę. To w końcu nic nadzwyczajnego, że kobieta ma nieślubne dziecko.

Rozsi nie reaguje na rozmowę. Bela siada przy stole i zwraca się do niej niepewnie:

- Serwus, Rozsi - wita się z fałszywą wesołością. Nigdy nie wiedział, jak się zachowywać wobec dzieci.

- Ona nie mówi - wyjaśnia Sari, kładąc rękę na głowie Rozsi; dziewczynka uśmiecha się do niej. - Nie wiemy dlaczego. Rozumie, co się do niej mówi, ale chyba nie ma nam nic do powiedzenia. A to Judit.

Bela zrywa się od stołu i tężeje, wstrząśnięty: stoi przed nim fabrykantka aniołków z jego snów.

Judit uśmiecha się bezzębnymi ustami.

- Jak się macie, chłopcy - mówi.

- Judit i ja pracujemy razem - dorzuca Sari. - Mieszkam u niej, odkąd umarł mój ojciec, kiedy miałam czternaście lat.

Podczas obiadu - przygotowanego przez Rozsi, odnotowuje Bela ze zdumieniem - prowadzą niezobowiązującą rozmowę o pogodzie, o wiosce, o bieżących sprawach. Bela nie może oderwać oczu od Sari, choć wciąż nie potrafi sobie wytłumaczyć dlaczego. W drodze do pracy mijają codziennie ładniejsze dziewczyny. Ale w Sari jest coś... coś magnetycznego, czego Geza najwyraźniej nie widzi (inaczej nie byłby tak bez reszty pochłonięty jedzeniem), czego nie widzi też chyba nikt w tej zabitej dechami wiosce. Sari jest jakby z innego świata, a to coraz bardziej go intryguje. Zadaje sobie pytanie, kim byłaby gdzieś indziej, gdyby jakimś cudem została przeniesiona do Varos lub Budapesztu, co by robiła, gdyby nie siedziała na rozchwierutonym krześle, w zapadłej dziurze, w towarzystwie niemego rudego dziecka i wiedźmy. Bela stara się ukryć swoją niechęć do Judit - niechęć i, o tak, również strach. Starucha jest nieszkodliwa, to proste, Bela nie będzie przecież wierzył w przesady - czy jednak nie dostrzegła, jak on pieści wzrokiem linię karku Sari i kuszący kształt jej bioder? Uśmiecha się do niego w obrzydliwy sposób i Bela czuje ulgę, kiedy zaraz po obiedzie bierze ze sobą Rozsi i wychodzi.

- No więc - zaczyna Sari - o czym pan chciał ze mną porozmawiać?

Śledztwo to ostatnia rzecz, jaką Bela ma ochotę omawiać z Sari. Z przyjemnością wysłuchałby jej zdania o przeczytanych książkach albo wypytał o tajniki pracy. Sucha analiza dokumentów, które ma w teczce, jest absolutnie nieciekawa i oczywiście absolutnie konieczna.

- Wie pani, że przybyliśmy tu w wyniku doniesienia, jakie złożyła na Francziskę Imanci jej teściowa, prawda? - pyta, a Sari potakuje. - Wystąpiła też z innymi, dość dziwnymi zarzutami dotyczącymi różnych niezwykłych rzeczy, jakie się tu dzieją. Takimi jak... - milknie strapiony pod jej badawczym spojrzeniem.

- Jak uprawianie czarów? - pyta Sari spokojnie i Bela się czerwieni.

- Tak. Wiem, że to brzmi śmiesznie.

- To nic nowego, jeśli chodzi o mnie i o Judit. Zapewne twierdziła, że rzuciłyśmy klątwę na wioskę?

- Coś w tym rodzaju, tak. Oczywiście nie bierzemy tych oskarżeń poważnie, ale kiedy sprawdziliśmy śmiertelność w wiosce, faktycznie okazało się, że zmarło tu nieproporcjonalnie wielu mężczyzn... Pani jest osobą, która wypełnia świadectwa zgonów, chcieliśmy więc się dowiedzieć, co... co pani myśli o tym wszystkim

- kończy wymijająco.

Sari rozkłada bezradnie ręce i przez chwilę zdaje się zastanawiać.

- Z pewnością musi się to panu wydawać dziwne, podobnie jak wydaje się dziwne wielu tutejszym mieszkańcom... niejedna osoba mówiła już o kłątwie! - Śmieje się krótko i Geza patrzy na nią znad notatek, które sporządza.

- Pani Imanci... Francziska Imanci... też o tym wspomniała.

- No cóż, można zrozumieć, dlaczego ludzie tak myślą. Ale fakty są takie, że po pierwsze, poszło stąd na wojnę wyjątkowo wielu mężczyzn, z których większość wróciła w złym stanie zdrowia, co znaczyło, że byli bardziej podatni na wszystkie choroby, jakie przetoczyły się przez wioskę. A po drugie, ponieważ żyjemy na takim odludziu, chorzy rzadko są w stanie zasięgnąć porady lekarskiej. Ja i Judit robimy, co można, ale... - Wzrusza ramionami.

- Nie mamy wystarczających kwalifikacji, żeby zastąpić prawdziwego lekarza, choćbyśmy się nie wiem jak starały.

Uśmiecha się smutno, słońce igra w jej włosach i Bela czuje, jak coś chwyta go za serce. Cóż to za dzielna kobieta, myśli. Bezinteresownie leczy ludzi w wiosce i co ją spotyka w zamian? Obelgi, że jest czarownicą. Słyszał wcześniej o podobnych sprawach, o wiejskich znachorkach i położnych, którym przypisywano nadprzyrodzone zdolności i obarczano odpowiedzialnością za wszystko, co poszło źle, jak i za wszystko, co poszło dobrze. Przez chwilę dławi go gniew na starą Imanci za jej idiotyczne, niesprawiedliwe oskarżenia. Geza siedzi czujnie obok z ołówkiem w ręku, gotów spisywać zeznania, ale Bela uważa, że doprawdy byłoby rzeczą okrutną i niepotrzebną męczyć ją dłużej. Wobec tego opiera się wygodnie w krześle i mówi z uśmiechem:

- Może opowie mi pani o swojej pracy? Chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej o tym, co pani robi.

Sari jest zmęczona. To był ciężki dzień - niełatwo jest czarować i błyszczeć całe popołudnie, zwłaszcza kiedy się nie ma wprawy, ale Bela okazał się nadszpedzanie sympatyczny. Po tym, jak zdała mu szczegółowe sprawozdanie ze zgryzot i udręk wiejskiej akuszerki, przeszli do książek. Bela posunął się tak daleko, że zapisał parę tytułów, które obiecał jej wysłać po powrocie do Varos. Wyszli w końcu obaj jakiś kwadrans temu i Sari rozsiada się przy stole z kubkiem kawy, ciesząc się ciszą, kiedy Rozsi i Judit wpadają nagle przez drzwi, ta druga ze złośliwym uśmiechem na ustach.

- No i jak ci poszło? Chociaż chyba łatwo zgadnąć.

- Lepiej niż się spodziewałam. Zadał mi kilka najprostszych pytań, zdaje się, że uwierzył w moje odpowiedzi, a potem rozmawialiśmy o ziołach i książkach przez dwie godziny. Ten młodszy, Geza, był całkiem oszołomiony.

Judit śmieje się szczerze.

- Ty spryčiuło! Owinęłaś go sobie wokół palca. Jak to zrobiłaś?

- Nie stosowałam żadnych sztuczek, przysięgam. Czasem takie rzeczy zdarzają się same z siebie, prawda?

- Jeszcze gotowam uwierzyć, że ktoś tam na górze naprawdę ma nas w swojej opiece.

Sari wzdycha głęboko.

- Może wyjdziemy z tego cało. Może jednak się uda.

- Piękne miejsce, nie uważasz? - mówi Bela beztrąsko w drodze powrotnej do domu ojca Sari.

Geza nie podziela tego przekonania. Rzeczywiście, dzień jest piękny, ale samej wiosce jego zdaniem daleko do piękna. Gdyby to nie była ciężka potwarz, Geza byłby skłonny przypuszczać, że nagły zachwyty Beli dotyczy bardziej Sari Arany niż Falucski, ale nie śmie nawet dopuścić do siebie takiej myśli, a cóż dopiero powiedzieć o tym Beli.

- A więc, co sądzisz o...? - Geza wskazuje głową dom, z którego wyszli.

- O czym? O tym, co mówiła panna Arany? - odpowiada Bela.

- No cóż... dla mnie to całkiem przekonujące. Nie możemy wpaść w pułapkę szukania zbrodni tam, gdzie jej nie ma. To nikomu nie przynosi nic dobrego.

- Ale... - Nie chodzi o to, że Geza nie wierzy Sari, ale ma od dawna ukształtowane wyobrażenie o tym, jak wygląda policyjne śledztwo i jego zdaniem powinno wiązać się z bardziej rygorystycznym przepytaniem i dokładniejszymi poszukiwaniami, niż dotąd poczynili.

- Pójdziemy oczywiście jeszcze raz zobaczyć się z panią Imanci - mówi Bela z namysłem - ale poza tym... - Wzrusza ramionami.

- Nie wydaje ci się... - ośmiela się powiedzieć Geza po chwili ciszy - że może powinniśmy porozmawiać z innymi mieszkańcami? Może z krewnymi ludźmi, którzy zmarli? Nie to, że nie wierzę pani Arany - dodaje szybko, widząc, że twarz Beli ciemnieje - ale może nie wiedzieć wszystkiego, co się tu dzieje. Po prostu, żeby się upewnić.

Bela się zastanawia. Z jednej strony zachowałby się jak dżentelmen, przestając na słowie Sari i wniosku, że wszystko jest w najlepszym porządku. Z drugiej - no cóż, Emil

może zacząć zadawać kłopotliwe pytania, jeśli uzna, że robota została wykonana byle jak. To by Beli nie pomogło w karierze.

- Najlepiej, jeśli zostaniemy tu jeszcze przez tydzień - oświadczają. - Będziemy mieli czas porozmawiać z innymi ludźmi.

I nie zwraca uwagi na dreszczyk podniecenia na myśl, że da mu to kilka dodatkowych dni na spotkania z Sari.

Rozdział 27

Pani Gersek - mówi we wtorek Geza zdecydowanym tonem, unosząc wzrok znad papierów.

Bela kiwa głową. Nie zaszkodzi pozwolić Gezie na zabawę w śledztwo, zwłaszcza że i tak skończy się to niczym.

- Bardzo dobrze - wyraża zgodę. - Pójdziemy do niej jutro rano.

- Pani Gersek - oznajmia Bela nazajutrz rano, kiedy Sari przynosi im śniadanie.

- Zaprowadzę was do niej, gdy zjecie - mówi Sari i szybko wychodzi pod pretekstem, że musi zająć się Rozsi. - Zaraz do ciebie przyjdą - uprzedza Jakovę Gersek pięć minut później.

Jeszcze jeden stracony ranek, myśli Geza, wychodząc koło południa z domu pani Gersek. Nie sposób z nią rozmawiać, kobieta wpadła w furję od chwili, gdy przekroczyli próg, wrzeszcząc raz po raz, jak śmia ją oskarżać o zamordowanie męża, jak śmia? I to zanim zdążyli powiedzieć, po co przyszli.

- O, nietrudno się domyślić - warknęła, kiedy Bela zwrócił jej na to uwagę. - Wiem, że byliście wczoraj u Francziski Imanci, nękając biedaczkę po tym wszystkim, co przeszła!

Reszta wizyty przebiegła w podobny sposób; pani Gersek z rzadka się uspokajała, żeby znów wybuchnąć wściekłością na rzekome podejrzenia zawarte w każdym najniewinniej brzmiącym pytaniu.

- To chyba rozstrzyga sprawę - mówi Bela do Gezy, który marszczy brwi.

- No tak. Ale... Jej zachowanie było trochę przesadne, nie sądzisz? Zupełnie jakby... jakby odgrywała przed nami przedstawienie.

Bela się uśmiecha.

- Być może. Ale musisz zrozumieć, że ludzie są niewinni, póki nie udowodni się im winy. Nie możemy nic zrobić... i nie powinniśmy nic robić... póki nie znajdziemy przekonujących dowodów.

- Na przykład jakich?

- W tym wypadku musiałyby to być przyznanie się do winy. Albo znalezienie narzędzia zbrodni. Chyba na nic takiego nie możemy liczyć, prawda?

- A ciała? Czy nie moglibyśmy...?

- Gezo, nasze śledztwo jest oparte wyłącznie na podejrzeniach i poszlakach. Pozwolenie na ekshumację zwłok... - Kręci głową. - Musielibyśmy mieć coś o wiele bardziej

konkretnego, niż w tej chwili. Wyobrażasz sobie, co zrobiliby ci ludzie, gdybyśmy zaczęli rozkopywać cmentarz? W porównaniu z ich wściekłością, zachowanie pani Gersek to nic.

Geza wzrusza ramionami.

- Pewnie masz rację.

Ale jest zawiedziony. Spędzili w wiosce niemal trzy dni i uderzyła go nieobecność męskich twarzy. Nigdy i nigdzie nie widział podobnego braku mężczyzn i jakoś nie może uwierzyć, że da się to wytłumaczyć w sposób naturalny. Czuje, że szacunek dla Beli zaczyna wyciekać małymi strużkami i strumyczkami, choć stara się wmawiać sobie, że Bela ma rację i wie, co robi. Ale przychodzi mu to z trudem. Przez ten rok, kiedy pracowali razem, postawił Belę na piedestale, który teraz się chwieje, a nie jest miło patrzeć na upadek swojego bohatera. Choć może wszystko jest w porządku, pociesza się. Nie potrafi jednak zapomnieć, jak Bela patrzył na Sari Arany. Nawet teraz, idąc obok, czuje, jak bije od niego coś w rodzaju tęsknoty.

Mijają róg i ukazuje się dom Judit. Drzwi się otwierają, Sari wychodzi na ganek i macha do nich ręką. Geza patrzy na twarz Beli i wzdycha.

W środę rano Bela i Geza odwiedzają panią Gyulai, która nie wrzeszczy na nich jak pani Gersek, ale siedzi, płacząc cicho przez cały czas, co jest jeszcze gorsze. W środę po południu Bela i Sari rozmawiają o poezji Goethego przy kuchennym stole, a Geza skrupulatnie sporządza notatkę z porannego spotkania. Próbuje uciszyć głos w głowie, który powtarza: nie tak to powinno wyglądać.

W czwartek idą do pani Kiss. Nawet Bela nie jest zachwycony tą kobietą, która siedzi podczas całego przesłuchania z nadnaturalnym spokojem, a na jej twarzy w najdziwniejszych momentach pokazuje się nieprzyjemny uśmiezek. Nie okazuje żalu, kiedy mowa o śmierci jej męża, matki, a nawet syna w jednym ciągu nieszczęśliwych wypadków i chorób.

Geza niemal kipi z podniecenia, kiedy opuszczają dom, lecz Bela, jak zawsze, kręci głową.

- Nie można wnieść oskarżenia przeciwko komuś tylko dlatego, że jest niesympatyczny.

- Ale...

- Pamiętaj, co ci mówiłem o przyznaniu się do winy i dowodach? Bez tego daleko nie zajedziemy.

Geza milknie z chmurną miną. Może to racja, jednak on sam jest już przekonany, że Beli wcale nie zależy na wyciągnięciu z nikogo przyznania się do winy ani na znalezieniu dowodów. Jest przekonany, ba, pewny, że nie wszyscy nieżyjący krewni pani Kiss umarli śmiercią naturalną, i myślałby to samo, nawet gdyby nie była taka dumna i wyniosła. W żadnej rodzinie nie zdarza się tyle nieszczęśliwych wypadków - a nawet gdyby się zdarzyło, poprawia się Geza, żadna kobieta nie przyjęłaby tego z drwiącym uśmiechem, jaki pani Kiss prezentuje światu. A jednak Bela zadał jej tylko najprostsze pytania i jak zawsze zadowolił się pierwszą lepszą odpowiedzią, chociaż Geza wie, że sama sobie zaprzeczyła parę razy, choćby mówiąc o chorobie syna, która doprowadziła do jego śmierci. Bela nawet tego nie zauważył ani nie wytknął jej tych sprzeczności.

Kobiety, myśli Geza lekceważąco, niezdolny uwierzyć w moc, jaką mogą mieć nad mężczyznami. Patrzy ukradkiem na Belę, dostrzega błysk oczekiwania w jego oczach i przygotowuje się w duchu na jeszcze jedno popołudnie poświęcone dyskusji o ziołach i literaturze.

W piątek Geza przypomina, że przydałoby się porozmawiać z Judit Fekete na osobności, i Bela zgadza się ze wzruszeniem ramion, choć żadnemu z nich nie uśmiecha się ranek spędzony z Judit. Sari bez sprzeciwu idzie im na rękę i znika w lesie w poszukiwaniu ziół. Zabiera ze sobą Rozsi do pomocy. Dwie godziny, które Bela i Geza spędzają z Judit, są właściwie czystą przyjemnością w porównaniu ze spotkaniem z panią Kiss poprzedniego dnia, ale po skończonej rozmowie Geza widzi, że nie dowiedział się absolutnie niczego nowego. Judit ma rzadką zdolność omijania istoty rzeczy. Przy każdym zadanym pytaniu sprawia wrażenie, że się głęboko zastanawia, a później roztacza przed nimi zawile meandry barwnych opowieści. Pod koniec obaj policjanci nie pamiętają już, o co w ogóle pytali.

- Unika odpowiedzi - syczy do Beli, kiedy Judit wychodzi do wygodki, ale on tylko się śmieje, doprowadzając Gezę do skrajnej irytacji.

Wygląda na to, że nie tylko Sari jest poza wszelką krytyką, ale także każdy z nią związany, choć widać gołym okiem, że Judit to przewrotna stara wiedźma, myśli Geza ze złością.

- Pomyśl tylko, jaka jest wiekowa - szepcze Bela. - Ludziom w tym wieku trudno zebrać myśli. To nie jej wina. Na pewno stara się, jak może.

Ale kiedy Judit wraca, Geza dostrzega na jej twarzy przebiegły uśmiech i wie już, że nigdy nie uwierzy w jej dobre intencje.

Z im większą liczbą mieszkańców rozmawiają, tym bardziej rośnie obojętność Beli i podejrzliwość Gezy. Nikt w Falucsce nie zachowuje się normalnie. Francziska była strzępkiem nerwów; pani Gersek wpadała w histeryczną furję, pani Gyulai roniła łzy jak święta męczennica, pani Kiss prezentowała nieznośne samozadowolenie. Nawet Sari Arany jest dziwna; jej opanowanie i inteligencja są przeciwne naturze. Ale w końcu, rzecz jasna, to zdanie Beli się liczy, nie Gezy. Gezę ogarnia coraz większe rozgoryczenie.

Zapada zmierzch, niebo ciemnieje jak wielki siniak i Bela myśli, że nie czuł się tak od czasu, kiedy był uczniem, który zapalał niewytłumaczalnym uczuciem do córki sąsiada. Serce mu się ścisnęło, że Sari nie może zjeść z nimi obiadu - chyba musiała iść do chorego - ale przynajmniej wyraziła szczery żal, tym większy, gdy usłyszała, że już nazajutrz wyjeżdżają, po ostatecznej rozmowie z Francziska Imanci.

A później jej twarz się rozjaśniła.

- Skoro to wasza ostatnia noc, może zjemy razem kolację? - zaproponowała aksamitnym głosem. - I z Gezą, oczywiście. Rozsi i Judit poradzą sobie beze mnie przez jeden wieczór.

Bela nie jest pewien, czy to zgodne z regulaminem, stwierdza jednak, że nic go to nie obchodzi; serce już mu nie bije, a skacze, wielkimi zapierającymi dech skokami. Przegląda się w lustrze - może nie jest wybitnie przystojny, ale chyba prezentuje się całkiem przyzwoicie? Przeczesa raz jeszcze faliste brązowe włosy i nachyla się, żeby sprawdzić, czy coś nie utkwilo mu między zębami. To tylko kolacja, nic więcej, ale być może zobaczą się po raz ostatni i warto dołożyć starań.

Sari przychodzi, kiedy słońce chowa się za drzewami. Przynosi *gulyas* i butelkę czerwonego wina.

- Zrobiłam go sama - mówi z nieśmiałym uśmiechem. - Rozsi gotuje lepszy, ale chciałam zrobić sama. - Siadają przy zniszczonym kuchennym stole i płomienie lamp buchają pod sufit.

Geza jest znudzony i prawie się nie odzywa, ale dla Beli minuty płyną szybko jak srebrzyste rybki w rzece przed domem. Rozmowa się nie klei, Sari próbuje pociągnąć za język milczącego uparcie Gezę, a Bela marzy, żeby wreszcie sobie poszedł - przecież to chyba dla niego nic przyjemnego siedzieć tu w niezręcznej ciszy? Ponagla go w myślach i w końcu Geza wstaje, uprzejmie kłania się Sari.

- Dziękuję za kolację - mówi. - Nie chcę być niegrzeczny, ale muszę sporządzić notatki z dzisiejszych przesłuchań.

Bela mruży oczy, doskonale wie, że notatki zostały napisane po południu, choć oczywiście nie oponuje. Geza żegna go wymownym uniesieniem brwi i opuszcza pokój - przez ułamek sekundy Beli świta ponura myśl, że chłopak będzie zupełnie nie do wytrzymania po powrocie do Varos, ale nie ma czasu teraz się tym martwić, bo spojrzenie Sari wywołuje w nim falę ciepła.

Bez Gezy rozmowa rozkwita, toczy się wartko i ciekawie. Na zewnątrz jest ciemno, a Sari z twarzą pogrążoną w półmroku zdaje się wyzwalać ze swoich zahamowań. Poprzednio ich rozmowy były rzeczowe i nie dotyczyły spraw osobistych, teraz Bela ośmiela się zapytać ją o nią samą.

Sari mówi trochę o swoim narzeczonym, Ferencu, tym, który umarł; jej słowa są precyzyjne i starannie dobrane, ale Bela wyczuwa za nimi ciężar smutku. Opowiada też o swoich zainteresowaniach, o książkach, które chciałyby przeczytać, o namiętności, z jaką pochłania sztuki teatralne, które chciałyby zobaczyć na scenie. Mówi trochę o swoim ojcu, który zaszczepił w niej zamiłowanie do wiedzy, o głębokim żalu, że zdobycie prawdziwego wykształcenia okazało się niemożliwe dla kogoś takiego jak ona.

Bela popija wino - jest niezłe, stwierdza ze zdziwieniem, całkiem, całkiem... - i nagle zadaje pytanie, które tłuło mu się po głowie od dawna.

- Nie myślała pani o tym, żeby wyjechać?

Jej brwi wędrują do góry w wyrazie zdumienia.

- Wyjechać z wioski? Dokąd?

- Nie wiem... Może do Budapesztu albo... albo jakiegoś innego miasta. - Celowo nie wymienia Varos.

- Myślałam o tym, oczywiście, kiedy byłam młodsza, przed urodzeniem Rozsi. Nic mnie tu nie trzymało. Nie miałam rodziny ani męża; większość moich przyjaciółek wyjechała do krewnych, a te, które zostały... - Nie musi kończyć; mówiła mu już wcześniej o Lujzie, z której wojna zrobiła strzępek człowieka. - Wiedziałam zresztą, że ktoś taki jak ja zawsze będzie tu obcy. Co miałam do stracenia?

Wzrusza ramionami.

- Musiałabym mieć pieniądze, więcej pieniędzy niż mi się śniło. Nie miałam tu rodziny, to prawda, ale nie mam też rodziny nigdzie indziej ani przyjaciół w miastach, którzy daliby mi dach nad głową na czas poszukiwania pracy. Zresztą jaką pracę mogłam znaleźć? Nie mam żadnych umiejętności cenionych w mieście. Nie umiem szyć z należytą wprawą. Jestem marną kucharką. Mogłabym zostać pokojówką, tak, ale czy wtedy moje życie

zmieniłoby się na lepsze? Nie stać by mnie było na kupno książek ani chodzenie do teatru, nie miałabym znajomych ani szacunku, jakim mnie tu darzą.

Wzdycha nagle tak głęboko, że chwieje się płomień lampy.

- Kiedy byłam młoda, nie przejmowałam się tym wszystkim aż tak. Gdybym miała dość pieniędzy, żeby dotrzeć do miasta, byłam gotowa zaryzykować. Teraz, z Rozsi, to niemożliwe. Kiedy się ma dziecko, nie wolno podejmować zbyt wielkiego ryzyka.

Bela zwilża językiem wargi, starając się znaleźć odpowiednie słowa.

- Czy to by coś zmieniło, gdyby miała pani kogoś przyjaznego w mieście, kto pomógłby pani znaleźć pracę i odpowiednie mieszkanie?

Sari przebija go wzrokiem na wskroś.

- Panie Illyes?

Pod jej przenikliwym spojrzeniem Bela przestaje dobierać słowa; powie to, jak umie.

- Nie chciałbym pani obrazić ani... dać do zrozumienia nic niewłaściwego, zapewniam. Ale przez tych parę dni, jakie tu spędziłem... nie, nie chcę twierdzić, że dobrze panią poznałem; wiem, że to za krótko, ale chyba trochę panią znam i rozumiem, i pomyślałem... proszę mi wybaczyć... ale pomyślałem, że pani nie pasuje do tego miejsca, że ma pani... inteligencję, która się tu marnuje, a która posłużyłaby pani gdzie indziej. Dobrze zarabiam, odziedziczyłem spadek po rodzicach, nie mam rodziny, mógłbym więc... mógłbym dać pani pieniądze na przyjazd do Varos, wynająć mieszkanie dla pani i Rozsi i... i łożyć na wasze utrzymanie, dopóki nie znajdzie pani pracy.

No dobrze. Wykrztusił to z siebie. Ona wciąż na niego patrzy, jej twarz jest nieodgadniona. Bela boi się spojrzeć jej prosto w oczy, ucieka wzrokiem.

- Panie Illyes... Belo - mówi w końcu Sari. - To bardzo, bardzo szlachetna propozycja. Ale...

Bela podnosi rękę.

- Proszę. Niech pani teraz nie decyduje. Niech to pani przemyśli. Zostawię mój adres w Varos, powiadomi mnie pani o tym, co postanowiła. Moja oferta zawsze będzie otwarta.

Sari się uśmiecha.

- Dobrze. Obiecuję, że się nad tym zastanowię. Ale co z Judit? Ona nigdy nie przyzwyczai się do miasta, a ja nie mogę jej tak po prostu zostawić po tym, co dla mnie zrobiła. I jak po jej śmierci wioska poradzi sobie bez akuszerki? Przepraszam. Naprawdę to przemyślę.

- Niech pani choć raz zrobi coś dla siebie, dla siebie i Rozsi, i przestanie martwić się o innych.

Siedzą przez chwilę w milczeniu, lampy rzucają chwiejne cienie na ściany; naraz powiew wiatru szarpie oknem, co wrywa Sari z zadumy.

- Muszę już iść - mówi, ogarniając wzrokiem bałagan w kuchni. - Wrócę po garnki jutro rano.

Bela kiwa głową i wstaje.

- Mogę panią odprowadzić? Sari kręci głową.

- Nie trzeba. I tak chcę po drodze wpaść do Ewy... tej chorej, którą odwiedzałam po południu... zobaczyć, jak się ma.

- Rozumiem.

Sari otwiera drzwi i nagle szybkim płynnym ruchem przysuwa się do niego i całuje go w policzek. Bela czuje ją każdym nerwem swojego ciała. Czuje każdy atom jej gładkich ust, kiedy muskają jego skórę, czuje zapach jej włosów - zioła i czysta woda - który wypełnia mu nozdrza, wypełnia całą głowę. Jest niemal zadowolony, gdy Sari odrywa się od niego. Jak sobie wytłumaczyć taką intensywność przeżyć? Nie może wydobyć głosu, ale na szczęście ona mówi: „Dobranoc, Belo” i wychodzi, nie czekając na odpowiedź.

Kroki Sari skrzypią na ziemi zmrożonej pierwszym tegorocznym przymrozkiem, gwiazdy migoczą i mrugają jej nad głową. Dziesięć lat temu przyjęłaby ofertę Beli z czystą, niezmaconą radością, nie z mętym, wykalkulowanym poczuciem ulgi, niemającej nic wspólnego z samą propozycją, tylko z jej motywem, który zdradza jego uczucia, zapewnia jej bezpieczeństwo i ucieczkę. Ogarnia ją niezrozumiały smutek, ale mija równie szybko, jak przyszedł. Wszystko będzie dobrze, myśli; odrywa się od niej bąbelek pewności i szybuje przez ostre nocne powietrze.

W przyćmionym, ciepłym świetle kuchni Bela opiera się jedną ręką o zamknięte drzwi, a drugą rozpina spodnie i bierze go w garść. Po chwili jest już po wszystkim. Potem nie czuje nawet zwykłego wstydu. Przeciwnie, czuje się oczyszczony, jakby jego dusza stała się bielsza niż kiedykolwiek.

Rozdział 28

Rano Bela ledwie może się zmusić do słuchania słów Francziski. Te same potwierdzenia i zaprzeczenia, które słyszał już tyle razy, spływają po nim, nie robiąc większego wrażenia, jak krople wody z kałuży na chodniku w Budapeszcie. Kątem oka widzi poruszający się szybko koniec ołówka Gezy. Nie musi słuchać, Geza robi to za niego. I zadaje też za niego pytania, co miało być specjalną nagrodą dla chłopaka, a stało się nagrodą dla Beli, pozwalając mu odbiegać myślą i fantazjować bez przeszkód.

Spakowali się już i mają zamiar wyjechać koło południa. Sari powiedziała, że jeden z tutejszych milczących starych mężczyzn zgodził się odwieźć ich do najbliższej wioski, skąd będą mogli wsiąść w pociąg do Varos; powinni tam dotrzeć przed zmierzchem. Po niełatwej nocy uśmiech Sari, kiedy zapukała do drzwi o świcie, był jak balsam na ranę, i Bela zrozumiał, po godzinach dręczącej niepewności, że przyjmie jego propozycję. Może nie od razu, ale był gotowy czekać, zwłaszcza teraz, kiedy zyskał pewność jej przyjazdu - bo przecież nie mogłaby uśmiechać się do niego tak ciepło, gdyby postanowiła, że się więcej nie zobaczą.

Podrywa głowę, kiedy Francziska mówi coś ze szczególną gwałtownością, ale to nic ważnego, więc znów pogrąża się w marzeniach, idąc w myślach o zakład sam ze sobą, że Sari i Rozsi będą w Varos przed końcem roku.

Jego uwagę budzi nagła cisza. Geza i Francziska patrzą na niego wyczekująco. Najwyraźniej przesłuchanie się skończyło.

- No cóż... - mówi jowialnie. - To zamyka sprawę.

Francziska omiata go znużonym wzrokiem, obaj wstają i zaczynają się żegnać. Bela bąka podziękowania i przeprosiny, mrużąc coś, żeby nie żywiła urazy do nich, że tylko wykonywali swoją pracę, a jej wyjaśnienia niewątpliwie ich uspokoiły.

A potem wszystko dzieje się w ułamku sekundy. Geza bierze teczkę i rusza do wyjścia, teczka, niedbale ujęta, zakreśla łagodny łuk w powietrzu i trąca brzeg stołu stojącego przy drzwiach. Bela odwraca się w kierunku irytującego dźwięku i wszyscy widzą, jak wąski, brzydki wazon na stole zaczyna drżeć, robi piruet na szerokiej podstawie i przewraca się na bok. Z zięjącego otworu szyjki wypada coś małego, toczy się po blacie, spada, uderza o podłogę i rozpryskuje na deskach podłogi w obłoku ułamków szkła i białego proszku, jak eksplodująca gwiazda.

Sari kazała jej obiecać, że się tego pozbędzie, ale Francziska nie mogła się na to zdobyć - nigdy nie wiadomo, kiedy się może przydać - i teraz przeklina się w duchu. Geza

przyklęka i zbiera szczyptę proszku czubkiem palca. Obaj odwracają się do niej z pytaniem raczej niż oskarżeniem na ustach i Francziska myśli, że wciąż mogłaby się wywinąć, gdyby nie to, że już się zdradziła zastygła z przerażenia, zmartwiała twarzą.

- To nie tylko ja - mówi.

Jakova Gersek widzi ich obu na ścieżce do swojego domu i wie, po co przyszli. Coś ją ściska w żołądku. Kiedy mówią, że idą od Francziski Imanci, czuje dla niej wyłącznie politowanie i pogardę. Zawsze wiedziała, że Francziska to tchórz i w razie wpadki będzie chciała zwalić winę na innych. Jakove wcale nie dziwi, że wydała właśnie ją; głupia krowa jest zbyt zabobonna, żeby mieszać w to znachorki, jakby miały taką moc, żeby przekląć każdego, kto wystąpi przeciwko nim. Sama nie jest aż tak głupia, w końcu przyjaźni się z Orsolyą Kiss, i kiedy staje się jasne, że wściekle wypieranie się nic nie da, bez trudności podejmuje decyzję, żeby podzielić się winą z szerszym gronem.

- To Sari Arany - mówi.

Po drugiej stronie pokoju świat wali się Beli na głowę.

Pierwszym i największym błędem, myśli Sari, było założenie, że niebezpieczeństwo minęło. Skręca się w sobie na wspomnienie radosnego poczucia ulgi, z jakim obudziła się rano. Powinna być mądrzejsza: nigdy nie będzie bezpieczna, póki nie wyjedzie z Falucski; do tej pory miecz zawsze będzie jej wisieć nad głową.

Zaprzecza wszystkiemu. Geza mówi, że Francziska Imanci i Jakova Gersek złożyły zeznania i że ta ostatnia ją obciążyła. Sari zaciska zęby, żeby nie okazać wściekłości i siłą woli przetyka gniew - na jej twarzy maluje się jedynie zdumienie. Nie musi nawet do końca udawać: nie może uwierzyć, że tak szybko wszystko się wydało, że Francziska i Jakova tak łatwo się poddały, mimo grożącej im kary śmierci. Jeszcze nie wszystko stracone, mówi sobie. Dla dobra Rozsi i dla własnego dobra będzie walczyć do końca.

Bela unika jej wzroku.

Bela jest pewien, że jeśli jeszcze przez sekundę będzie widzieć triumfalną i dumną z siebie minę chłopaka, to zwymiotuje. Nie jest już dawnym sobą; czuje, że się skurczył, jakby było go mniej. Nie wierzy w to wszystko, to nie może być prawda - może inne tak, ale nie Sari. To jeszcze jeden przykład, jak mała, ograniczona społeczność potrafi zaszczyć inteligentną, dzielną, niezwykłą kobietę. Ale jednak została oskarżona i on nie może nie podjąć żadnych działań, bo Geza nie pozwoli mu udawać, że nic się nie stało.

Stoją przed domem Sari i od chwili, gdy zamknęły się za nimi drzwi, Geza nie przestaje snuć rozważań, co powinni dalej robić. Belę świerzbi ręka, żeby go uderzyć.

- Teraz, kiedy te dwie się przyznały, musimy je aresztować - mówi energicznie Geza. - Ale trzeba przeprowadzić dalsze śledztwo w wiosce, tylko jak? Musimy pomyśleć, gdzie zamknąć panią Imanci i panią Gersek, żeby nam nie uciekły, kiedy będziemy przepytywać innych.

- W kościele - mówi Bela tępo.

Widzi budynek kościoła z miejsca, gdzie stoją - pusty, z dużymi podwójnymi drzwiami, które można łatwo zaryglować z zewnątrz, i małymi oknami na dużej wysokości, do których trudno się dostać.

Twarz Gezy się rozjaśnia.

- Doskonale! Tam je zamkniemy na czas, gdy... I jeszcze jedno. Co zrobimy z panną Arany? Chyba możemy ją aresztować na podstawie zeznań pani Gersek? Są o wiele bardziej wiarygodne niż oskarżenie starej Imanci złożone na synową, prawda? A gdybyśmy potrzebowali mocniejszych dowodów, możemy wrócić do Francziski Imanci. Kiedy się dowie, że Gersek obciążyla Arany, z pewnością potwierdzi jej słowa.

Milknie i zastanawia się przez chwilę.

- Z drugiej strony, jeśli to naprawdę panna Arany dostarczała im truciznę, to może nie warto od razu jej aresztować? Może lepiej wziąć ją pod obserwację i zobaczyć, co zrobi? Może pójdzie ostrzec inne kobiety i naprowadzi nas na trop...?

Geza najwyraźniej myśli głośno, nie czekając na odpowiedź Beli, który tylko wzrusza ramionami. Żołądek ma zaciśnięty w twardą kulę. Jasne, że Sari nie ma z tym wszystkim nic wspólnego, nie może sobie wyobrazić, by ta kobieta była morderczynią. Z drugiej strony, pozostaje nie do końca wyjaśniona kwestia jej zmarłego narzeczonego. Co powiedziała? Że umarł dziesięć lat temu, jakoś pod koniec wojny, jako pierwsza ofiara długoletniej epidemii dziwnych chorób. Przeklina sam siebie, że w ogóle śmie dopuszczać takie myśli. Nie zrobiłaby czegoś podobnego, oczywiście, że nie. Mimo wszystko chyba powinna coś wiedzieć o tych wszystkich dziwnych zgonach? Kto jak kto, ale ona i Judit powinny znać przyczyny. Przygryza wargę i czuje krew.

- Chodźmy zatrzymać panią Gersek i panią Imanci - przerywa Gezie potok słów. - Masz rację, poczekamy z aresztowaniem panny Arany i zobaczymy, co zrobi.

Boże, błagam, niech nic nie robi, modli się w duchu Bela.

- Wrócili - oznajmia Judit ze swojego posterunku przy oknie, gdzie czuwa, odkąd Bela i Geza wyszli.

Podczas ich wizyty wycofała się do sypialni, pod pretekstem opieki nad Rozsi, ale cały czas stała z uchem przy drzwiach, więc po ich wyjściu Sari nie musiała jej nic wyjaśniać. Nie ruszyła się od stołu, siedząc bez ruchu, ale Judit wie, o czym myśli i wie, że Sari nie zamierza się poddawać. Ona sama czuje się pogodzona z losem, bo to wszystko i tak nie ma dla niej większego znaczenia. Żyła wystarczająco długo, poza tym zawsze wiedziała, jak to się skończy i oznajmiła to Sari, jak tylko Bela i Geza wyszli. Popatrzyła w jej białą, ściągniętą twarz i powiedziała:

- Ani się waż myśleć o mnie! Zostaję tutaj. Co będzie, to będzie. Ale ty uciekaj stąd i weź ze sobą Rozsi.

Sari nie odpowiedziała, tylko popatrzyła na nią z powątpiewaniem, co Judit potraktowała jako wyzwanie.

- Nie bądź śmieszna, Sari! - warknęła. - Mogę równie dobrze umrzeć, zanim mnie powiesz! Mam to gdzieś. Zależy mi tylko na tym, żebyś ty się wymknęła.

Sari kiwnęła głową i nie odezwała się już ani słowem. Judit dała jej czas do namysłu, a sama zasiadła przy oknie, składając sprawozdanie. Patrzyła, jak Bela i Geza idą w kierunku domu Francziski, prowadzą ją do kościoła i zamykają wewnątrz. Patrzyła, jak robią to samo z Jakową, a teraz wyszli z kościoła i schowali się za gankiem domu Jokaiów, zza którego wystają tylko czubki ich głów. Zapewne trudno by ich było dostrzec komuś, kto nie śledził uważnie ich poczynąń przez ostatnie pół godziny. Judit czuje lekką, pobłażliwą wzgardę.

- Obserwują nasz dom - mówi do Sari.

Przez moment Sari pozostaje znieruchomiała, potem prostuje się i otrząsa z zadumy.

- Chcą zobaczyć, co zrobię.

- Tak - zgadza się Judit.

Uznaje, że może już odejść od okna, siada więc obok przy stole.

- Czego się spodziewają? - pyta Sari. - Jakich ruchów po mnie oczekują, które mogłyby im pomóc?

- Francziska wydała im Jakove. Jakova wydała im ciebie. - Judit wzrusza ramionami, pozwalając Sari wyciągnąć własne wnioski.

- Chcą, żebym zaprowadziła ich do innych - mówi Sari wolno. - Tak, to jasne. Ale jeśli to zrobię, to będzie jak przyznanie się do winy. - Milczy przez chwilę. - Jakova już mnie oskarżyła. Francziska też nie będzie trzymać języka za zębami, kiedy się dowie, że Jakova mnie wydała. Już mnie mają, tak czy owak.

Judit krzywi się.

- Na to wygląda.

- Zostaje tylko pytanie, czy pójdę na dno sama, czy pociągnę za sobą innych. - Uśmiecha się do Judit; ale nie, to nie uśmiech: to raczej drapieżny grymas i Judit, choć widziała niejedno, krew zastyga w żyłach. - Nie umiesz mi odpowiedzieć, prawda? Jeśli ja mam zawisnąć, ta suka Kiss i jej przeklęte przyjaciółki zawisną u mojego boku.

Judit bierze się w garść.

- Masz rację! I zyskasz coś jeszcze.

Sari rozumie ją w pół słowa i uśmiecha się, tym razem naprawdę.

- Oczywiście, czas! Na razie mają tylko dwie. Im więcej osób im wskażę, tym później po mnie przyjdą.

- Uwiń się szybko, wracaj, weź Rozsi, zapas jedzenia i zmykaj do lasu. Znasz każdą piędź ziemi w okolicy, ukryjcie się przez parę dni, a potem, jak już będzie po wszystkim i wyjadą z aresztowanymi do Varos, pójdziecie dalej.

Sari kiwa głową. Nie musi pytać, dokąd mają iść. Przypomina sobie, jak zeszłego wieczoru rozmawiała z Belą o braku środków na rozpoczęcia życia gdzie indziej. Pieniądze bardzo by się przydały i ułatwiły sprawę, ale to wybór między życiem a śmiercią, właściwie decyzja i tak może być tylko jedna. Potrafi jakiś czas żywić się z Rozsi owocami ziemi i lasu i nie umrze z głodu. To jest szansa, wystarczająco duża, by warto z niej skorzystać.

- Rozsi jest u Lujzy - mówi do Judit. - Idź po nią. Przygotuj mi jedzenie na parę dni. I pospiesz się, żeby wszystko było gotowe, jak wrócę.

- Dobrze. Sari wstaje.

- Do dzieła - mówi. - Nagle nachyla się i całuje Judit w pomarszczony policzek. - Kocham cię.

Judit odsuwa ją z udaną irytacją.

- Wiem, głupia. Idź już.

Bela widzi, że drzwi się otwierają, Geza porusza się obok, wstrzymując oddech.

- Zaczyna się! - szepcze.

- Nie podniecaj się tak - gasi go Bela. - To może nic nie znaczyć.

Dobry Boże, spraw, żeby to nic nie znaczyło, mówi do siebie. Patrzy, jak Sari wychodzi, rozgląda się, i najwyraźniej ich nie dostrzegając, schodzi po schodach. Idź nad rzekę, błagają Bela. Albo do lasu, nazbierać ziół. Nie rób nic, co cię jeszcze bardziej pograży. Wie, że i tak musi ją aresztować, bo Francziska we łzach potwierdziła słowa Jakovy, ale może jeśli nic innego nie wypłynie, Sari nie zostanie skazana. Może.

Sari jest już u podnóża schodów i odwraca się - ku przerażeniu Beli - nie w kierunku lasu czy równiny, ale podąża do skupiska domów wioski. Geza dyszy z podniecenia. Sari skręca za róg, a oni odrywają się od swojej kryjówki i ruszają za nią, Bela z najwyższą niechęcią, Geza z trudem powstrzymując się od biegu. Znow ją widzą z daleka, podchodzi do jakiegoś domu. Nie byli tam przedtem i w Beli zapala się iskierka nadziei - może mieszka tam kobieta, która wczoraj była chora i dlatego Sari ją dzisiaj odwiedza. Może wszystko jeszcze dobrze się skończy. Może.

Przez pięć minut nic się nie dzieje. Bela każdym nerwem czuje powiew wiatru na twarzy, mrowienie na ciele, pokrytym gęsią skórą w napiętym oczekiwaniu. Sari wychodzi. Pięć minut, mówi sobie Bela - mnóstwo czasu na pobieżne badanie lekarskie. To nic, że Sari nie ma ze sobą żadnego sprzętu; mogła tylko sprawdzać, jak się chora czuje, a wróci później w razie potrzeby.

Geza ponagla, by podeszli bliżej.

- Zostanę tutaj - szepcze. - Zobaczę, dokąd teraz idzie. Ty zapukaj do drzwi.

Posłusznie, bo nie ma energii walczyć ze swoją nagłą słabością i przejęciem dowodzenia przez Gezę, Bela wchodzi na ganek i cicho puka. Nikt nie odpowiada. Cóż, to zrozumiałe. Chora kobieta nie będzie wstawać z łóżka i otwierać drzwi obcemu. Odwraca się do Gezy, który robi zniecierpliwiony gest: jeszcze raz! Bela znow puka i znow nikt nie odpowiada, ale z głębi domu dobiega jakiś hałas. Bela naciska klamkę i ku jego zdumieniu drzwi okazują się otwarte. Wchodzi do domu, czując się jak ktoś, kto gwałci spokój biednej kobiety. Pokój jadalny jest pusty, ale wisi nad nim dziwna aura ciepła i ruchu, jakby przed chwilą ktoś tu był. Kierując się przeczuciem, którego nie może zlekceważyć, Bela idzie na palcach do pokoju na tyłach, gdzie musi być sypialnia i widzi, jak Matild Nagy usiłuje precyzyjnie przycisnąć pulchne, krągłe ciało przez dolną część otwieranego pionowo okna.

To równie dobre jak przyznanie się do winy.

Nie ma czasu prowadzić jej do kościoła. Z niemiłym uczuciem, że postępuje wbrew procedurom, Bela sadza ją na krześle i związuje ręce i nogi podartym w pośpiechu prześcieradłem, co ona przyjmuje z nieoczekiwaną potulnością. Może nieudana próba ucieczki odebrała jej wszystkie siły. Wychodząc, Bela już od progu widzi, że Geza przycałił się jak kot za gankiem pobliskiego domu. Kiedy do niego podchodzi, podnosi brwi z niemym pytaniem. Bela kiwa potakująco głową, czując, że zbiera mu się na mdłości.

- Sari wyszła stąd jakąś minutę temu - informuje go Geza szeptem, a Bela aż się skręca: być może Sari jest morderczynią, ale to nie daje Gezie żadnego prawa nazywania jej po imieniu. - Poszła teraz tam... do domu Orsolyi Kiss. Wciąż tam jest. Pójdziemy tam potem.

Kiedy wchodzi po stopniach, Bela widzi, że to dom Zsofii Gyulai. Nie dziwią się więc, gdy po otwarciu drzwi dobiega ich odgłos rozdzierającego szlochu.

Ją też wiążą. Geza ma podobne skrupuły jak Bela, ale nie umie znaleźć innego rozwiązania.

- Przyjdziemy po panią najdalej za godzinę - mówi, jakby w charakterze pocieszenia, ale pani Gyulai szlocha tylko jeszcze gwałtowniej.

Bela patrzy co chwila przez okno. Kilka minut temu zobaczył, jak Sari opuszcza dom Kissów i wraca do siebie.

- Chodźmy - mówi do Gezy.

Aresztowanie Orsolyi Kiss to jedyna przyjemność w tym całym nieszczęściu.

Pukają do drzwi, dla przyzwoitości, i jak można przewidzieć, odpowiada im cisza. Izba jadalna jest pusta i Bela cicho popycha Gezę w kierunku sypialni, gdzie ma pewność przyłapać Orsolyę na ucieczce przez okno. Toteż jest zdziwiony, kiedy się okazuje, że Orsolya siedzi nieruchomo, ze spuszczoną głową, na brzegu łóżka. Nadzieja, że da się ująć bez walki, rozwiewa się, gdy kobieta podnosi głowę z dziwnie kokieterijnym uśmiechem, który ich na moment myli, a potem błyskawicznie podrywa w górę pistolet, trzymany w prawej ręce.

Kula świszcze Beli koło prawego ucha, nie robiąc mu krzywdy, ale wprawia ich w popłoch. Geza w jednej sekundzie rzuca się na Orsolyę i zwała się wraz z nią ciężko na podłogę. Po krótkim oporze kobieta zaprzestaje walki, choć Bela na wszelki wypadek przyklęka obok. Kiedy widzi, że się poddała, odwraca się do komody po lewej stronie i wyciąga jedną szufladę po drugiej, aż znajduje tę z bielizną, z której wyciąga parę pończoch. Geza przewraca Orsolyę na brzuch, związuje jej ręce na plecach, a Bela wstaje, otrzepuje się i nagle jego wzrok pada na coś połyskującego kusząco w jednej z szuflad.

- Pójdę po pannę Arany - mówi.

Przykucnięty w niezdarnej pozie na podłodze Geza odwraca głowę i mierzy go badawczym wzrokiem.

- Może ty tu zostaniesz, a ja zajmę się panną Arany? Bela kręci głową.

- Nie, nie. Doskonale sobie radzisz.

- Ale...

Beli puszcza nerwy i podnosi głos:

- Ja tu wydaję rozkazy! Zostań tu, obezwładnij panią Kiss i zaprowadź ją do kościoła. Potem idź po panią Nagy i panią Gyulai i zrób z nimi to samo. Spotkamy się na miejscu.

Przez moment mierzą się wzrokiem; oczy Beli są szeroko otwarte w wyrazie udanej niewinności, oczy Gezy przymrużone z wyraźną podejrzliwością. W tym momencie Orsolya Kiss wykonuje ostatnie, desperackie szarpnięcie, jak ryba na plaży, zmuszając Gezę do poświęcenia jej pełnej uwagi, a Bela tymczasem się wymyka.

Tym razem nie puka; przeskakuje po trzy stopnie naraz, jednym ruchem popycha drzwi i...

- Ach... - mówi Sari. Trzyma Rozsi za rękę, w drugiej ma wypchaną torbę i wygląda zdumiewająco spokojnie, biorąc pod uwagę okoliczności. - Ach - powtarza raz jeszcze. - No cóż. Warto było spróbować.

Przez chwilę Bela nie może znaleźć słów, a potem tylko te najbanalniejsze.

- Aresztowaliśmy panią Nagy, panią Gyulai i panią Kiss - mówi jakby z zażenowaniem.

Sari kiwa głową z uśmiechem.

- No, to przynajmniej coś. Podadzą wam zapewne inne nazwiska. Wątpię, żeby się bardzo ociągały.

- Sari... - Po raz pierwszy wymawia jej imię, kosztując jego smak. Jest słodko-gorzkie, staje mu w gardle i nie pozwala nic wykrztusić.

Wobec tego podaje jej bez słowa skórzaną sakiewkę, którą ma w prawej ręce.

- Co to jest? - pyta Sari ze zdumieniem, a on nakazuje zniecierpliwionym gestem: Otwórz!

Sari otwiera. Perły, złota biżuteria, pieniądze. Wstrzymuje okrzyk, przygryzając wargę i patrzy na niego zwięzonymi oczami.

- To Orsolyi? - pyta, a on kiwa głową. - Dlaczego? Bela w końcu znajduje słowa.

- Mógłbym zapytać cię o to samo. - Jest wściekły na siebie, że głos mu drży. - Powiedziałaś, że potrzebujesz pieniędzy. Żeby się wynieść do miasta.

Sari na chwilę zamyka oczy i Belę nachodzi myśl, że chyba po raz pierwszy na jej twarzy widać prawdziwe wzruszenie.

- Dziękuję - mówi Sari.

- Nienawidzę się za to, co robię! - wybucha Bela. To prawda: nie wie, czy bardziej nienawidzi siebie, czyjej.

Zawsze był dumny ze swojego postępowania, zwłaszcza z tego, jak radził sobie w pracy. Był dumny z umiejętności rozgryzania ludzi. Teraz musi podać tę umiejętność w wątpliwość. Sari uśmiecha się, jakby ze zrozumieniem i współczuciem, ale skąd on ma wiedzieć, jak to odczytać?

- Przykro mi. - Sari patrzy w stronę drzwi.

- Nie martw się, masz czas. Geza musi doprowadzić tamte trzy do kościoła.

- To dobrze. - Wbija nieugięty wzrok w jego twarz, przewidując z góry pytanie.

- Jak to się stało? Dlaczego...? - Bela nie może dokończyć zdania. Nie umie wyrazić tego, co czuje, a nawet gdyby umiał, nie byłby w stanie jej powiedzieć: „jak taka kobieta jak ty, kobieta, którą mógłbym pokochać, mogła zrobić coś takiego?”

Sari zdaje się rozumieć go bez słów.

- Dokonałam wyboru i wybrałam siebie - mówi po prostu.

- Siebie i moje dziecko. Tak jak ty dokonałeś wyboru i postanowiłeś mi pomóc. Pewnie chciałbyś usłyszeć, że narzeczony źle mnie traktował, chciałbyś dostać jakiś jasny i oczywisty powód, dla którego musiałam postąpić tak, a nie inaczej. To prawda, źle mnie traktował. Ale to bez znaczenia. Ważne jest to, jak zdecydowałam się to rozwiązać. Miałam dość bezwolnego poddawania się losowi i pewnie wiele innych kobiet czuło to samo. - Podnosi torbę.

- A teraz musimy już iść. Judit...

Bela się odwraca. Dopiero w tej chwili dostrzega starą kobietę siedzącą w półcieniu, ze swoim fałszywym uśmiechem i rękami grzecznie złożonymi na kolanach.

- Ha! - skrzeczy, widząc jego zdumienie. - Jestem twoją nagrodą pocieszenia. To ja dałam Sari truciznę i tak naprawdę jestem bardziej winna niż ona. Opłaczalna wymiana: ja za nią, nie sądzisz?

Nie czekając na odpowiedź, odwraca się do Sari, przewiercając ją wzrokiem.

- Idźcie już - rzuca szorstko. - I do wszystkich diabłów, bądźcie ostrożne!

Sari kiwa krótko głową, a Rozsi wyciąga rękę do Judit, która ściska ją mocno. Matka i córka ruszają do kuchennego wyjścia, Sari rzuca ostatnie spojrzenie na Belę.

- Nie wiem, czy chcesz to usłyszeć - mówi - ale byłoby mi o wiele łatwiej, gdybym naprawdę cię nie polubiła.

Trzeba umieć się cieszyć tym, co Bóg da, tłumaczy sobie Bela. Patrzy przez okno, jak Sari i Rozsi idą przez ogródek na tyłach, jak Sari podnosi Rozsi ponad ogrodzeniem i przechodzi za nią, jak biegną szybko w stronę lasu, trzymając się w cieniu domów. Ich sylwetki stają coraz mniejsze - dwie bezbronne, chude figurki na tle bezkresnej puszczy. Bela

wzdryga się i podskakuje, kiedy Judit kładzie mu sękatą dłoń na ramieniu, wyraźnie w geście pociechy. Nie zauważył, że do niego podeszła.

- Dadzą sobie radę - szepcze. - Nie martw się o nie. Wszystko będzie dobrze.

Stoją ramię w ramię i patrzą, dopóki maleńkich cieni Sari i Rozsi nie wchłania wielki, groźny cień lasu.

- No dobrze - odzywa się Judit rześkim głosem. - Chodźmy.

Epilog

Patrzyłam z lasu, jak poszli po mężczyzn z sąsiedniej wioski, żeby pilnowali kościoła, podczas gdy Geza przeprowadzał następne aresztowania, a Bela pojechał do Varos po posiłki. Szukali mnie, oczywiście, przeczesali las, ale ten las był moim miejscem zabaw od najwcześniejszego dzieciństwa; znałam każdy liść i każde drzewo, bez trudu znalazłam kryjówkę. W końcu zebrali dwadzieścia pięć kobiet, które wyprowadzili z wioski: wyglądało to niemal jak procesja; później doszły mnie słuchy, że osiem z nich powieszono. Nigdy nie dowiedziałam się, które. Mam nadzieję, że słowa Judit okazały się prorocze i zmarła, zanim postawiono ją pod szubienicą.

A teraz idziemy. Po pierwsze, muszę uciec z Falucski jak najdalej. Po drugie, nie mogę dać się złapać, a to wymaga wybierania okrężnych dróg, kluczenia, a czasem cofania się, ale ogólnie rzecz biorąc, idziemy na zachód. Znam pusztę jak wnętrze swojej dłoni, jak wnętrze swoich powiek, dlatego mogę przemierzać ją, jakbym była niewidzialna i dlatego chcę zostawić ją jak najdalej za sobą. Mam dość szumu suchej trawy na wietrze, złowrogiej smugi sosnowego lasu w nocy, tłustego oblicza zadowolonego z siebie księżycy. Mówię Rozsi, że czas poszukać jakiegoś ciepłego, zacisznego miejsca. Może gdzieś nad morzem. Ona nieodpowiada, ale czasem się uśmiecha. Wie, równie dobrze jak ja, że je znajdziemy.

Idziemy na zachód, wypatrując drogi w gęstniejącym śniegu.

Podziękowania

Dziękuję wszystkim tym, którzy jako pierwsi zapoznali się z tekstem maszynopisu (wiecie, o kogo chodzi), a zwłaszcza Katy Anchant, Rachel Coldbreaht i Germán Guillot, które zarażały mnie tak potrzebnym entuzjazmem, zachęcały mnie i dokonywały korekty na wczesnym etapie powstawania książki.

Dziękuję także wszystkim moim przyjaciółkom, a zwłaszcza Carlie Dawes, Jo Black, Kate Jones, Zavy Gabriel, Yogi Raste, Sophie McInnes, Angeli Hughes, Sarah Cook, Ledzie Glyptis, Anne Pordes, Sarah Moore, Nich Underdown, Mary Mcfarlane, Helen Finch i Judit Logan.

Dziękuję swojej rodzinie, zwłaszcza Richardowi i Julii.

Dziękuję Ci, Mark.

Dziękuję wam, Mamo i Tato.